Czarny Matwij.

POWIEŚĆ

z życia ludu górskiego.

— Napisał —

WALERY ŁOZIŃSKI.

CHICAGO, ILL.
Nakładem i drukiem W. Dyniewicza.
1889.

I

KRUCZY DZIÓB.

Mroźny wiatr jesienny dął od północy i przeraźliwym świstem przemykał przez ciasne wyłomy i wąwozy Beskidu, przygłuszając głośny plusk rączego strumyka, co na najwyższym wytryskał grzbiecie i w tysiącznych zakrętach, spadach i wirach mknął wzdłuż stromych ścian gór.

Niebo gęstemi zasnuło się chmurami, kiedy niekiedy tylko blady księżyc wychyli jeden różek z cienia i tuż zaraz napowrót za czarną kryje go powłokę.

Nieprzebita ciemność ogarnia ziemię. Tylko głodny wilk z któregoś z pobliskich szczytów, albo drapieżny myśliwiec nocny, puchacz złowrogi, mógłby dopatrzyć zdala bladego światełka, co jakby odblask jakiegoś ukrytego płomienia, majaczyło niepewnie w załomie Kruczego dzióbu.

Kruczy dziób to obok Wilczej szczęki najwyższy szczyt w tej części Beskidu, gdzie rozpoczyna się tok naszej powieści. Wierzchołek nagiej stromy góry, jakby zachwiany burzą lub załamany piorunami, ostrym szpicem zwiesił się ku dołowi, i znać temu jedynie zawdzięczał swą przenośną nazwę Kruczego dzióba.

W niewielkim załomie pod tarczą zwieszonego wierzchołka tli w tej chwili na pół wypalony żar. Prąd wiatru nie dosięga ogniska, tylko wąską szczeliną u góry rozpędza świszcząc czarne kłęby dymu.

W około ognia rozłożyło się wygodnie troje ludzi. Niebieskawy odblask żaru oświetla blado ich postacie i w dziwnie fantastycznych przedstawia je zarysach. W zatyle z wyciągniętemi ku ogniu nogami, leży niski krępy góral w brudnym kapeluszu pilśniowym, którego szerokie po bokach załamane krysy głęboko zwiesiły się na skronie. Burą wytartą gunię na szarym sznurku przewiesił przez plecy, a wełnianą kraciastą torbę wysunął aż na pierś szeroką i wypukłą. Za wąskim mosiężnemi goździmi obitym rzemieniem, wyziera gruby kij bukowy z guzastym sękiem u góry a żelaznem okuciem u spodu: na opiętych ko-

łanach leży stara w dwóch miejscach sznurkami powiązana strzelba.

Twarz górala okrywają do połowy szerokie krysy kapelusza, czasami tylko nieco w górę podniesie głowę i dwoje burych jak jego gunia zamigocze oczu i odsłonią się rysy, których dzikość tem wybitniej uwydatnia się w fantastycznem oświetleniu.

Nie mniej szczególna i charakterystyczna jest najbliższa obok niego postać — sążnistej długości żyd, wyciągnięty w kabłąk koło ogniska. Nie potrzeba ciemnej burzliwej nocy i tego dzikiego odludnego odstępu górskiego, aby przestraszyć się tej postaci na pierwsze wejrzenie. Długi i chudy jak tyka, miał coś dziwnie odrażającego w całej swej powierzchności. Skąpy rudawy zarost okrywał twarz długą, kościstą, popaloną od słońca. Dwa łokciowe rozczochrane pejsy spadały z pod płaskiej białemi barankami wykładanej czapki i ujmowały niejako w ramy nos długi, chudy i garbaty, który szpicem dosięgał prawie do samych ust. Dwoje zielonkowatych na pół przymrożonych oczu iskrzyło się z głębokich zapadłych jam i nadawało całej twarzy jakiś dziwny, chytry i podstępny wyraz.

Trzecią w grupie osobą była kobieta w stroju góralki. Biała brudna chustka, z pod której brudniejszy jeszcze czerwony wyzierał czepiec, okrywał jej głowę, bura zaciągnięta na rękawy gunia, na siano malowana dymka i łykowe chodaki uzupełniały resztę ubrania. Twarz góralki poorana zmarszczkami chyba tylko brakiem zarostu znamionuje kobietę. Ostre, surowe rysy mają wyraz czysto męzki. Żywe czarne oczy kontrastują z starą pomarszczoną twarzą i siwemi kosmykami włosów, które tu owdzie wychylają się z pod czepca. Gęste czarne na dół zwieszone brwi i wązkie silne zaciśnięte usta, podnoszą znacznie surowość rysów i wyciskają fizognomii jakiś wyraz ponury i tajemniczy.

Gdyby nasz Beskid jak Alpy i Apeniny zwabiały ku sobie obcych podróżnych i turystów, ciekawość jakie wrażenie sprawiłby na nim nagły widok tej szczególnej malowniczej grupy, z tak charakterystycznych złożonej postaci. Miłośnik dzikich ponurych obrazów natury, miałby pożądany przedmiot do schwycenia.

Wiatr szalonym pędem przemykał przez grzbiety gór i przeraźliwym świstem i szumem toczył przed sobą tumany piasku,

oschłych gałęzi i drobnych kamieni.

Góral gwałtownie rzucił się na swem siedzeniu i jakieś dzikie przekleństwo wymknęło się z jego ust.

Psia wiara cygan poganin! — wykrzyknął gniewnie, — kiedy tylko prowadzi kompanię, zawsze się spóźni.

Żyd obojętnie kiwnął głową i długie kościste ręce wyciągnął nad ogień.

— Niech mnie piorun trzaśnie, jeżeli poganin nadejdzie nad ranem!

Żyd wzruszył ramionami.

— Już ja się o niego nie boję! — mruknął przez zęby,—Jańcza dobry do interesu!

— Przepadłbyś z nim razem! — wykrzyknął góral dalej, — dobry na szubienicę! Ja ci powiadam, on nas wszystkich wtrąci w nieszczęście.

— Ny, ny nie gadaj głupi goju, — mruknął żyd niechętnie, — Jańcza już kilku lat z nami, a jeszcze ani razu nie powinęła mu się noga. On się spóźni, no to cóż, ale on nigdy nie przyjdzie z gołemi rękami.

Góral zacisnął zęby i z pod oka zerknął na żyda.

— A cóż ty myślisz poganinie — zawołał po chwili, — że ci poprowadzę konie jak

się zaciągnie do rana? Sto djabłów zjesz!

Żyd jakby z dobrodusznem naigrawaniem znowu kiwnął głową.

— Nie bój się, jakoś to będzie, — szepnął i ręką sięgnął w zanadrze. Napij się trochę Jurku, — dodał po krótkiej przerwie, dobywając sporą na pół wypróżnioną flaszkę.

Jurko chciwie pochwycił flaszkę i pociągnął łyk potężny.

— Powiedz mi tylko, gdzie może siedzieć niecnota, — ciągnął znacznie spokojniejszym głosem, — w takiej nocy rewizor nosa nie wyściby z budki, może iść śmiało jak po cesarskim gościńcu... Jest tam jeszcze kilka kulb Jedwocho? — zwrócił się nagle do góralki.

Jedwocha siedziała dotąd w ponurem zamyśleniu i nie zdawała się zwracać najmniejszej uwagi na tok rozmowy. Wzruszyła ramionami na nagłe zagadnięcie, i nie ruszając się wcale mruknęła pół głosem:

— Ani jednej!

Góral znowu jakieś dzikie wyrzucił przekleństwo i zwrócił się nagle do żyda.

— Dawaj wódki Jolku! — wykrzyknął natarczywie.

Żyd w milczeniu podał mu odebraną

niedawno flaszkę. Jurko pociągnął nowy łyk spory i splunął w żar.

— Ckno mi się czekać tak bez niczego, — szepnął jakby sam do siebie. — Ale raz muszę cyganowi nakuć karku! — dodał po chwili i ścisnął silnie sękaty guz na końcu swej laski.

Jolko wyprostował się w całej swej sążnistej postaci i wyszedł z pod załomu skały.

— Jeszcze kilka godzin do dnia, — rzekł wracając po chwili i zajmując dawne miejsce, Jańczy co tylko nie widać.

Jedwocha czegoś w zamyśleniu wpatrzyła się w pryskający żar.

— Słuchaj Jurku! — ozwała się nagle do pogrążonego w zadąsanem milczeniu górala, — pamiętasz tę noc, kiedy zginął Maksym?

Jurko drgnął cały, jakby nim jakieś przykre wstrzęsło wspomnienie.

— Było to jakoś o tym czasie, mruknął zcicha.

— I taka sama noc na dworze, — ciągnęła zwolna góralka.

— Prawda, ciemno było jak w piekle, a wiatr lodem ścinał.

— I żar tak pryskał jak dzisiaj na

Kruczym dzióbie, — dodała Jedwocha z jakimś dziwnym, uroczystym naciskiem.

Góral zerwał się na równe nogi i splunął w zabobonnym przestrachu.

— Co mówisz Jedwocho! — zawołał żywo, — żar pryskał jak dzisiaj...

I żyd ruszył się niespokojnie na te słowa, bo przesąd i zabobonność należy do przyrodzonych przymiotów wszystkich wychowanków gór.

Wymówione z większym naciskiem słowa Jedwochy przejęły jakąś tajemną trwogą, i wszyscy troje z wytężoną uwagą wpatrywali się w ognisko.

— Czy myślicie że co złego będzie, wybąknął po chwili, pod wpływem jakiegoś nieświadomego niepokoju.

Jedwocha głębiej jeszcze na oczy zasunęła swe gęste, krzaczaste brwi i jeden gruby kościsty palec wyciągnęła do góry.

— Dwadzieścia lat już temu, — cedziła zwolna przez zęby, — ale pamiętam wszystko jak dzisiaj. Taka sama była noc... i ot słuchajcie! — zawołała i podniosła się w pół.

Na szczycie Kruczego dzióbu, tuż nad głowami rozmawiając, ozwał się przeraźliwy

trzykrotny krzyk puszczyka.

— Tak samo wrzeszczał ten ptak djabelski, — dokończyła uroczyście Jedwocha i zaciskając zęby usiadła napowrót.

Góral pobladł jak chustka a cienkie sine wargi żyda zadrgały kurczawo.

— Chyba nie czekajmy! — wyszepnął drżącym głosem.

Jurko oboma rękami sparł się na strzelbie i zadumał głęboko. Nagle podniósł głowę, odsunął w tył kapelusz, splunął niechętnie i rzucił się na dawne siedzenie.

— A! przeklęta czarownico! — wykrzyknął, — straszysz nas tylko. Wówczas zdradził Łysy Pańko, a dziś żadnego takiego nie ma między nami. A zresztą niech piorun trzaśnie raz tylko, człowiek musi umierać a jeszcze nie jeden rewizor zadrze nogi, nim dostanie w swe ręce Wargatego Jurka.

— No, ale jak jeszcze można uciec bez nieszczęścia? słuchaj Jurku, na co mamy czekać? — wykładał żyd, którego niedawną zimną krew, febryczny zastąpił niepokój.

Jurko wtrząsł głową.

— Dawaj wódki i siedź cicho pogański synu, — zagrzmiał surowo.

Żyd wzruszył ramionami i coś nierozumiale mruknął przez zęby. Dobył znowu flaszkę z zanadrza i łyknąwszy naprzód sam, podał milcząc dzikiemu towarzyszowi.

Jurko wycedził do ostatniej kropli pozostałą resztę i rzucił flaszkę na bok.

— Niech się dzieje co chce, — mruknął wstrząsając się cały, — zaczekajmy do pierwszego brzasku.

Żyd przykucznął napowrót przy ogniu i zaruszał wargami jakby jakąś cichą odprawiał modlitwę.

Jedwocha ciągle nieruchoma patrzyła się w dogorywający żar.

— Biedny Maksym! — szepnęła nagle z westchnieniem, — przepadł tak marnie!

Jurko ponuro pokiwał głową.

— Nie było i nie będzie już takiego drugiego! — wykrzyknął. — Z nim razem człowiek nie bał się dziesięciu rewizorów, a przechodził przez granicę jak przez próg własnej chaty.

Żyd znać skończył swe pacierze, bo dwa palce przyłożył do ust i do czoła.

— Ny, może on jeszcze żyje, — ozwał się — przecież nie znaleźli jego trupa, choć się tyle naszukali.

— Żyje! powtórzyła góralka z głuchym naciskiem. — Samam widziała, jak czterech rewizorów naraz do niego dało ognia: słyszałam jak jęknął okropnie, i w moich oczach potoczył się w Sołtysi wąwoz.

— Ny, i gdzie się podział, kiedy go tam nie było? — poderwał żyd zupełnie nieprzekonany.

Góralka zaśmiała się półgębkiem.

— Szukali go dopiero zrana, a wilków dość w naszych lasach.

— Ny wiecie co, ja wam coś powiem, — ozwał się żyd na nowo. Mnie się ten wasz Maksym zawsze nie podobał! Tak mówiąc między nami, on był bardzo głupi. Uciekł z wojska, bił się z Mazurami, nasadzał się na pana, a ani raz nie chciał wdać się ze mną w interes i przeprowadzać moje konie.

— Kradzione konie, — poprawiła góralka.

— Ny, co jemu do tego, niech sobie będą i kradzione, — ciągnął żyd niezrażony dalej, — ja sobie handluję z kulawym Szmulem, a on mi swoje konie przesyła z Węgier, ja jemu moje przesyłam ztąd, on moje sprzedaje tam. Co jemu było w to wchodzić, kiedy on sobie szwarcował bakun pie-

chotą, co jemu szkodziło jechać sobie na koniu? Ale głupi goj, co jemu przyszło z bakunu, kilka prostych grajczów, a ja i Szmul płacimy od każdego konia po trzy sorokowce z waszą Matką Boską, to czysty interes, fein!

Jurko prawie w napół nieprzytomnem zamyśleniu przysłuchiwał się żydowi, nagle porwał się gwałtownie i uderzył pięścią po strzelbie.

Milcz psia wiaro! — huknął groźnie, — bo mnie samego mało djabli nie biorą, żem się dał namówić do tego. Dawniej człowiek choć rewizora zabił albo postrzelił, to tam nie wielki grzech był. Kupowałem bakun za gotowe pieniądze, on mi chciał odebrać, to to on złodziej i napastnik, a nie ja. Człowiek musi się bronić, ale przez ciebie pogański synu i przez tego łotra cygana Jańczę to już i ja zostałem złodziejem. Niech cię piorun trzaśnie z twoją spółką.

— Ny już ja widzę, że do ciebie przystępuje. Słuchaj Jurku, nie siedziałeś pięć roków za zabitego rewizora, a potem nie zabiłeś jeszcze jednego, drugiego rewizora nie powiesiłeś z Jańczą za nogi, że go krew zalała, nie wsadziłeś trzeciemu obie ręce w rozkłute

klinem drzewo, a jakeś wyjął klin, ny, to on biedny z połamanemi rękami musiał stać tak półtora dnia, aż go znalazł i uwolnił leśny. Czy ty myślisz, że tego nie wiedzą w Samborze, fi, fi, fi?! Ny, ja ci powiadam, czy ty przeprowadzić moję kobyłę lub nie, to taki ty będziesz wisiał jak cię złapią! Głupi goj!

I na zakończenie wzruszył ramionami splunął z indygnacyą.

Góral słuchał w milczeniu długiej litanii popełnionych zbrodni, potem machnął ręką, zaśmiał się rubasznie i nie odpowiadając ani słowa, zaczął pomięty i podarty w ręku liść bakunu spychać do małej glinianej fajki.

Kontent znać z efektu swej repliki, zwrócił się żyd do milczącej ciągle góralki:

— Ny, Jedwocho, nie dobrze ja mówię, powiedzcie sami?

Stara góralka ponuro wstrzęsła głową.

— Maksym bronił się napadnięty jak dziki zwierz, — mruknęła pół głosem jakby sama do siebie, — ale nie zabijał nigdy pojmanego rewizora. Najwięcej że go rozebranego do naga przywiązał pod drzewem...

Góral wybuchł rubasznym śmiechem.

— Gdzie przydybał największe mrowisko, uzupełniał opowiadanie, — biednego rewizora oblazły mrówki od pięty do czupryny i skąsały na miazgę, że nazajutrz był szelma czarny jak smoła.

Na wierzchołku skały znowu przeraźliwie zawrzeszczał puszczyk.

Góral wstrząsł się cały.

— A bogdajbyś pękł! — wrzasnął gniewnie i ze strzelbą w ręku wybiegł z załomu.

W tej chwili z dzikim poświstem wiatru zmięszał się jakiś inny świst daleki.

— Jańcza idzie! — krzyknął żyd i porwał się na równe nogi.

Stara góralka nie ruszyła się z miejsca, suchą gałęzią poprawiła żar i w zadumaniu głowę wsparła na ramieniu.

Żyd wybiegł z pod załomu i obok Jurka stanął na szczycie skały.

Daleki świst powtórzył się jeszcze donośniej niż pierwszą razą.

— Idą! — powtórzyli obadwaj spólnicy jednocześnie.

Jurko włożył w gębę dwa zagięte palce

i dmuchnął z całą siłą swej szerokiej, wypukłej piersi.

Rozgłośny świst trzykrotnem przeciągłem, złamanem echem rozległ się na ćwierć mili w oddali.

— Wróćmy, — mruknął żyd trzesąc się cały od zimnego powiewu wiatru.

Góral zwrócił się nagle w inną stronę i bystry wzrok wytężył w dal.

W tym samym kierunku obejrzał się i żyd i zadrzał cały. Góral pochwycił go za ramię i zatrząsł nim gwałtownie.

— Żydzie! widzisz? świeci się na Wilczej szczęce! — zawołał.

— Ny, widzę, widzę... u tego czarownika, — wybąknął.

Góral ponuro ściągnął brwi i zagryzł wargi.

— Czarny Matwij nie śpi! — mruknął, i z wytężoną uwagą wpatrzył się w szczyt jakiejś dalekiej góry, gdzie małe jak drobna iskierka migotało światełko.

— Ny, niech sobie nie śpi, wróćmy do ognia, poszepnął żyd i wyrywając ramię z ręki towarzysza, skręcił pod załom skały.

Jurko powolnym krokiem postępował za nim.

— Ten Czarny Matwij, Czarny Matwij!— mruczał zcicha, on coś ma nas na oku.

Na wymówienie imię Czarnego Matwija góralka żywo podniosła głowę.

— Czarny Matwij, — powtorzyła ze szczególnym naciskiem. — Słuchaj Jurku, wolisz sam jeden zaczepić z stoma rewizorami niż zadrzeć z Czarnym Matwijem.

Góral silniej jeszcze ściągnął brwi i coś niezrozumiale mruknął przez zęby.

— Ny, po coby miał z nim zadzierać, kiedy on się z djabłem powąchał, — odezwał się żyd i splunął za siebie, — ten Czarny Matwij to bardzo niebezpieczny człowiek, ja go się bardzo boję. Na jego rozkaz ja już oddałem parę koni, choć nie ukradłem ich, żebym tak zdrów był.

Wargaty Jurko nic nie mówił, usiadł na dawnem miejscu i pociągnął dym z małej swej fajeczki. Widocznie jednak jakieś ponure myśli zaprzątnęły mu głowę, bo czasem ręką musnął po pomarszczonem czole i od chwili do chwili jakieś niezrozumiałe słowa wycedził przez zęby.

Góralka siedziała także zamyślona, czasami tylko poprawiła ogień i z jakiemś dziw-

nem znaczeniem pokiwała głową.

Żyd przysiadł przy ogniu, ale kręcił się na wszystkie strony, widocznie z wielką niecierpliwością oczekiwał spodziewanych gości.

Po kilku chwilach nowy ozwał się świst, ale już tuż w samem pobliżu Kruczego dzióba.

Jolko porwał się z miejsca: podsunął pod sam krawędź załomu skały.

— Ny, ciekawym bardzo, czy przyprowadzili jaką szkapę, — mruknął jakby sam do siebie.

W tej chwili zaczęły z wiatrem jakieś urywane dolatywać słowa, a niebawem prędkie i liczne ozwały się głosy.

— Oho! — szepnęła góralka, która znać dotąd w ciągłem trwała powątpieniu.

Za krótką chwilę daleko trudniej i gnuśniej zrobiło się w kryjówce Kruczego dzióba. Czterech znużonych i zdyszanych ludzi ukazało się pod załomem skały.

Pierwszy wsunął się wysoki, silnie zbudowany cygan w węgierskim obdartym dolmanie, przewieszonym przez plecy i z ogromną sękatą pałką w ręku. Za nim postępowało dwóch krępych górali, sporemi i pełnemi

obładowanych torbami, w zatyle za niemi kryła się jakaś czwarta nie dobrze oświetlona postać.

— Jak się macie, naczekaliście się! — krzyknął z węgierska ruskim akcentem cygan i rzucił się jak długi przed ogniskiem.

I dziwna piękną, dziką fantastyczną przedstawia się jego postać w tym bladym odblasku żaru. Czarny kruczy włos o bujnych kędziorach spada mu aż na ramiona. W ożywionej znużeniem, śniadej, regularnej, gęstym zarostem okrytej twarzy przebija się dzika i zuchwała energia pomięszana z jakimś mocnym wyrazem nieokiełzanej swobody i niedbałości, który szczególniej w żywem, iskrzącem zwierciedli się oku.

Charakterystyczne te cechy fizjognomii podnosi znacznie fantastyczność stroju; ten obszarpany dolman węgierski zawieszony po rozstrzępionej koszuli z szerokiemi rękawami, te szerokie płócienne pantaliony ujęte u spodu w zgrabne ciżmy wegierskie, ta wreszcie mała dziwnie od kruczych kędziorów odbijająca czapeczka czerwona z obdartym daszkiem na przodzie.

Nie tyle interesujący są jego dwaj obładowani towarzysze w strojach góralskich,

zwyczajne twarze mieszkańców gór z tym trudnym do określenia, a tak właściwym wszystkim wyrazem uległej pokory obok dzikiej zuchwałości, spokojnej dobroczynności, obok podstępnej chytrości.

Czwarta w gronie nowych przybyszy postać przystanęła nieruchomie i nieśmiało w cieniu wygiętej krawędzi załomu, i trudno było rozpoznać jej szczególne rysy.

Cygan rzucił pałkę swą na bok i natarczywie zwrócił się do żyda.

— Jest wódka? — zapytał głosem, którego dźwięczna dosadność harmoniowała zupełnie z siłą i wydatnością budowy.

— A konie są? — zapytał żyd skwapliwie.

— Cztery szkapy, drandygi co się zowie, Wasyl pozostał z niemi w Sołtysiem wąwozie.

Jolko uradowany cmoknął językiem i z tryumfem spojrzał na Jurka; a potem szybko sięgnął w zanadrze i wydobył z pod kaftana nową, pełną, zielonkowatą flaszę.

Cygan chciwie przytknął ją do ust i łyknął raźnie jakby czystą źródlaną wodę.

— A wy macie co? — zagadnął nagle

Jurko obudwu górali i wzrok jego po raz pierwszy utknął w ukrytej za nimi nieznajomej postaci.

— Dziesięć paczek samego prostaka, — odpowiedział jeden z górali, uderzając po torbie wyładowanej.

Jurko bystro i niespokojnie wpatrzył się w czwartą postać nowoprzybyłą i na pół podniósł się z miejsca. Za jego przykładem poszła i stara, dotąd ciągle milcząca i nieruchoma góralka i krzaczaste jej brwi zsunęły się głębiej na oczy, a pomarszczone wargi zacisnęły się silnie.

— A cóż to za jegomość? — ozwał się Jurko i wyciągnął rękę ku niemu.

Jańcza odłożył flaszkę od ust i obrócił się niedbale.

— A to nasz student, — odpowiedział spokojnie. — No pójdź tu, baraton.

Ukryta w cieniu postać wysunęła się naprzód, a cała jego powierzchowność dziwnie odbijała się od tej szczególnej drużyny.

Był to młody człowiek z czarnym starannie ułożonym wąsikiem, w stroju węgierskiego jurata z sporem zawiniątkiem na plecach. Czarny okrągły kapelusz z piórem u boku

ocieniał mu twarz piękną i regularną, opięta czarna czamarka węgierska osłaniała figurę smukłą i wydatną.

Wysunął się z cienia nieśmiało, prawie trwożliwie i niespokojnem okiem rzucił na cygana.

Jańcza łyknął nowy spory haust z flaszy i podając ją wypróżnioną do połowy najbliższemu sąsiadowi niedbale machnął ręką.

— Pojdź że tu, baraton! — zawołał wesoło. — Łepski sobie studencisko, — ciągnąc i zwracając się do Jurka, — chciał koniecznie przekraść się przez granicę. Musiał sobie także nieborak czemś poparzyć palce. Nic nam nie zrobi, isten uczuk.

Jurko z podełba spojrzał na cygana, a potem bystro i przenikliwie wpatrzył się w pomięszanego i widocznie przelęknionego młodzieńca.

Jedwocha silniej przygryzła wargi i z dziwnem znaczeniem pokiwała głową.

Znać zauważył to Jurko, bo jakoś dziwnie łypnął oczyma i z widoczną nieufnością zmierzył obcego przybysza od stóp do głowy.

— To wy Węgier panie? — ozwał się przeciągłym śledczym tonem.

— Węgier, — odpowiedział młodzieniec dźwięcznym głosem, ale czystym akcentem polskim i jeszcze o krok postąpił bliżej.

Szlachetna postawa i wyborny ubiór nieznajomego tak wielkie na pytającym sprawiły wrażenie, że mimowolnie sięgnął za kapelusz i skłonił się z uszanowaniem.

Stara góralka znowu po swojemu pokiwała głową.

— Węgier a mówi i rozumie po naszemu, — szepnęła tak głośno, że ją zrozumiał Wargaty Jurko i prędko napowrót nakrył głowę.

— A zkąd-że wam przyszło naszemi bakuniarskiemi manowcami przechodzić przez granicę? — zapytał znowu dawnym inkwizytorskim tonem.

Nieznajomy widocznie zmięszał się na to zagadnienie.

— Miałem przyczynę, — wycedził z niejakiem wahaniem.

Znać jednak spostrzegł dziwne spojrzenia, jakie na tę odpowiedź wymienił pytający z starą nieruchomą jak głaz góralką, bo dodał prędko:

— Musiałem umknąć z kraju, nie miałem innej drogi....

— Ludzie uciekają od nas do Węgier do nas nigdy, — szepnęła znowu stara góralka, a szept jej choć cichy i zupełnie niezrozumiały dla nieznajomego, doleciał uszu Jurka.

— A cóżeście to zrobili, paniczu? — pytał dalej przemytnik, a w głosie jego coraz wyraźniejsza przebijała się surowość.

Nieznajomy zmięszał i zakłopotał się więcej niż pierwszym razem.

Unikam przed branką, — odpowiedział dopiero po chwili namysłu.

— Umhu, — wybąknął przemytnik i z pod oka spojrzał na Jedwochę.

Stara góralka pochwyciła leżącą w pobliżu suchą gałąź i poprawiła żar.

— Pryska! — mruknąła krótko i w słup obróciła oczy.

Dolna wywrócona warga Jurka zadrgała z lekka, a ręka silniej wsparła się o powiązaną strzelbę.

W dzikiem umyśle starego przemytnika widocznie jakieś gwałtowne rodziło się podejrzenie. Spojrzał około siebie jakby chciał zasięgnąć rady swych towarzyszy, ale ci nie zdawali się wcale zważać na rozmowę.

Żyd z cyganem na ustroniu jakieś ciche

i tajemne odbywał targi i rachuby, obaj świeżo przybyli przemytnicy, czyli jak się sami nazywali, bakunarze, zakrapiali się obojętnie pozostałą w flaszce resztą wódki i przeliczali paczki przemyconego bakonu w swych torbach.

Wargaty Jurko gniewnie zacisnął zęby i jadowitym wzrokiem rzucił na cygana.

— A cóż skończycie raz pogańskie syny! — zagrzmiał surowym głosem, i strzelbą stuknął o ziemię, — czy w dzień mamy przeprowadzać konie?

Żyd poskoczył przestraszony, cygan Jańcza wyciągnął się leniwo i ziewnął głośno.

Jurko wysunął się z pod załomu skały i ręką rozkazująco skinął na żyda i cygana.

— Pójdźcie psia wiary, — huknął groźnie, i ukośne na nieznajomego rzuciwszy, spojrzenie, wyszedł na Kruczy dziób.

Za nim leniwo wywlókł się cygan z żydem. Nieznajomy z Jedwochą i oboma góralami pozostał pod załomem skały.

Jurko zatrzymał się na szczycie i bystrem okiem powiódł ku stronie, gdzie niedawno drobne spostrzegał światełko.

— Nie świeci się, — szepnął sam do

siebie jakby uspokojony.

W tej chwili cygan z żydem ukazali się na grzbiecie.

Jurko poskoczył szybko ku cyganowi i silną pieścią pochwycił go za barki.

— Słuchaj ty psie cygański! — wrzasnął przytłumionym i drżącym z gniewu głosem, trzęsąc silnie swym spólnikiem, — zkądeś sprowadził tego zawołokę?

Nieprzygotowany na ten napad niespodziewany, cygan w pierwszej chwili zacisnął i zgrzytnął zębami, ale rychło się opamiętując, wzruszył ramiona, i odpowiedział z właściwą sobie bezmyślną obojętnością:

— Przydybałem go w górach po tamtej stronie, biedaczysko chciał koniecznie przekraść się przez granicę.

— I ty psie pokazałeś mu nasze manowce i zaprowadziłeś do naszej kryjówki! — zawołał nieochłódły w gniewie zaczepnik.

Cygan spokojnie machnął ręką.

— On nie zdradzi, to jakieś durne panisko? Myślisz, że od razu zapamiętał wszystkie manowce i ścieżki? oj to to!

— Czegoś go tu prowadził, drabie — huknął dalej Jurko.

Dał dukata w złocie, sprawiedliwego

dukata, isten uczuk, — odpowiedział cygan niezachwiany w swej spokojnej flegmie.

— Dał dukata, — powtórzył mimowolnie żyd, który milcząc stał dokąd na uboczu i widocznie gorszył się gwałtownością swego spólnika. — Ny, to on musi mieć dużo tych dukatów...

— Mnie dał tylko jednego, — świadczył się cygan uroczyście.

— A kto on jest? — pytał dalej Jurko.

— Albo ja wiem, powiada że student.

— Węgier?

— A jużci Węgier.

— I umie i rozumie po naszemu?

— Lepiej od nas, — potwierdził cygan z naiwną obojętnością.

Zyd czegoś się zamyślił głęboko i spodnią wąską wargę wydął naprzód.

— Student... ma złote dukaty... ny... wiecie co, ja wam coś powiem, — ozwał się głośniej, — może to i student...

— Rewizor przebrany! — ozwał się z boku głos suchy i surowy, a w cieniu nocy ukazała się stara Jedwocha, która nieznacznie wymknęła się od ognia.

Słowa te wywarły magnetyczny wpływ

na wszystkich.

Wargaty Jurko wstrząsł się od stóp do głowy i zadzwonił zębami jak wilk zgłodniały.

Cygan szarpnął się gwałtownie i wyrywając się z rąk wspólnika, stanął w groźnej postawie. Twarz jego przybrała srogi wyraz, oczy zaiskrzyły się złowrogo.

A i żyd drgnął cały i ręką czegoś prędko sięgnął w zanadrze.

— Rewizor przebrany, — powtórzył Jurko ledwie dosłyszanym głosem, i oboma rękami strzelbę wzniósł w górę.

— Nie wypuścimy go żywego! — krzyknął cygan i jakiś szczególny gest zrobił w powietrzu.

— Zabić jak psa, — szepnęła Jedwocha.

— Ma dukaty, — szepnął żyd, — podzielimy się, dodał i ze znaczeniem kiwnął głową.

Wargaty Jurko ścisnął strzelbę i postąpił o krok naprzód. Nagle przystanął na miejscu.

— A jak to nie rewizor? — szepnął cokolwiek zachwiany.

Jedwocha szyderczym wybuchła śmiechem

i nic nie powiedziała. Żyd skwapliwie postąpił naprzód.

— Wiecie co, ja wam coś powiem, — poderwał zwinnym językiem, — ja do niego zagadam po niemiecku, jak on odpowie, to pewnie rewizor. Wy jego będziecie zabijać, a my się potem podzielimy dukatami.

Środek ten przypadł od razu do przekonania Jurka: Jedwocha tylko zaśmiała się szyderczo.

— Dobrze! — zawołał Jurko. — Idź naprzód, a jak tylko odpowie po niemiecku, to ja zaraz prosto w łeb, — dodał i przyłożył się do strzelby.

Jolko niezadowolny pochwycił go za rękę.

— Ny, po co zaraz robić hałas i harmider, — ozwał się przekonywającym tonem, — na co tu strzelać na takiego hapcyźnika, skrobifajkę, ja wam lepiej poradzę.

Tu znowu sięgnął w zanadrze i dobył długi spiczasty nóż.

— Ja będę z nim mówił z przodu, a ty Jurku jego w kark z tyłu. A z dukatami to się podzielimy bez niczej krzywdy.

I ta rada żyda podobała się Jurkowi, pochwycił za nóż i zaciskając zęby, w mil-

czeniu postępował za żydem, który ostatniem spojrzeniem porozumiawszy się ze spólnikiem, szedł naprzód pod załomem skały.

Nieznajomy siedział ciągle na jednem miejscu, jednak widoczny jakiś ogarniał go niepokój, bo co chwila się obzierał i często gwałtownie pocierał czoło. Piękną regularną jego twarz okryła trupia bladość a i górna warga zadrgała czasem konwulsyjnie.

— Czy długo tu będziemy czekać? — zagadnął jednego z bakuniarzy i prawą rękę mocno do czegoś przyciskał w zanadrzu swej opiętej czamarki.

— Aż zawoła Wargaty Jurko, — odpowiedział góral obojętnie przeliczając po raz już dziesiąty przemycone paczki bakunu.

Nieznajomy wsparł się o załom skały, nagle jakby dziwną jakąś tknięty myślą, zaczął bystro rozglądać się daleko, a na twarzy jego szczególniejsze wybiło się zajęcie.

W tej chwili wszedł żyd, za nim Jurko i cygan, a w samym tyle ponura Jedwocha. Młodzieniec zwrócił się żywo ku nim, ale znać tknął go niemile od pierwszego wejrzenia wyraz ich twarzy, bo zdał się więcej jeszcze pobladł i rękę pod suknią silniej

przyciskał do piersi.

Żyd do obłudnego przymusił się uśmiechu i postępując naprzód ku nieznajomemu, zasłaniał wielki manewr Jurka, który nieznacznie zachodził z tyłu.

— Ny, wie gajen, purydz? — ozwał się żyd.

— Gut! — odpowiedział prędko nieznajomy i w tej chwili jęknął z bólu.

Prawie jednocześnie z odpowiedzią zadał mu Jurka zamierzony cios skrytobójczy.

— Giń psie rewizorze! — wrzasnął okropnym głosem i pchnął nożem z całej siły. Ale w szale wściekłości zawiodła go ręka. Nóż przedarł kołnierz czamarki ofiary i ześliznął się bokiem szyi, szerokie tylko sprawiając zadraśnięcie.

Nieznajomy jednym susem odskoczył aż pod przeciwną ścianę załomu, a w wyciągniętej z zanadrza ręki łysnął pistolet.

— Łotrze! — krzyknął piorunującym głosem i wymierzył wprost w łeb skrytobójcy.

Wargaty Jurko stanął w miejscu jak wryty, a nóż wypadł mu z ręki.

Ale w tej samej chwili opuścił i nieznajomy swój groźny pistolet.

Cygan chyłkiem podsunął się z boku i

swą grubą pałką z całą siłą palnął go po ramieniu I nim jeszcze nieznajomy mógł opamiętać się, z boku rzucił się na niego zwinnie i zręcznie jak wilk drapieżny i jednym zamachem powalił go na ziemię.

Zaskoczony znienacka i zdradziecko młodzieniec nie mógł się bronić skutecznie. Cygan oboma kolanami przysiadł mu na piersiach, a obie ręce skrępował w swych żylastych pięściach. A zarazem i żyd z dziko roziskrzonemi oczyma podsunął się naprzód.

Nieznajomy wytężył wszystkie swoje siły, jeszcze raz szarpnął się gwałtownie i oboma nogami kopnął przed siebie. I trafił w samą pierś nachylającego się żyda, który zachwiał się nagle, i padł na znak głową w sam środek rozdmuchanego żaru.

Po tem ostatniem wysileniu pozostał bezwładny i nieruchomy i z dziką rezygnacyą zdawał się oczekiwać nieuniknionego losu.

Cygan jeszcze silniej przytłoczył mu piersi i ścisnął ręce.

— Jurko! — wrzasnął zadyszany, — masz go! Rznij teraz psa rewizora jak barana.

— Rznij, bij, zabij! — wył okropnie

popieczony żyd, suwając głową i karkiem po zimnych ścianach skał.

— Rznij! — zawtórowali obydwaj górale, poskakując naprzód.

Jurko okropne wyrzucił przekleństwo i z dzikim świstem wywinął nożem w powietrzu.

II.

CZARNY MATWIJ.

Prawie jednocześnie z dzikim rykiem rozjuszonego bakuniarza rozległ się tuż w pobliżu wykrzyk drugi, mniej może straszny niż pierwszy, ale tak jakoś silny i przejmujący, że Jurko przy całej swej zaciekłości powstrzymał pół zamachu i jak zaklęty stanął na miejscu: obadwaj górale odskoczyli w bok przerażeni, a sam cygan zwolnił swej przytłoczonej na ziemi ofierze i z wyrazem zabobonnego przestrachu obejrzał się po za siebie.

U wnijścia pod załom skały pojawiła się nagle i niespodziewanie nowa postać.

— Czarny Matwij! — szepnęła stara

góralka i przeżegnała się w przestrachu.

— Czarny Matwij! — powtórzył Wargaty Jurko i opuszczając nóż z ręki, z jakąś tajemną grozą pochwycił za kapelusz, a za jego przykładem poszli i dwaj inni górale.

I nie dziwić się wcale temu osobliwszemu przestrachowi, przypatrzywszy się bliżej nowo przybyłej postaci: na pierwszy rzut oka wyglądała ona raczej na monstrualny twór fantastyczny niż rzeczywistą postać ludzką.

Był to olbrzymiego wzrostu, atletycznej budowy góral, którego fizyognomia i w ogóle powierzchowność cała nie do określenia szpetny i odrażający nosiły wyraz. Niezwykłych rozmiarów głowę okrywał długi, bujny i twardy jak szczeć włos, którego czarna barwa szczególniejsze jakieś przybierała odcienia. Po całej twarzy rozlewały się dziwne czarne plamy, jakby od przepalenia, a tylko w wolnych pomiędzy niemi przedziałkach wyskuwały się skąpe kępy gęstego i szorstkiego zarostu. Pod wysokiem graniastem czołem wyzierało dwoje oczu, jakimś ponurym i złowrogim iskrzących blaskiem. Co jednak głównie przejmowało wstrętem i odrazą w

w tej twarzy, to nos tak jakoś dziwnie załamany i spłaszczony, jak gdyby go jakiś fatalny, nienaturalny dotknął przypadek.

Postaci takiej napróżnoby szukać w naszym bezbarwnym, zniwelowanym świecie powszednim, mogła się znaleźć jeszcze chyba tylko w tych dzikich ustroniach górskich, gdzie w ogóle w dziwaczniejszych i potworniejszych kreacyach lubuje się natura.

Uwolniony na chwilę od srogich uścisków przeciwnika, mógł nieszczęśliwy nieznajomy podnieść cokolwiek głowę i obaczyć nowego przybysza, a lubo cała jego powierzchowność nie mogła przejmować otuchą, zabłysnął promień nadziei w umyśle młodzieńca.

— Cóż tu się dzieje? — ozwał się nagle Czarny Matwij tym samym silnym i surowym głosem, w którym nadto przebijał się jakoś odcień gniewu czy groźby.

W pierwszym momencie nikt jakiś nie ważył się odpowiedzieć.

Dopiero po krótkiej pauzie pierwsza opamiętała się Jedwocha.

— Nic to panie Matwiju, — ozwała się głosem, w którym wyraźnie mięszał się przestrach z uszanowaniem, — złapaliśmy prze-

branego rewizora...

— Psa, rozbójnika! — dodał żyd suwając ciągle po ścianie skały popieczoną część głowy.

Z ponurych oczu Matwija ponury strzelił wyraz.

— Przebranego rewizora? — powtórzył prędko i postąpił o dwa kroki ku nieznajomemu.

— Chcemy zarznąć niecnotę jak barana, — przemówił cygan i na nowo silniej przytłoczył swą ofiarę.

— Ależ na Boga nie jestem rewizorem! — wykrzyknął nieznajomy i szarpnął się z całej siły.

Czarny Matwij drgnął zlekka, jak gdyby głos ten jakieś sprawił zagadkowe na nim wrażenie.

— Puść go! — zawołał krótko i rozkazująco na cygana.

Jańcza z jakimś wahającym wyrazem wypatrzył się na olbrzyma.

— Przebrany rewizor! panie Matwiju! wybąknął na pół proszącym tonem.

— Puść go! — powtórzył Matwij jeszcze z silniejszym naciskiem.

Cygan z niezadowoleniem wstrząsł gło-

wą i spojrzał po swych spólnikach, ale prócz jednego żyda, który skomlił i wił się z bólu, stali wszyscy nieruchomi i jakby oniemieni. Nie śmiał więc opierać się dłużej i rad nie rad uwolnił swą ofiarę.

Nieznajomy szybko porwał się z ziemi.

— Pójdź tu! ozwał się niespodziewany wybawca surowym i rozkazującym tonem.

Nieznajomy zawahał się chwilkę, ale nagle prędko postąpił naprzód.

Czarny Matwij bystrym i przenikliwym zmierzył go wzrokiem, a znać nie dostrzegł w nim nic podejrzanego, bo surowy, dziki jego wyraz twarzy zdawał się łagodnieć potroszę.

Nie wiedzieć zaś, czy czytając w twarzy swego osobliwszego wybawcy, czy jakiemuś nieświadomemu ulegając przeczuciu, ale i nieznajomy widocznie nabierał otuchy i z każdą chwilą stawał się spokojniejszym.

— Zkąd pan przychodzisz? — zapytał naraz Czarny Matwij, stósując sposób mówienia do sukni nieznajomego.

— Z Węgier, — odpowiedział nieznajomy pewnym głosem.

— Węgry szerokie, — szepnął Matwij jakby bliższego pragnął wyjaśnienia.

— Idę wprost z Pesztu, — dodał szybko nieznajomy.

Czarny Matwij jeszcze raz bystro i przenikliwie wpatrzył się w twarz młodzieńca, jakby go na wkroś chciał przeszyć wzrokiem.

— Pokaż pan rękę! — ozwał się na nowo.

Nieznajomy wyciągnął rękę.

Czarny Matwij wpatrzył się w nią badawczo.

— Tak, prawda, — szepnął z cicha, nie jesteś rewizorem.

Nieznajomy gwałtownie wstrząsł głową.

Czarny Matwij surowym wzrokiem powiódł po bakuniarzach.

— Chcieliście zamordować niewinnego! — zawołał, to nie jest rewizor!

Cisza panowała dokoła, nikt nie śmiał się odezwać z słowem powątpiewania.

Sama nawet Jedwocha w dół spuściła oczy i pochyliła głowę, jakby z pokorą przyznawała się do winy.

Czarny Matwij chwilkę spozierał w milczeniu po całej grupie, a nagle dłużej zatrzymał się okiem na Wargatym Jurku, którego dawną dziką gwałtowność zastąpiła nagle ja-

kaś ponura, apatyczna uległość.

— Jurko — ozwał się Czarny Matwij surowo i jedną rękę uroczyście wzniósł w górę, — przestrzegałem cię przed dwoma laty, a nie usłuchałeś mojej rady. Powiedziałem ci: porzuć spółkę z żydem i cyganem i nie wdawaj się w złodziejstwa, a ty trwasz w swojem. Jurku! mówię ci jeszcze raz: to ciężki weźmie koniec!

Jurko wstrząsł się jak w febrze i szeroko z przestrachem rozwarte oczy wlepił nieruchomie w mówiącego.

Czarny Matwij ciągnął dalej tymczasem poważnym i uroczystym tonem:

— Żyd cię zdradzi i sprzeda jak bydlę, cygan opuści cię w pierwszej potrzebie, a rewizory złapią cię jak psa, i pamiętaj zginiesz w kryminale albo będziesz wisiał na haku i ludzie będą kląć i wyzywać na ciebie po śmierci, bo nie zginiesz jak uczciwy bakuniarz, ale jak prosty złodziej.

Dziwnie jakoś poważnie i imponująco wyglądała przy tych słowach cała postać mówiącego, i coś naprawdę proroczego przebijało się w jego głosie. A szczególny dźwięk tego głosu nie tylko jakieś silne i gwałtowne na samych bakuniarzach wywierał wrażenie,

ale przejmował także do głębi nieznajomego młodzieńca. Jak w tęczę wpatrzył się w swego tajemniczego wybawcę, i zdawałoby się, że straszne i szpetne rysy jego twarzy napawają go raczej jakąś nieświadomą otuchą i sympatyą, niż obrzydzeniem i odrazą.

Czarny Matwij milczał chwilkę, jakby wyczekiwał wrażenia słów swoich, a potem znowu rękę wzniósł w górę i tym samym na nowo ozwał się tonem:

— Pamiętaj Jurku co ci mówię tej nocy, i wy pamiętájcie, — dodał, zwracając się do innych. — Niezadługo przyjdzie czas, kiedy sobie dobrze przypomnijcie słowa Czarnego Matwija! A teraz bądźcie zdrowi i róbcie co chcecie.

Po tych słowach machnął ręką i zasadziwszy głębiej kapelusz, zwrócił się ku wychodowi.

— Pójdź za mną, panie! — ozwał się krótko niemal rozkazująco do nieznajomego.

Ten jakby jakiemuś pomimowolnemu ulegał pociągowi, pochwycił za swe zawiniątko i nie spojrzawszy nawet na niedawnych zapaśników, pospieszył skwapliwie za swym wybawcą.

Banda bakuniarzy pozostała w niemem

milczeniu pod załomem skały, nikt nie śmiał odezwać się ani z jednem słowem: tylko stara góralka pokiwała głowę i coś niezrozumiale mruknęła przez zaciśnięte zęby.

Na dworze nie rozpierzchła się jeszcze ciemność grobowa, wiatr wył ciągle dziko i przeraźliwie, a niebo zda się jeszcze grubszemi i czarniejszemi zasunęło się chmurami.

Czarny Matwij przystanął na chwilę na szczycie Kruczego dzióbu: a w tem nagle płomienna błyskawica w bezkształtny zygzak rozdarła niebo, i w krótkiem mgnieniu oka oćmiewającym blaskiem oświetliła dziką okolicę, a jednocześnie rozległ się powolny, stopniowy hurkot grzmotu, jakby pierwszy ostrzegający zwiastun rozpasującej się walki żywiołów.

— Nie mamy czasu do stracenia, — mruknął Czarny Matwij, — dalej za mną co tchu, bo nie przebędziemy potok. Trzymajcie się laski mojej, — dodał prędko, podając nieznajomemu cięższy koniec swej laski z toporkiem.

I tuż zaraz zbiegł na jakiś wąski, sobie tylko znany manowiec.

Nieznajomy pochwycił podany koniec laski i pomknął ślepo za swym przewodnikiem.

I długo biegł szalonym pędem, z zamkniętemi niejako oczyma w górę i na dół, pociągany na pół bezwładnie laską swego towarzysza, który mimo nieprzebitej ciemności nocy, tak bacznie trzymał się krętej ścieżki, jak gdyby po bitym i wygodnym biegł gościńcu.

Nieznajomy nie miał jeszcze czasu odetchnąć, a już spory upędziwszy kawał, znalazł się nad wysokim brzegiem małego potoku, co skocznym rwistym pędem mknął pomiędzy stromemi i skalistemi ścianami gór.

Na niebie tymczasem coraz sroższa rozpasywała się walka. Grzmot rozlegał się po grzmocie, błyskawica ścigała błyskawicę, a jakby umyślnie aby tem straszniejszą uczynić walkę u góry, ustała burza i w jednej chwili ucichło na ziemi.

Czarny Matwij nie zatrzymywał się u brzegu potoka, gęste błyskawice oświetlały ślad ścieżki, bez wytchnienia też pomknął w dół, pociągając za sobą swego na pół nieżywego ze znużenia towarzysza. I zaledwie w bród przeszedł potok i zaczął na nowo piąć się w górę, lunął deszcz jak z procy, i dzika gra żywiołów rozszalała w całej swej nieokreślonej gwałtowności.

Burza zawyła na nowo, niebo wnet płonęło w ognistych zygzakach błyskawic, wnet czarnym jak węgiel osłaniało się kirem, a grzmoty to łamały się zwolna i przeciągle, to jednym ogłuszającym strzeliły ku ziemi gromem. I nim jeszcze jeden grom w tysięcznych przebrzmiał i przełamał się echach, już na nowo zahuczały chmury i nowy piorun mknął ku ziemi.

I jakaś straszna, dzika harmonia przebijała w tej rozpasanej, grozą przejmującej walce. Zdawałoby się, że na harfie z chmur i grotów piorunnych jakaś niewidoma gra ręka, i w jakiś ład tajemniczy, w jakieś akordy spojone, ustraja wszystkie te rozszalałe ryki i tony.

Tak przynajmniej przedstawiała się chwila ta w duszy nieznajomego młodzieńca, który ostatnich wytężając sił, piął się za toporem swego przewodnika na przeciwny szczyt brzegu.

Czarny Matwij nie dał mu wytchnąć ani na chwilę. Głuchy na otaczającą go walkę przyrody, biegł naprzód bez opamiętania i coraz gwałtowniej pociągał za sobą swego towarzysza.

Niebawem osiągnęli obadwaj stromy

szczyt brzegu, ale tu już nie mógł nieznajomy młodzieniec dotrwać dalej. Szalony bieg po górach, a więcej jeszcze upływ krwi z ciężkiego zadraśnięcia u szyi, pozbawił go sił zupełnie i jakiś dziwny owładnął go zawrót. Opuścił koniec laski swego przewodnika i bezsilny padł na ziemię. Powieki skleiły mu się same od siebie, jakby jakimś ołowianym przygniecione naciskiem, a dziki ryk żywiołów zaczął stopniowo głuchnąć i gubić się zupełnie w jego uszach.

— Nie.... nie mogę dalej, — szepnął z ostatniem wysileniem, i bez przytomności powalił się na znak.

Czarny Matwij nie mógł zapewne słyszeć jego głosu, bo w tej chwili grzmoty z podwójną zahuczały gwałtownością, piorun uderzył tuż w pobliżu, a z dzikiem wyciem burzy przymięszał się szum rozhukanego potoku, który w jednej chwili w gwałtowny wezbrał strumień, zrównał się z wysokiemi brzegami, i spienionemi falami dosięgał już krawędzi skały, na której bezsilnie i nieprzytomnie powalił się młodzieniec.

III.

WILCZA SZCZĘKA.

Krętym, bezkształtnym łańcuchem ciągną się w dal nagle szczyty Beskidu, tworząc z wolą natury graniczny przedział między dwoma sąsiedniemi krajami. Połamane w tysiączne potworne skały, porozdzierane niezliczonemi wąwozami i przepaściami, spływają się po jednej i drugiej stronie z pasmami gór których szczyty okrywają skarłowaciałe krzaki jałowcu, a stopy zacieniają gęste, szerokie lasy świerkowe. Ze wszystkich stron wymykają się drobne strugi i potoki, jakby pęk rozwianych wiatrem nici srebrzystych, a aż w niedostrzeżonej z z najwyższych szczytów głębi, zlewają się w wąskie i płytkie koryto, które dopiero nieco dalej dumne i przesławne przybiera miano. To święty Dunaj słowiański! Stary Dniestr sinobrody! niemy świadek tylu wiekopomnych walk i klęsk swych plemion wybrzeżnych, zamącony łzami powiernik tylu skarg w

ciężkich dobach pogańskiej niewoli, opiany niezliczonemi pieśniami i dumami wieszczy zwiastun przyszłej pomyślniejszej słowiańskich ludów doli.

Ale nagie szczyty Beskidu wysyłając ku niemu skąpe źródło, jakby krew sercową z swego łona, nie widzą jego początku i nie cieszą się sławą i świetnością późniejszą: smętne i ponure pozwieszały pomarszczone czoła, i patrzą w dal martwe i nieruchome, jakby szereg zakamieniałych na granicznej straży olbrzymów.

Najwyższy i najpotworniejszy z nagich szczytów tej okolicy, gdzie odbywa się działanie naszej powieści, jeży się pomiędzy dwoma przepaścistemi wąwozami o dobre staje od znanego nam Kruczego dzióbu. Lud w swem prostem narzeczu nazywa go Wilczą szczęką od dziwnego kształtu jego wierzchołka, który po jednej z swych najstromszych ścian w szeroką i głęboką rozwarł się przepaść, a wnijście do niej najeżył kilku ostremi szczerbami, podobnemi zdala do olbrzymich kliw skamieniałych. Utworzona w ten sposób jaskinia, wyglądała w samej rzeczy jak rozwarta, zębami najeżona paszcza poczwarna, którą wewnątrz nieprzebita zalegała ciemność.

Jak daleko sama jaskinia ciągnęła się w głąb góry, nie wiedział nikt w okolicy, bo nikt na żadne skarby świata nie ważyłby się nawet zbliżyć do niej. Od lat niepamiętnych rozsiewała Wilcza szczęka piekielny popłoch między zabobonnym ludem górskim. W jej nieprzystępnem łonie ukrywał się djabeł, który tysiącznych w okolicy dopuszczał się psot, i o którym niezliczone obiegały podania gadki i wieści. Nie było górala na dziesięć mil w pobliżu, coby w tej lub owej postaci nie widział przynajmniej raz w życiu piekielnego mieszkańca Wilczej szczęki.

Dzikie okolice górskie to błogosławiona ojczyzna najgrubszych i najpotworniejszych zabobonów i przesądów. Wobec cudów i dziwów natury łatwo uwierzyć w dziwa i cuda innego rodzaju. Olśniony umysł, zatrwożona wyobraźnia otwierają skorzej wszelkim wrażeniom nieogadnionym, i każde niezwyczajniejsze zjawisko przedstawia im się w jakiejś sile nadprzyrodzonej. A nizki stopień oświaty, ciasny zakres rzeczywistych doświadczeń tak szerokie do tego otwiera pole.

W górach nie masz starej baby, któraby z wiekiem nie nabywała także pewnych nadnaturalnych przymiotów i własności, a co

dziesiąta, to już czarownica z profesyi, biegła mistrzyni w wszystkich praktykach piekielnych, gorliwa uczestniczka nocnych harców i biesiad na Łysej górze. Każda dziksza okolica ma już swego własnego djabła lub djablika, a ileż to ziół cudotwórczych rośnie dziko po tych górach i lasach nieprzejrzanych! Byleś tylko był dobrze świadom wszystkiego, a potrafisz uszczknąć i cudowny kwiat paproci i nie mniej cudowne ziele kądziedralę, przydybiesz lada gdzie i ów tajemniczy korzonek gromowłady, za którego najlżejszem poruszeniem w ziemi huczą grzmoty, migają błyskawice, biją gromy i spadają deszcze ulewne: i ileż innych jeszcze tym podobnych ziół i korzonków ściele się co krok pod twemi nogami. Szkoda tylko, że tak mało ludzi zgłębiało ich cudowne tajemnice, a i tych niewielu dla jakichś tajemniczych paktów piekielnych, tak rzadko korzysta ze skarbów swej nabytej wiedzy.

Jeśli nie wierzysz wszystkiemu, to udaj się tylko do piekielnego mieszkańca Wilczej szczęki, Czarnego Fed'ka, jak go nazywają górale! to najwyższy władca złych duchów Beskidu, arcymistrz wszelkich praktyk czarodziejskich, główny przewodnik i gospodarz

łysogórskich praktyk i biesiad. Szczęśliwa czarownica, z którą on rozpoczyna taniec, wszechwładny w czary i sztuki, kto z nim zawarł pakt dobrowolny i okupił sobie jego łaski i nauki.

Jak tylko północ nastanie na ziemi, zaraz wre i huczy w Wilczej szczęce. Czarny Fed'ko wchodzi w swą władzę, otacza się świetnym dworem, i aż do pierwszego zapiania koguta w najbliższej wsi, w Krużoskalu, dokazuje co mu się podoba, a tak swym piekielnym oddechem zatruwa powietrze, że aż do samego rana nie czuć na całym Beskidzie, jak tylko siarką i smołą.

Nie raz niecnota sprowadza sobie jakąś kapelę piekielną z samych sów, kocurów, kruków i puchaczów, i tak straszny wówczas na Wilczej szczęce powstaje gwar, pisk, huk i wrzask, że aż najwyższe trzęsą się góry, najgęstsze chwieją się lasy. Nie raz jakieś huczne biesiady wyprawia w swym przybytku, bo na kilka mil rozlega się brzęk kielichów i wrzask wiwatów. Potrawy i trunki to znać wiadrami ciągną sobie z piekła, bo zawsze drży i trzęsie się ziemia: i jakiś huk i turkot podziemny słychać do koła.

Po nocnych rozpasanych praktykach i

brewerjach, Czarny Fed'ko usypia nad ranem, i wtedy cicho i głucho robi się na Wilczej szczęce. Czasami tylko zachrapnie lub kichnie zakrztuszony siarką a ludziom się zdaje, że to nagły grzmot lub piorun.

We dnie rzadko kiedy wyściubia nosa z swej jaskini a zawsze w takim razie przerzuca się w jakąś inną postać: raz w burego wilka, w kota czarnego, wnet w psa bez ogona, wnet w mysz olbrzymią, wnet w puchacza z długiemi uszyma, czasami w ropuchę nadętą kiedy niekiedy w rewizora, jak wielu poświadcza bakuniarzy, a raz nawet ukazał się na Wilczej szczęce w niebieskim fraku z małą czapeczką na głowie, z okularami na nosie i z piórem za uchem, kubek w kubek podobny do pana komisarza Schnoferl. Ujrzał go tak wójt z Krużoskali i co żywo zdjął kapelusz, a Fed'ko się zaśmiał, nagle tysięc zawyło kocurów i tysiąc zakrakało kruków, i furknął w powietrzu, że ani śladu nie pozostało, tylko ziemia zadudniała i smoła i siarka zawiała z oddali.

Biedny wójt aż zachorował ze strachu, a kiedy tylko później stawał przed panem komisarzem Schnoferl, nie omieszkał nigdy przeżegnać się naprzód i splunąć w

bok, aby po raz drugi nie dać się omamić złudzeniu.

Piekielny mieszkaniec Wilczej szczęki miał się znać osobiście z wszystkiemi czarownicami i nie z jedną osobiście także wchodził w targ o duszę, z tem wszystkiem nie bardzo znać lubił się poufalić z ludźmi, kiedy nawet i ci, co się przechwalali jego szczególnemi względami, omijali starannie jego przybytek, i bali się jego praktyk czartowskich zarówno jak i wszyscy inni ludzie.

Jeden tylko człowiek robił wyjątek, i jawnie i otwarcie utrzymywał ciągle z mieszkańcem Wilczej szczęki stosunki i konszachty, a tym człowiekiem był nasz osobliwszy znajomy z Wilczej szczęki Czarny Matwij.

Dziwne też obiegały o nim wieści.

Czarny Matwij pojawił się nagle w tej okolicy, jakby wyrósł z pod ziemi. Nikt nie wiedział co za jeden, zkąd się wziął i jak się nazywa właściwie. Przed piętnastu niespełna laty zjawił się w najdzikszych ostępach gór i długo bez celu błąkał się po odludnych wąwozach i manowcach. Spotykali go często bakuniarze, widywali zdala pastuchy, a przera-

żająca jego postać i powierzchowność cała na różne potworne naprowadzała domysły.

Z początku mówiono, że to opryszek, następnie, że to szpieg rewizorów czatujący na bakuniarzy, wreszcie, że to sam Fed'ko z Wilczej szczęki, przerzucony w tak szpetną postać ludzką.

Tymczasem nieznajomy wędrowiec błąkał się ciągle po górach, aż nagle zaczął znosić drzewo na wierzchołek Wilczej szczęki, i w przeciągu kilku tygodni wystawił sobie bez wszelkiej obcej pomocy wygodną chatę o jakie sto kroków od czartowskiej siedziby.

Potem za gotowe pieniędze kupił kopę okłotów u żyda z Krużoskalu i poszył swój budynek, a za dwa czy trzy tygodnie wystarał się zkądziś o kilka kóz, i na piękne zagospodarował się w swej odludnej osadzie. I zaraz wieść gruchła po całej okolicy, że nieznajomy przybylec to człowiek: „niesamowity,“ zapisany djabłowi, wróżbita i czarownik na wielki kamień.

Wszakże i w tem dzikiem, osłowionem miejscu nie można było wyłamać się zupełnie z pod opieki władzy, i osiedlić się stale bez upoważnienia jurysdykcyi miejscowej. A pan mandataryusz z Krużoskalu, w którego obręb

urzędowy wpadła Wilcza szczęka, przestrzegał pilnie swej powagi. Przy pomocy rewizorów, którym nie bardzo jakoś imponowało sąsiedztwo djabelskiej pieczary, kazał sobie dostawić do dominium nieznajomego osadnika.

Ten nie stawił żadnego oporu, poszedł dobrowolnie za wezwaniem. Mandataryusz gotował się na jakiś protokół przydłuższy, jakieś surowe śledztwo i badanie, ale Bóg wie jakim czarodziejskim sposobem czy zaklęciem potrafił obcy przybylec zażegnać burzę i uspić energię gorliwego urzędnika. Zamiast długiej pisaniny, skończyło się wszystko na krótkiej rozmowie ustnej.

Pan mandataryusz po kilku słowach udobruchał się i złagodniał jak dziecko, i z weselszym uśmiechem na twarzy, a ręką czegoś silnie zaciśniętą w kieszeni, uwolnił niezwłocznie nieznajomego przybłędę. Być może, że mu się wykazał potrzebnemi papierami, lub innym jakimś skuteczniejszym do mandataryuszowskiego sumienia przemówił środkiem, dość że jednym zamachem uwolnił się od wszystkich śledztw i protokołów, i mógł dalej mieszkać swobodnie na swej dzikiej osadzie.

Dowiedziano się tylko we wsi, że obcy

przybysz nazywa się Matwij Czarny, że jest biednym pogorzelcem z niedalekich stron, i po utracie całego mienia i dobytku, nie zawadzając nikomu, pragnie znaleźć przytułek w tej okolicy.

Rozniosło się też niebawem szeroko, że zna się wybornie na leczeniu bydła, a nawet w niejednym wypadku umiałby zaradzić i ludzkim chorobom. I jakoś zaraz trafiło się, że Krużokalskiemu gospodarzowi padł wół, a dwie krowy już miano dobijać, kiedy przypadkiem zjawił się Matwij i jakby cudem pomógł obydwom krowom. W niespełna tydzień potem wybuchła choroba w księdzowym szałasie, a przywołany Matwij i tu od razu zaradził złemu.

Od tej chwili ustaliła się sława lekarska nieznajomego przybłędy. Odrażająca jego powierzchowność, bliskie sąsiedztwo z djablim siedliskiem i tajemniczość pochodzenia, otaczały go jakimś dziwnym urokiem w oczach zabobonnego ludu. Uznano go powszechnie za „niesamowitego“ a jego przezwisko Czarny, przemieniło się u ludu na odpowiedni powierzchowność przymiotnik, i zwano go Czarnym Matwijem.

Ani jednak ten przymiot „niesamowi-

tości,“ ani ta powierzchowność odrażająca nie mogły wstrzymać całej okolicy, aby w razach nagłych nie uciekano się do jego rady i pomocy. Z wzrastającą sławą lekarza na bydło, zaczął Czarny Matwij leczyć i ludzi.

W ciężkiem nieszczęściu gotów człowiek przyjąć pomoc od samego djabła, tem bardziej zaś od jego domniemywanego ucznia, kiedy darmo zaradził złemu, a żadnych zgubnych dla duszy nie stawiał warunków.

Zresztą i na djabła rozum ludzki znachodzi sposoby.

Doznawszy pomocy Czarnego Matwija, nie omieszkał zaraz przezorny góral dać na mszę, pokropić święconą wodą chatę i obejście aby tym sposobem oczyścić się od wszelkich złych wpływów, i ustrzedz od dalszych zgubnych następstw.

Pokazało się też w samej rzeczy, że przy takich środkach ostrożności pomoc Czarnego Matwija nikomu nie przynosiła zguby, ani na duszy, ani na ciele, i choć sam Matwij był niesamowitym, nie ogarniał nikogo złym wpływem i nie narzucał na innych czartowskich sieci.

I tak się jakoś powoli utarły i ułożyły sprzeczne wyobrażenia u ludu, że choć wszy-

scy z zabobonną grozą wspominali imię Czarnego Matwija, nie wahali się w każdej potrzebie uciekać do jego pomocy.

A Czarny Matwij nie wymawiał się nikomu, biegł zawsze skory na ratunek każdemu, ktokolwiek udał się do niego.

I najzawołańsi lekarze, z uroczystemi dyplomami doktorskiemi, mogliby by mu pozazdrościć jego szybkiej sławy, wziętości i ślepego zaufania, jakie miewał u swych pacyentów. Kto raz skłonił się zawezwać pomocy Czarnego Matwija, pewnym był zaraz, że ozdrowieje, a sama ta już wiara mogła przywrócić do sił chorego.

Czarny Matwij nie używał zresztą żadnych szczególnych leków, zimna woda i pospolite, powszechnie znane zioła, musiały zastępować wszelkie wynalazki i preparata nowoczesnej farmakopii. I koniec końców, Czarny Matwij jak był dla wszystkich przedmiotem tajemnej grozy i odrazy, tak w razie choroby stawał się jedyną ucieczką i nadzieją najzabobonniejszego górala. I nie potrzeba głębokiego psychologa, aby sobie wytłumaczyć to tak dziwne na pozór zjawisko. Żarliwi bigoci wyższego wykształcenia uciekają się nie raz z prostej ciekawości do rad

wrożek i nekromantów, dlaczegóżby lud prosty pod brzmieniem cierpienia nie miał brać pomocy choćby i od „niesamowitego“ człowieka.

Poznawszy już jednak osobistość Czarnego Matwija i nasłuchawszy się tyle o jego działaniu, wypada zajrzeć na chwilę do jego mieszkania.

Chata jego jak wiemy stoi na samym szczycie Wilczej szczęki, o jakich sto kroków zwyż tajemniczej pieczary, która nadała nazwę całej górze.

Jakiś niewysłowiony dziki i ponury urok otacza samotną osadę. Wilcza szczęka spada od strony pieczary prostopadle w mały potok, który po każdym deszczu w gwałtowny wzbiera strumień: po dwóch stronach bocznych zniża się góra stromemi, skalistemi ścianami w bezkształtne, bryłami kamieni najeżone parowy, i tylko w jednym kierunku wolny pozostawia przystęp, zniżając się nagiemi, coraz niższemi garbami w głęboki jar, okryty gęstym lasem świrkowym.

Szczyt Wilczej szczęki panuje nad całym Beskidem jak daleko oko sięgnie w dal, a porywający widok przedstawiają te dzikie góry ze swemi skałami, pieczarami, parowa-

mi, wąwozami, strumykami i temi nieprzejrzanemi smugami lasów po obu stronach.

Nizką, mnogiemi słupami popodpieraną chatę Matwija, podobną zdala do wystawionej na prędce budy pastucha, otacza do koła wysoki płot, wzniesiony znać jedynie dla powstrzymania gwałtownych prądów burzy.

Wązkie z mnogich, drobnych szybek złożone okienko, skąpe tylko promienie światła wpuszcza ze dworu, i blado rozjaśnia wnętrze chaty, które w niczem się nie różni od zwykłych ubogich mieszkań góralskich. Wązki w zatyle stół pomiędzy dwoma ławami, u boku po jednej stronie tapczan ze słomą, po drugiej nie wielka skrzynia bez okucia, szerokie półki po ścianach i nie wielkie ognisko w kącie, tworzą całe wewnętrzne urządzenie chaty.

Czarny Matwij był w tej chwili w domu, ale nie sam jeden, bo nad zarzącem ogniskiem obok jego guni i kapelusza wiszą jakieś inne, odmienne suknie przemokłe.

Na słomie tapczana, okryty starym kożuchem baranim, leży nasz znajomy młodzieniec z Wilczej szczęki. Nie wiedzieć, czy jeszcze nie odzyskał przytomności, czy po ciężkiem znużeniu zapadł w sen głęboki, bo

spoczywa jak kłoda na s'omie, i nie daje żadnych objawów życia.

Czarny Matwij stoi nad tapczanem i ze szczególnym jakimś wyrazem wpatruje się w jego twarz bladą. Znać jednak opatrzył mu już ranę od noża Wargatego Jurka, bo całą szyję obwija jakiś mokry szmat płócienny.

Młodzieniec oddycha ciężko, pierś jego wznosi się wysoko. Czarny Matwij chwilę jeszcze spozierał nań w milczeniu, potem jakiś blady cień uśmiechu mignął na jego surowej twarzy, wstrząsł się czegoś zlekka i zwolna przystąpił do okienka.

Po niedawnej srogiej nawalnicy, dziwnie pięknie i pogodnie wygląda oblicze nieba. Ani jedna chmurka nie przyćmiewa jasnego przejrzystego błękitu, a słońce w całej wspaniałości wytoczyło się na widnokrąg. Szczyty gór powysychały w jednej chwili, dalekie lasy w najpiękniejszej jaśnieją zieleni, dołami tych huczą nie zupełnie jeszcze uspokojone potoki, i równo z brzegami toczą mętne i spienione fale.

Czarny Matwij w ponurem zamyśleniu patrzył w dal, nagle ocknął go lekki wykrzyk za plecyma.

Nieznajomy obudził się ze snu i podniósł

się do połowy na tapczanie.

— Gdzie jestem! co się ze mną dzieje?— wykrzyknął.

— Bądźcie spokojni, panie, jesteście u mnie, — przemówił Matwij starając się widocznie złagodzić cokolwiek szorstki dźwięk swego głosu.

Nieznajomy przetarł oczy i na pół nieprzytomny obejrzał się do koła.

— A, to wy, mój wybawca, mój przewodnik, — ozwał się po chwili jakby zwolna przychodząc do siebie.

— Tak, ja to, — odpowiedział Matwij i bliżej przystąpił do tapczana. — Czy już wam lepiej, panie?

— Lepiej, znacznie lepiej! Lecz jakże się tu dostałem?

— Przyniosłem was na ręku, boście zemdleli w drodze.

Młodzieniec wyciągnął rękę do swego gospodarza i uścisnął go serdecznie.

Dzika twarz Matwija złagodniała do niepoznania. Serdeczny uśmiech nieznajomego zdawał się wzruszać go do głębi.

— Leżcie spokojnie, panie,—ozwał się po krótkiej pauzie, jak gdyby chciał gwałtem odegnać mimowolne i niezwykłe u siebie

wzruszenie. — Przeziębiliście się i możecie rozniemódz się na prawdę.

Nieznajomy wpadł nagle w jakieś dziwne zamyślenie.

— Słuchajcie Matwiju! — zawołał prędko, — czy wy ciągle przebywacie w tych okolicach?

— Od lat piętnastu.

— Tylko od lat piętnastu? — mruknął młodzieniec.

— Albo cóż? — zapytał Matwij.

— Czy znaliście kiedy tego sławnego bakuniarza Maksyma?

Po twarzy Czarnego Matwija prędko jak błyskawica jakiś osobliwszy przeleciał wyraz.

— Maksyma? — powtórzył szorstkim i surowym naraz głosem, i jakoś groźnie czy podejrzliwie zpodełba wpatrzył się w nieznajomego. — A zkądżeście to słyszeli co o Maksymie?

Młodzieniec zdawał się cokolwiek zmięszany.

— Przez całą drogę prawili mi o nim bakuniarze, z którymi przechodziłem granicę, — odparł po krótkiej pauzie.

Czarny Matwij ponuro zmarszczył czoło, i

bystrzej jeszcze wpatrzył się w nieznajomego.

— Słuchajcie panie, — ozwał się nagle szorstko i prawie rozkazująco, — powiedzcie mi prawdę: kto jesteście i pocoście tu przyszli właściwie?

I to mówiąc, w jakieś na pół groźnej na pół uroczystej postawie zbliżył się jeszcze więcej do tapczana.

Nieznajomy zmięszał i zakłopotał się widocznie.

— Nie mam wam nic do zatajenia, — odparł po krótkiej chwili dość już pewny siebie, — jestem urodzony na tej ziemi, ale od dzieciństwa wychowałem się po tamtej stronie gór. Tam pokończyłem nauki, urosłem w dojrzalsze lata i teraz nagle uczułem nieprzezwyciężony pociąg zwiedzić moją ojczystą ziemię, posłyszeć dźwięk tej mowy, która mimo tylu lat spędzonych wśród obcych ludzi, nie zatarła się w mej duszy i pamięci. I otóż jedyny powód, dla którego tu przyszedłem.

Czarny Matwij z osobliwszem zajęciem słuchał spowiedzi młodego człowieka, a znać znajdował ją szczerą, bo twarz jego łagodniała znowu zacznie, a pierś jakiemś tłumionem znać westchnieniem rozparła się gwałtownie.

— Więc wy urodzeni na tej ziemi! — zawołał zmienionym głosem, — i przybyliście tylko aby ją oglądać napowrót!

— Nie mogłem oprzeć się nieprzełamanemu pociągowi.

Czarny Matwij odetchnął głośno, jakby już w żaden sposób nie mógł stłumić westchnienia.

— I to prawda wszystko co mówicie? — zapytał żywo.

Nieznajomy spokojnie spojrzał mu w oczy, a Matwij nie czekał już odpowiedzi.

— A zkądże wam przyszło pytać się o Maksyma? — zagadnął na nowo.

Nasłuchałem się tyle o nim od bakuniarzy, że z prostej ciekawości chciałem się dowiedzieć jeszcze czegoś więcej, — odrzekł znowu cokolwiek zmięszany tem nagłem dorywczem zapytaniem.

Matwij wstrząsł głową i szeroką szorstką swą dłonią potarł po czole.

— Nie znałem nigdy Maksyma, — ozwał się po niejakiem wahaniu, ludzie mówią, ze go zastrzelili rewizory.

Nieznajomy jakieś nowe zapytanie miał na ustach, kiedy nagle drzwi rozwarły się na ościeź, a w progu ukazało się troje ludzi,

ściśniętych do kupy w jakiejś tajemnej grozie i obawie.

— A co tam powiecie? — zapytał żywo Matwij.

— Horpynie wdowie zasłabła krowa, — ozwał się jeden głos najśmielszy, — toż prosi pana Matwija, czybyście nie byli łaskawi poradzić.

— Idę za wami, odpowiedział Matwij krótko i porwał za mokrą jeszcze gunię i kapelusz.

Posłańcy biednej Horpyny pierzchnęli przerażeni z progu i uciekając co żywo z Wilczej szczęki, przysięgali sobie wzajem, wśród drogi, że na tapczanie u czarnego Matwija widzieli djabła we własnej osobie.

Tajemniczy lekarz pospieszył tuż za niemi, a wpadłszy na krótszy jakiś manowiec, zapewne prędzej jeszcze od nich stanął w miejscu potrzeby.

W jego chacie pozostał sam tylko nieznajomy wędrowiec.

IV.

DWÓR W KRUŻOSKALU.

Jeżeli sprzykrzyły ci się już czytelniku te dzikie i ponure obrazy u najwyższego

grzbietu Beskidu, to puść się tylko wraz ze mną za tym małym potokiem co po jednej stronie opłukuje stopy Wilczej szczęki, w labiryntowych zakrętach przez tysiączne parowy, wąwozy i wandoły mknie niepowstrzymanym pędem do koryta Dniestru. O niespełna milę od samej Wilczej szczęki prześliczna odsłoni ci się okolica.

Potok wypada nagle z ciemnych borów w szeroką dolinę, opasaną z trzech stron górami, a z czwartej połączony ciasnym przemykiem z żyzną i rozległą halą.

Wzdłuż jednej ściany wzgórz, tuż nad samym potokiem, ciągną się bezwładną gromadą chat w gęstym cieniu drzew, jedna z największych wsi górskich, Krużoskale. Jak gniazda jaskółcze poprzyczepiały się drewniane chaty i lepianki do boków i grzbietów gór, i ciągną się szeroko i daleko aż do drewnianej kopuły cerkiewki i okazałego zdala dworu na wysokim garbie po zachodnim krańcu doliny, która poorana w skiby, miedze i zagony, o troskliwej świadczy uprawie, i jest niejako pierwszym przylądkiem cywilizowanego świata u stoku Beskidu.

Krużoskale to wieś głośna w całej okolicy, a zamożna jak prawie żadna inna wśród

jałowych ostępów gór. Nie żyzniejszą jest ci tu wprawdzie ziemia jak i w wszystkich dalszych siołach ościennych, cały plon polny ogranicza się głównie na owsie, tu owdzie tylko na mozolnie uprawianych polach dworskich ukaże się wąski spłacheć dościgającego aż pod zimę żyta lub jęczmienia, ale mieszkańcy natchnieni jakimś szczęśliwym instynktem, czy nauczeni żelazną potrzebą, umieją zawsze skąpstwo gleby nagradzać sobie w znacznej części owocami przemysłu. Mnogie szałasy owiec i stada bydła wypasują się po krużoskalskich górach, halach i płoninach, aż daleko na Bukowinę i głąb zakordowanego Podola wyprawiają się krużoskolscy chłopi z furami jałowca, a na wszystkich jarmakach górskich słyną krużoskalskie wyroby drewnianych łyżek, warzęch, kołotewek, konwi, cebrzyków. Krużoskale jest niejako królową wszystkich ościennych tak ubogich wsi górskich, a o zamożności mieszkańców świadczą przestronne przy każdej niemal chacie stajnie i obory.

Toż i dwór w Krużoskalu odpowiednio fizyognomii sioła nie miał sobie równego w całej tej górskiej okolicy. Lubo tylko z drzewa zbudowany, rozpierał się szeroko i oka-

zale na wysokim garbie o małą staję od cerkwi, od której go przedzielały kapryśne zakręty potoku. Na przestronny dziedziniec z klombem i studnią pośrodku, wychodził ganek o sześciu słupach murowanych, do boku przypierały po jednej oficyny, po drugiej piwnice i rodzaj lamusu, w zatyle ciągnęły się budynki gospodarskie, niewielka szopa i stodoła, ale za to długa i szeroka stajnia na bydło i owczarnia. U boku cienił się od południa sad owocowy, a po drugiej stronie nad rzeczką gorzelnia i nieco dalej w głębi młyn na dwa kamienie.

Mieszkaniec tego dworu, dziedzic Krużoskala i przyległej Uwisny, pan Erazm Zbąski, używał takiej samej reputacyi wpośród siół pobliskich, uważano go powszechnie za jednego z najzamożniejszych obywateli górskich.

Ale pan Erazm nie należał właściwie ab origine do szlachty górskiej. Przybył w te strony dopiero przed laty ośmnastu, zagnany szczególnem jakiemś zrządzeniem losu.

Ma on jednak wraz ze swoją rodziną tak ważną rolę zająć w toku i rozwoju naszej powieści, że nim osobistą zabierzemy z nim

znajomość, musimy pokrótce obeznać się naprzód z jego poprzedniemi kolejami życia.

Pan Erazm urodził się nad brzegami Strypy na Podolu. Ojciec jego, pan Hieronim Zbąski, stolnikowicz, za młodu, zagorzały i waleczny legionista w dojrzalszym wieku, a tytułowany na przemian stolnikiem i rotmistrzem na starość, posiadał dwie piękne i intratne wsie na Podolu, które dopiero po jego śmierci w inne przeszły ręce.

Piękna i wspaniała była to postać tego nieboszczyka rotmistrza i stolnika, pana Hieronima Zbąskiego, tradycya o nim żyje po dziś dzień na Podolu. Zawołany gospodarz, prawy obywatel i najgorliwszy pod słońcem patryota, szczycił się powszechnym szacunkiem i zaufaniem, w jednem tylko chybił, jak mówiono, że sam nie zajął się wychowaniem swego jedynaka. Ale stary szlachcic, lubo sam był najzapamiętalszym zwolennikiem wyobrażeń dawniejszych, chciał dać synowi wykształcenie odpowiednie postępowi czasu i z pod surowej, acz troskliwej opieki w domu wysłał go do jednego z pierwszych konwiktów w stolicy.

Młody Erazm, wyposażony od natury hojnie w wszelkie dary serca i umysłu, prze-

pędził kilka lat po za ojcowskiem okiem i powrócił do domu jako dojrzały i wykształcony młodzieniec. Nie przywiózł z sobą wprawdzie żadnych szpetnych o moralnem zepsuciu świadczących norowów, ale zapomniał zupełnie o surowym rygorze z lat młodzieńczych, i wrócił jako trzpiot i szaławiła na wielki kamień.

I zaraz mówili ludzie że panicz nie udał się w pana. Musiał wprawdzie i teraz znać należytą subordynacyę wobec sędziwego i surowego rodzica, ale niech tylko wymknął się z pod jego oka, a zaraz rozkiełzywał cugle. Zaprzyjaźnił się duchem z całą młodzieżą w okolicy, i nie było odeń skorszego do wszystkiego rodzaju zabaw, gier i hulanek, ale jużto nadewszystko nęciły go kobiety. Za ładnemi oczyma, za powabnym uśmiechem wskoczyłby w piekło, a aniby się nawet obejrzał za ziemią, albo pomyślał o niebie. Przystojny, żywy, wesoły, dowcipny, a do tego jedyny dziedzic znacznego majątku, musiał też i niepospolite u płci pięknej mieć powodzenie, i w jednym roku naliczył pewnie całych i tak zwanych pół romansów więcej, niż nie jeden stateczny poczciwiec w całem swem życiu.

Nie mógł stary rotmistrz nie wiedzieć o tym postronnym trybie życia swego jedynaka, ale że wiele wierzył w starodawne przypowieście i przysłowia, więc przypuszczał skrycie potrzebę wyszumienia się młodości, i przez bawełnę słuchał ubocznych wieści o synu, a przez szpary patrzył na ten i ów wybryk, byleby tylko udając, że się niczego nie domyśla, mógł zawsze zachować swoją surową powagę.

Erazm był zresztą najpoczciwszego serca, i mimo tego nieco ze silnego pociągu do młodzieńczej swawoli, lubieli go zarówno rówieśnicy jak i starsi wiekiem.

Pocieszało to wielce starego rotmistrza i nie raz mawiał sam do siebie:

— Hulaka chłopiec, ale ma dobre serce, rok jeszcze jeden tacite pozwolę mu wyszumieć, ale potem basta! wezmę w ręce panicza, że ani piśnie, ożenię niecnotę w czujduch, a już jejmość wytresuje go do reszty.

Ale nim jeszcze mógł upłynąć ten termin naznaczony, zaszła ważna wielka chwila, która ojcu i synowi pomięszała wszystkie szyki.

Chrzęst zbroi rozległ się w samem sercu ziemi ojczystej, a okrzyk do broni szydził i

urojonych i nienaturalnych kordonów...

....

Co tylko było życia i ognia w duszy i sercu legionisty, zawrzało i zakipiało gwałtownie. W pierwszej chwili można się było obawiać, że stary zmysły postrada, taka radość szalona, namiętność niepohamowana, taka energia dzika zatrzęsła w nim do głębi. Był jakby w ciągłem delirium gorączkowem, nie jadł, nie pił, nie spał ale latał jak opętany, dobywał broń, ładował wozy, konie, zbierał pieniądze.

— Sam pójdę z synem, — mawiał sto razy na godzinę, ho, ho, mospanie, nie ustąpię żadnemu młodemu! Człek stary ale jary!

Ale właśnie ta gwałtownie rozbudzona energia, to nagle gorączkowe wzburzenie krwi i umysłu, miało zachwiać te nadzieje i przechwałki. Po doraźnem gwałtownem wytężeniu sił nadwątlonych, nastąpiła taka sama reakcya. Na jeden raz odezwały się z przeważną gwałtownością wszystkie uśpione na chwilę dolegliwości i mankamenta wieku.

Pewnego wieczora starzec prędzej jak zwykle musiał się udać na spoczynek, a na-

zajutrz ani nawet próbował podnieść się z łóżka, tak się czuł bezsilnym i cierpiącym. Gicht złamał mu władzę w rękach i nogach, a na domiar zaczęły rwać i rozwijać się dawne rany.

— Znać już Bóg nie chce abym jechał, — rzekł sobie starzec z ciężkiem westchnieniem i gorzką łzą w oku, i z prawdziwie chrześciańską rezygnacyą poddał się losowi.

Za to też Erazm musiał zbroić się na łeb na szyję. I jemu na pierwszą wieść o zaszłych wypadkach wszystka krew zawrzała w żyłach, i serce szczerym rozgorzało zapałem. Gotował się do wyprawy gorliwie i ochoczo, z gorącemi łzami przyjął od sędziwego ojca błogosławieństwo wraz z damascenką, która widywała niegdyś cuda waleczności polskich legionów, i już nazajutrz miał wyruszyć w pochód, kiedy pod sam wieczór jakieś licho naniosło pana Tyburcego, posiadacza małej cząstki szlacheckiej w pobliżu, a olbrzymich długów i obligów na całej kuli ziemskiej.

Pan Tyburcy, starszy o jakich kilkanaście lat od Erazma, był jego istnym złym duchem pod postacią najkordyalszego przyjaciela. Osławiony szuler, pieniacz, birbant i

szachraj jarmarczny, umiał osięgnąć wielki wpływ na młodym chłopcu, i podsycał całą siłą jego wrodzony pociąg do rozpusty i swawoli.

Kiedy tylko Erazm zapomniał się nad miarę, to niezawodnie poszedł za wpływem Tyburcego, ilekroć po za plecyma surowego ojca jakiś znaczniejszy zaciągnął dług, to niewątpliwie pośredniczył Tyburcy, a jeżeli zgrał się kiedy do nitki, to pewno do nikogo innego, jak tylko do tego samego przezacnego przyjaciela.

Wpadł on teraz jak bomba do Erazma i zagadnął go zaraz na wstępie.

— Cóż! jedziesz słyszałem!

— Jadę!

— Wybornie i ja jadę: jak tylko się uporządkuję. Ale kiedyż się wybierasz?

— Jutro.

— Jutro! oszalałeś tak wcześnie!

— Ojciec nie pozwala na dłuższą przewłokę, rzekł Erazm.

— Ej ba! Istne szaleństwo! oni tam jeszcze parę miesięcy będą traktować, układać się, pisać, gmatwać, a przez ten czas co tam będziesz robić człowieku, zwaryujesz z nudów, jak honor kocham!

Erazm wzruszył ramionami.

— Niepodobna sprzeciwiać się woli ojca, — odpowiedział.

— Więc pojedziesz jutro?

— Pojadę.

— I doprowadziwszy już tak daleko z ekonomówną z Świdrowa, wypuścisz ją tak na sucho ffit!

— Niech ją djabli biorą! — mruknął Erazm nie rad jakoś z przypomnienia.

Tyburcy spiął się na pięty, pokręcił wąsa i gwizdnął z pełnej piersi.

— Ładnaż bo to szelma! niech ją jasny piorun trzaśnie, jak honor kocham! — zawołał i cmoknął językiem, — biała, jak śmietanka, a pulchna jak pszenna kluseczka! Wiesz Erazmie, miałbym cię za baba i bardzo, żebyś ją tak odjechał bez ale, jak honor kocham!

— Nudnyś, cóż mam robić?

— Zatrzymać się jeszcze, dopiąć swego, a potem pojedziemy razem, jak honor kocham, przybędziemy w samą porę.

— Ależ ojciec... — przedstawiał Erazm zachwiany do razu w swych postanowieniach.

— Wielkie rzeczy! Na wszystko jest sztuka, pożegnaj go czule, weź jak najwię-

cej pieniędzy, wyjedź ale po drodze wstąp do mnie....

— I cóż dalej?

— U mnie zachowasz ścisłe incognito, ojciec ani się domyśli niczego .. do Świdrowa tylko pół mili.. skończysz z chwałą jednę kampanię, a potem razem wyprawimy się na drugą, jak honor kocham...

Długo jeszcze taka i tym podobna toczyła się między nimi rozmowa, w końcu uściskali się i ucałowali serdecznie. Tyburcy w najlepszym humorze wracał do domu, a Erazm późno w noc z jakiemiś sprzecznemi bił się myślami.

Nazajutrz stanął przed ojcem, jeszcze raz przyjął ze łzami w oczach serdeczne błogosławieństwo, i po czułem pożegnaniu, przy którem starzec płakał jak dziecko, wyruszył w pochód.

Staruszek kazał się na rękach wynieść na ganek, i długo, długo zapłakany spoglądał za odjeżdżającym synem, błogosławiąc podróży, zamiarowi i nadziei.

Erazm na noc zajechał do Tyburcego, i do przyszłej kampanii z nieprzyjaciołami ojczyzny, zaczął zaprawiać się kampanią na spokojność i niewinność biednej dziewczyny.

Rotmistrz zaopatrzył hojnie podróżną kasę synala, a nadto dał mu znaczną sumę na potrzeby ojczyzny, to też kilka tygodni huczne i wesołe dni płynęły w dworku Tyburcego.

Nie wiedzieć jak skończyła się wyprawa na ekonomównę z Świdrowa, dość że po kilku tygodniach obadwaj bohaterowie wybrali się na prawdę w drogę, naprzód jednak umyślili wstąpić jeszcze do Lwowa.

I znowu długi czas ugrzęźli nad Peltwią, i mimo huku dział, szczęku broni i strumieni krwi na ojczystej ziemi, życie płynęło im gwarno i wesoło.

A stary rotmistrz?

On dnie i noce modlił się jak czerniec najgorliwszy, drżał w każdej godzinie o losy syna, biadał się myślami czy szczęśliwie przeprawił się przez granicę, czy dotarł do swoich, a kiedy z gazet dowiedział się o pierwszym zwycięztwie, to pierś mu się rozparła do pęknięcia, płakał jak bóbr i wmawiał w siebie zawzięcie, że syn jego walczył w pierwszym szeregu.

I miał nawet jakieś sny przecudne. Widywał syna ze sztandarem w ręku na przedzie hufców zwycięzkich, jak gonił pobitego

wroga i słowami zapału zagrzewał swoich do męstwa i wytrwałości.

Słyszał chrzęsty i gromy walk, w których syn brał udział, a nie słyszał dźwięku kielichów, wesołych gwarów i piosnek, pośród których synalek dopiero zaprawiał i hartował się do przyszłej kampanii.

I znowu dość spory upłynął czas. Erazm wszczął jakiś zapamiętały romans we Lwowie i nie mógł w żaden sposób ruszyć się z miejsca.

Tyburcy perswadował mu wybornie, że kiedy nasi zaczęli bić dziarsko na razie, to już dadzą sobie radę sami i nie ma obowiązku spieszyć w pomoc tam, gdzie nie potrzeba pomocy.

— Rozpoczęli bez nas i skończą bez nas dwóch, jak honor kocham, — dowodził bezczelnie.

Ale stary rotmistrz inaczej myślał. Coraz nowe wieści o świetnych zwycięztwach braci przepełniały go radością bez miary, podniecały szlachetny zapał do nadprzyrodzonej siły. A radość ta i zapał ten przełamały samą nawet niemoc i chorobę cielesną. Stary legionista z każdą nową wieścią pomyślną przychodził do zdrowia, a pewnego

poranku uczuł się tak czerstwym i silnym, że co żywo jakieś tajne porobił przygotowania i zniknął nagle z domu, jakby kamień wrzucił w wodę.

W tydzień po wyjeździe ojca wrócił syn do domu. Doznał, jak mówił, jakiegoś fatalnego przypadku w drodze i wrócił tylko po nowy zasiłek do drugiej wyprawy, ale zastawszy gospodarstwo bez pana, nie mógł teraz odjechać go.

Biedny syn! lekkomyślność ojca, który odbiegał całego mienia, aby reszty sił i życia narażać w walce za świętą sprawę, zmusiła go nieczynnie pozostać w domu!

I został też szczęśliwie, posłuszny przyjacielskim radom Tyburcego.

. . . .

Niebawem skończyła się świetna acz smutna tragedya, rozbiły się wielkie zamiary, spełzy szlachetne nadzieje.

Stary rotmistrz nie wrócił, poległ na murach Warszawy.

Pełnoletni Erazm objął na własne imię majątek w posiadanie, ale prędzej niż mógł przewidzieć, nadszedł czas ciężkiej pokuty. Jego urojone przypadki w podróży wykryły się rychło całemu sąsiedztwu, każdy jego

krok wyszedł na jaw, a wobec pięknego przykładu ojca, w tem ohydniejszem świetle przedstawiało się niegodne postępowanie syna.

Ludzie co umieli jeszcze pobłażać wybrykom młodzieńczej płochości, nie mieli przebaczenia dla głuchego na głos konającej ojczyzny rozpustnika, nie mogli darować zapomnienia najświętszych dla każdego obowiązków.

Powszechna wzgarda okryła młodego dziedzica, zabijający przydomek tchórza i odstępcy przylgnął do jego imienia, pośmiewisko i urąganie opinii publicznej obryzgiwały każdy krok jego.

Najprzyjaźniejsze domy zamknęły się przed nim na podwójne zamki, najpobłażliwsza ręka odsunęła się od jego uścisków, najspokojniejszy sąsiad zrywał wszelkie z nim stosunki. Erazm ujrzał się w jednej chwili opuszczony, wzgardzony omijany od wszystkich. Jeden tylko sprawca całego wstydu i nieszczęścia, pan Tyburcy ofiarował mu wiernie swą przyjaźń niezmienną, ale Erazm w pierwszem uniesieniu napędził go na cztery wiatry i najusilniejszemi sposobami próbował przebłagać nieprzyjaźną opinię, rehabilitować się po rzeczywistej przewinie.

Ale nie tak łatwo zmienić sąd świata, kiedy na pewnych słusznych oprze się dowodach i w jednomyślne urobi się potępienie. Erazm po długich usilnych a bezowocnych staraniach, postradał już wszelką nadzieję i wściekał się z bólu i rozpaczy.

Wtedy znowu nagle pojawił się Tyburcy wyzuty tymczasem z ostatniej swej posiadłości, a ogołocony do reszty ze wszelkiej czci i wiary.

— Zelżyłeś mnie niesłusznie, wypędziłeś niegodnie ze swego domu, rzekł do zdziwionego jego przybyciem Erazma zaraz na wstępie, — a ja zawsze jak honor kocham, niezmienną dla ciebie żywię przyjaźń i pierwszy przychodzę ze zbawienną radą. Daj pokój tym wszystkim staraniom i zabiegom, nigdy nie przebłagasz świata wydając się, że dbasz o jego opinię. Świat dla tego tylko znajdzie przebaczenie, kto mu otwarcie plwa w oczy i na każde jego skrzywienie pokazuje zuchwale język lub figę jak żak szkólny zachmurzonemu przechodniowi. Jak honor kocham, radzę ci po bratersku, spakuj manatki, jedź ze mną za granicę, a jak wrócisz po kilku latach i zaczniesz występować wszem wobec dumnie i zuchwale, jak honor

kocham, wszyscy sąsiedzi będą lepli do ciebie jak muchy do miodu, i każdy poczyta sobie za szczęście, komu rękę podasz, jak honor kocham.

Erazmowi od razu przypadła do przekonania rada byłego przyjaciela. Pojednał się z nim zupełnie, a w niespełna miesiąc miał już paszport w kieszeni, i zostawiając rządcę na gospodarstwie, wybrał się na dłuższy czas za granicę.

I musiał się dobrze bawić w obcych krajach, bo strasznie dużo potrzebował pieniędzy, i pozostawiony rządca musiał w jego imieniu zaciągnąć dług po długu. Ciągnęło to się tak długo, póką̧d nie wyczerpało się ostatnie źródło kredytu. Na list rządcy, że żaden żyd już nie pożyczy choćby za setny procent, powrócił Erazm po dwóch latach do kraju, wyniszczony do szczętu.

Na wjeździe do rodzinnego dworku czekała go zaraz pierwsza niemiła niespodzianka. Ujrzał na bramie sążniste ogłoszenie sądowe, że na naleganie wierzycieli obiedwie wsie mają być sprzedane na publicznej litacyi. Był to pierwszy cios przygotowujący na mnogie dalsze.

Rozglądawszy się najpobieżniej w swych

interesach, przeświadczył się Erazm od razu że nie pozostaje mu żaden środek do ocalenia i że w krótkim czasie będzie musiał w obce ręce oddać cały rodzinny majątek.

Jak wszystkie z natury słabe i bierne charaktery, postradał w takim składzie rzeczy wszelką od razu odwagę i energię i założywszy ręce, z fatalistyczną niejako apatyą oczekiwał ostatniego gromu lub jakiejś cudownej pomocy.

Jego godny przyjaciel i doradca, pan Tyburcy, pozostał za granicą, udało mu się w jakiemś miejscu kąpielowym zgrać na miazgę jakiegoś Anglika, używał więc szczęśliwie owoców swego łupu, i gonił za nową zdobyczą.

Wszakże podobało się losowi oszczędzić jeszcze tym razem zupełnej ruiny Erazmowi. Jakaś zapomniana zupełnie stryjeczna siostra jego ojca, bezdzietna wdowa i pani na dwóch siołach w dalekich górach, umarła w późnym wieku i mianowała go testamentem uniwersalnym dziedzicem całego majątku.

Erazm jakby cudem ocalony ocknął się ze swej apatyi, dobrowolną tranzakcyą ustąpił obie wsie podolskie wierzycielom, i uwolniwszy się od długów, pospieszył pełen naj-

lepszych na przyszłość chęci i zamiarów do swych nowych posiadłości.

Przestraszył się wprawdzie z początku tych gór dzikich i niedostępnych i tego zupełnie nowego sobie trybu gospodarstwa, ale pocieszało go to przekonanie, że tak nieprzychylna mu w jego miejscach rodzinnych opinia nie doszła wcale do tych okolic.

Postanowił więc ożenić się jak najprędzej i nauczony smutnemi doświadczeniami, rzucił się całą duszą do gospodarstwa. I tym razem był zamiar jego silny i szczery, a na szczęście nie było drugiego Tyburcego, aby go zwichnąć z drogi.

Z tem wszystkiem pan Erazm nie musiał jeszcze pozbyć się swej romansowej czyli jak dziś mówią kochliwej natury, bo zaraz za jego przybyciem do Krużoskala gruchnęła wieść po wsi, że młody dziedzic „ugania za mołodycami," i mężowie zaczęli pilnie przestrzegać swych żon, matki baczniej uważać na swe córki.

Nie długo jednak trwało to ubieganie się za „mołodycami" nowego dziedzica, bo zaraz w rok po swem osiedleniu w Krużoskalu ożenił się z młodą, piękną i skromnie wychowaną panną ze sąsiedztwa.

Zaraz jednak przebąkiwały złośliwe języki, że pan Erazm przyspieszył swe ożenienie, aby tylko zatrzeć jakiś brzydki skandal, którego we własnej wsi stał się sprawcą.

Ale i dawna przyjaźń z Tyburcym musiała mu się wypłacić jeszcze jedną nieprzyjemnością. Właśnie kiedy w krużoskalskim dworze sute i huczne wyprawiał przenosiny, pojawił się jakiś sążnisty pijany jak bela obdartus, i przemocą wcisnął się między gości.

— Erazmie! to ja twój przyjaciel Tyburcy! — zawołał na osłupiałego ze zdziwienia i indygnacyi gospodarza, — podobnie jak ty straciłem wszystko, a na nieszczęście nie mam żadnych ciotek ani stryjenek!

Nie mało kosztowało Erazma wstydu i trudu, nim potrafił pozbyć się jakiegoś bezczelnego natręta, który spadł już w najgłębszy kał hańby i upodlenia. Kazał go na razie wyrzucić z pokoju, a nazajutrz dał mu znaczny zasiłek i wyprawił za węgierską granicę, zkąd już nigdy więcej nie wrócił.

Odtąd Erazm jakby do nowego odrodzony życia, umiał ograniczać się na ciche szczęście domowe i z całą gorliwością zajął się gospodarstwem. Poślubiona towarzyszka

życia stała się dlań prawdziwym aniołem opiekuńczym i zaraz w rok obdarzyła go prześliczną córeczką, która nieznane dotąd czucia i rozkosze miała rozbudzić w sercu nawróconego do nowego życia rozpustnika.

Ale wtem nagle jak grom z jasnego nieba dotknął go przypadek okropny, po którym nigdy już nie miał się opamiętać.

Pewnego razu Erazm wyjechał konno oglądać szałas w głębi gór, a w parę godzin powrócił koń sam bez pana.

Rozesłani na wszystkie strony słudzy i poddani znaleźli nieszczęśliwego dziedzica w parowie, u stóp wysokiej skały, pozbawionego zmysłów i zbroczonego krwią.

Zdawało się że bryła skały urwała się z góry i ugodziła w czaszkę przejeżdżającego spodem, ale wówczas zaraz ludzie jakoś dziwnie potrząsali głowami a ten i ów wspomniał coś półszeptem o Maksymie, który przed rokiem jeszcze jakąś krwawą dziedzicowi miał poślubić zemstę.

Mimo ciężkiego uszkodzenia Erazm żył jeszcze.

Spieszna i gorliwa pomoc lekarska i jak najtroskliwsze pielęgnowanie żony, ocali

ło go od śmierci: wszakże smutne już było to dalsze jego życie. Gwałtowne uderzenie w czaszkę wstrząsło mu mózg do tego stopnia, że nigdy już do zupełnej nie wrócił przytomności. Wpadł w jakiś szczególny stan umysłowego otrętwienia, z którego nie mogło go nic wyrwać w świecie. Stracił pamięć na wszystko, nie poznawał nikogo, nie troszczył się niczem. Cały dzień albo przedrzemał w krześle poręczowem, albo przechadzał się po pokoju jednostajnym krokiem ze założonemi w tył rękami. Czasami tylko nawiedzały go jakie bezmyślne, spazmatyczne napady wesołości i po całych godzinach śmiał się bez opamiętania. Zresztą czuł się zupełnie silnym i zdrowym, jadł z podwójnym apetytem i zaczął nawet tyć niemiłosiernie. Była to istna chodząca roślina, zamknięta wszystkim zewnętrznym wrażeniom i uczuciom, a pielęgnowana zawsze z czułem poświęceniem od młodej nieukojonej w żalu żony.

Taki był dziedzic Krużoskala, pan Erazm Zbąski, kiedy wstępując do dworu, zastajemy go obok żony i córki w małym ale z pewnym smakiem i wytwornie umeblowanym pokoju. Rozparty w tej chwili w swem ulubionem krześle poręczowem, oddaje się zwykłej

drzemce poobiedniej. Na boku na małej kanapce z jakąś kobiecą robótką w ręku siedzi uderzającej jeszcze urody i łagodności rysów kobieta, pani Michalina Zbąska.

Jak sarneczka przyparła się w pobliżu młoda, siedmnastoletnia jedynaczka Leonia. Jeżeli nieszczęsny stan męża musiał biedną kobietę ciągłym przepełniać smutkiem, to już Opatrzność nie mogła jej lepszego zesłać pocieszyciela nad tę córkę jedyną. Widok jej musiałby i najobojętniejszą matkę napawać dumą i rozkoszą.

Leonia jaśniała blaskiem tej prawdziwej urody, która od razu olśniewa oczy, a podnosi się jeszcze przy bliższem rozpatrzeniu. Smukła i wiotka jak krzew palmowy, zachwiałaby zda się za najlżejszym powiewem wietrzyka, a przecież nic pełniejszego, nic rozkoszniejszego nad jej kształty zaledwie rozwinięte. Śnieżnej przejrzystej cery twarzyczka, spoglądała w świat dowcipnie i wesoło dwojgiem prześlicznych oczu tak ciemnej barwy błękitnej, że aż w czarne wpadały połyski, a uśmiechała się do ludzi usty tak świeżemi, tak przecudnie zaokrąglonemi, że chyba głaz potrafiłby się oprzeć jej urokowi. Nosek cokolwiek zadarty w górę i mała

plamka czy pieprzyk pod jednem oczkiem szczególnego dodawały jej powabu i w jakiś swawolny, figlarny zlewały się wyraz. Na skronie spadały bujne, ciemne sploty włosów czesane w tyle w szeroki zwój: biała szyjka w regularnych wcięciach i falach spływała się z nienagannie zaokrąglonemi ramionami i na przodzie w jakiś czarodziejski załamywała się dołeczek.

Ale dosyć już tego opisu, bo i tak już porwani przedmiotem w nazbyt widoczną wpadliśmy napuszystość, a bohaterka nasza mogłaby stracić na sympatyi, wzbudzając zazdrość w pięknych czytelniczkach.

Przystąpmy wręcz do działania.

Siedząc w tej chwili na kanapie, miała przed sobą Leonia krosienko i z uwagą tkała jakiś haft misterny, często jednak odrywała oczka i spoglądała ku drzwiom, jakby kogoś wyglądała niecierpliwie.

I nagle rozwarły sie drzwi i wbiegła do pokoju zwinna, hoża dziewczyna w sukniach wieśniaczych.

— Pan Hałajkiewicz przyszedł! — zawołała.

— Nareszcie — szepnęła Leonia i żywo odłożyła krosienko, — proś go zaraz.

Pani Zbąska z uśmiechem spojrzała na córkę i pocałowała ją w czoło.

— Straszanieś się rozciekawiła, moja Leonio.

Leonia lekkim skraśniała rumieńcem.

— Mameczka kochana! zawołała tuląc i pieszcząc się u jej piersi, — jak trudno tu w tych górach o jakikolwiek przedmiot zajęcia, że można się rozciekawić byle czem.

Pani Zbąska wpatrzyła się z upodobaniem w prześliczną twarzyczkę młodej dziewczyny i westchnęła zlekka.

— Ach prawda w tych górach a szczególnie dla ciebie! — mruknęła z cicha.

Drzwi rozwarły się szeroko, a do pokoju wszedł ciężkim krokiem niski, barczysty jegomość z podstrzyżonym a w prost sterczącym wąsem, w burej kurcie z grubej bai i w szarych sukiennych pantałonach założonych za wysokie cholewy juchtowych butów.

Na pierwszy rzut oka poznać ekonoma starej daty, a po jego pewnej minie i uśmiechu niewymuszonym widać także, że silnym czuł się w łaskach państwa i długie nakarbował sobie zasługi.

— Padam do nóg wielmożnego państwa — przemówił grubym, gardłowym głosem i

ręką musnął po szpakowatej czuprynie.

— A cóż tam panie Hałajkiewicz, — przemówiła z uprzejmym uśmiechem pani Zbąska, jak tam gospodarstwo?

— Ot tak, dobrze, wszystko dobrze, skarz mię Boże. Byłem na drugim szałasie w Uwiśnie; ani jedna owca nie brakuje, skarz mię Boże!

— A woły? — pytała dalej dziedziczka.

Hałajkiewicz z arcypoważną miną wydął wargi.

— Fiu, fiu! woły wypasują się co strach, — odpowiedział i dopiero po odsapnięciu zakonkludował ulobionem przysłowiem, — skarz mię Boże!

— A cóż ten boczasty, ciągle taki zły na paszę?

— Ni uroki, poprawia się.

— A owies dościga w Uwiśni?

— Powoli, powoli... ale za to na Przyborowym łanie, to już można kosić na drugi tydzień, skarz mię Boże!

Leonia z widoczną niecierpliwością przysłuchiwała się tej gospodarskiej rozmowie, a przy pierwszej dłuższej pauzie poderwała prędko:

— A cóż ten nieznajomy, panie Hałajkiewicz?

Ekonom wytrzeszczył oczy i gębę rozwarł do połowy.

— Który nieznajomy, proszę panny? -- zapytał Hałajkiewicz.

Leonia niecierpliwie ściągnęła obadwa prześliczne łuki swych brwi.

— Ależ ten, o którym nam wczoraj sam wspominałeś, panie Hałajkiewicz.

— A rychtyk, ten niby malarz, skarz mię Boże! — zawołał ekonom i z rubasznym uśmiechem machnął ręką, — no to taki malarz, jak powiedziałem, ciągle błąka się po górach i coś het maluje ołówkiem na papierze.

— I nie dowiedziałeś się pan nic bliżej o nim? zagadnęła tym razem sama pani Zbąska.

Hałajkiewicz znowu wytrzeszczył oczy i otworzył gębę.

— Wielmożna pani nie dała mi dyspozycyi, skarz mię Boże.

Leonia rzuciła się z wrastającą niecierpliwością.

— Ależ czy nie słyszałeś pan co o nim więcej — zapytała.

— Hm, hm, tak dalece nic, skarz mię Boże: ale ksiądz się dowiadywał względem niego i chce go podobno zawołać na probostwo.

— A to po co?—zapytała pani Zbąska.

— To proszę wielmożnej pani wedle tego n‹sa świętego Mikołaja na carskich wrotach, co się zamazał. Taki malarz to rzadki majster w naszych stronach, la tego chciałby ksiądz, żeby dosztukował nos świętemu Mikołajowi, a jak dobrze sprawi, to będzie musiał poprawić i kopyta temu djabłowi na bocznym ołtarzu, bo już ich nie znać ani krzty, skarz mię Boże.

Tu zmięszał się trochę poczciwy ekonom bo uważał, że panna tak się jakoś nadęła, jakby lada chwila miała parsknąć śmiechem. Spojrzał niepewnym wzrokiem na panią, a znać ośmielony jej miną, poprawił czuprynę i ciągnął dalej:

Ja tak sobie pomyślał, proszę wielmożnej pani, że kiedy się już trafia malarz, to możeby go, jak zreperuje kopyta djabłowi, zawołać do dworu, możeby za tanie pieniądze pomalował sprychy u tej żółtej najtyczanki, bo już poczerniały, by ziemia...

Tu urwał nieoceniony znawca i protektor sztuki malarskiej i nabiegł krwią cały, bo nie tylko że Leonia parsknęła głośnym śmiechem i twarz zakryła rękami, ale i sama dziedziczka w niezwykłą wpadła wesołość.

— No, ja tylko tak radzę, skarz mię Boże, — mruknął obrażony.

— No, no, nie o to chodzi, ozwała się pani Zbąska, — ale ten malarz ma być porządnie ubrany.

A tak jak zwyczajnie rzemieślnicy, — ozwał się Hałajkiewicz i z pewnem lekceważeniem machnął ręką, znam szewca w Samborze, taki elegant, żeby kto myślał: pan całą gębą, skarz mię Boże.

Leonia śmiała się jak szalona, że aż pan Erazm ocknął się ze snu i obojętnem, bezmyślnem okiem powiódł do koła.

Pani Zbąska zamyśliła się czegoś, a po chwili rzekła:

— Wiesz co panie Hałajkiewicz, jak obaczysz gdzie tego malarza, to go zaproś do dworu.

Ekonom z dumną pojętnością uzupełnił:

— Niby wedle tych sprych do najtyczanki.

— Ależ gdzie tam, — pochwyciła prędko dziedziczka, — zaproś go do dworu... na obiad... na śniadanie. To przecież obcy człowiek a w tych górach nie ma gospody...

Hałajkiewicz kiwnął głową na znak, że pojmuje dyspozycyę, a po kilku jeszcze zdanych relacyach z biegu gospodarstwa, szargnął nogami, powiedział znowu: — Padam do nóg wielmożnego państwa, — i wyszedł z pokoju.

Pani Zbąska z uśmiechem zwróciła się do córki, której wesołość uśmierzała się powoli.

— Będziesz mogła zupełnie zaspokoić swoją ciekawość, lękam się tylko, aby ten nieznajomy wędrowiec, którego wyobrażasz sobie przynajmniej jakimś znakomitym artystą, lub Bóg wie czem więcej, nie zawiódł grubo twego oczekiwania.

Leonia swawolnie wzruszyła ramionami,

— Wielkie rzeczy! przynajmniej na chwilę obaczymy kogoś obcego w naszej odludnej, jednostajnej okolicy! odparła prędko.

I nagle jakaś lekka chmurka przebiegła po jej śnieżnem czole.

— A bogdajże cię! — zawołała żywo, porywając się z miejsca, — zapomniałam nasypać żołędzi mojej Dosi. Biedne stworzenie, mrze zapewnie z głodu!

I jak ptaszek furknęła z pokoju, nie dotykając nawet ziemi lekkiemi stopami.

Pani Zbąska z jakimś rzewnym uśmiechem spozierała za odchodzącą.

Potem utkwiła nagle wzrok w drzemiącego męża.

Pan Erazm się ocknął, poruszył ustami, spojrzał w koło siebie i zaśmiał się głośno, spazmatycznie.

Pani Zbąska westchnęła ciężko i chustkę żywo podniosła do oczu.

V.

LEONIA.

Młoda dziewczyna przebiegła w lot dwa przyległe pokoje i jak furkadło wpadła do swej małej miluchnej sypialni, przepełnionej balsamiczną wonią kwiatów. W tej chwili

jakby o lekkość i zręczność z nią w zawody, wskoczyła jej na pierś jednym susem prześliczna wiewióreczka, jej wychowanka ukochana, a do nóg przybiegła skwapliwa przepiórka, i zamachiwała się wzlecieć również do szyi pani.

Leonia przycisnęła wiewióreczkę do swej piersi i przytknęła usta do jej pięknej główki.

— Biedna moja Dosia! głodna i zapomniana, — szepnęła czule.

A znać pojmowało ją przywiązane stworzenie, bo bystre oczka błyszczały mu radością, a zadarta kita jak żagiel powiewała na wszystkie strony. Ale i przepiórka upominała się o swoje pieszczoty i wzniosła się nagle w górę i wzleciała na ramiona młodej dziewczyny. Leonia zanurzyła usta w pierze ptaszyny i pozwoliła kłuć się dzióbkiem po śnieżnej szyi.

— Zapomniałam o was obudwu, — szepnęła znowu i pobiegła do małej szafki w kąciku sypialni.

I w jednej chwili nasypała na talerz garść prosa przepiórce, a wiewiórce podstawiła małe korytko z bukwą i żołędzią, ale aż przemocą prawie musiała odrywać od siebie

oba zwierzątka i naglić je do jedzenia.

Chwilkę spozierała z uśmiechem jak rzuciły się do swej uczty zastawionej.

Potem przystąpiła do okna i patrzyła w zamyśleniu na dalekie góry, a nareszcie usiadła na małej kanapce niedaleko łóżka, główkę wsparła o poręcz i w jakąś głęboką wpadła zadumę.

I o czemże myślała!

Napróżnoby ją pytać, pewnieby nie odpowiedziała.

Od kilka tygodni jakieś dziwne myśli zaczęły snuć się po głowie dziewczyny i jakieś osobliwsze wrażenia i uczucia rozbudziły się w głębi jej piersi.

Jakie były te myśli, te wrażenie i uczucia, trudnoby na nie odpowiedzieć, zkąd się wzięły nagle, z tego sama sobie nie umiała zdać sprawy.

Leonia urodziła się w Krużoskalu: ale cały wiek dziecinny spędziła daleko od rodzicielskiego domu. Jak łatwo przewidzieć, chodziło matce o jak najstaranniejsze wychowanie jedynaczki, a nie mogła zajmować się z niem sama obarczona zajęciami gospodarskiemi i przygnieciona srodze smutnym stanem męża. Zatrudno było także uzyskać

odpowiednią guwernantkę w te odległe i niepo nęte okolice.

Po długiej walce z sobą musiała pani Zbąska rada nie rada odwieźć Leonię w w ósmym roku życia do jednej z największych pensyi w stolicy i powierzyć ją obcym staraniom na całych lat siedm.

Dopiero skończywszy piętnastą wiosnę, powróciła Leonia do rodzicielskiego domu, a od dwu już lat nagradzała matce sowicie tak długie chwile rozłączenia. Młoda dziewczyna przybyła do domu hoża, wesoła, szczęśliwa jak ptasze polne i półtora roku upłynęło jej tak błogo i prędko, jakby jedna chwila gdzieś w niebie.

Po dłuższym pobycie w stolicy wśród obcych, choć wielce życzliwych sobie ludzi, miał dla niej powrót w dom rodzicielski, w wiejskie ustronne, zacisze urok niewysławiony, przepełniał ją szczęściem bez miary. A mając aż nazbyt dość w pieszczotach macierzyńskich, nie tęskniła bynajmniej za powabami niedawnych chwil minionych i przy swych poetycznych znatury skłonnościach i wyobrażeniach, godziła się najzupełniej z tą odludną okolicą, tak niedostępną zwykłym przyjemnościom towarzyskim.

Takiem szczęściem napawały ją pieszczoty matki, tak lubo jej było pielęgnować nieszczęśliwego ojca, tyle przyjemności sprawiały jej ukochane kwiatki, ta wiewiórka i przepióreczka, własnem ułaskawione staraniem, tak często zresztą otrzymywała zapasy nowych książek przez pocztę i tyle we własnej głowie wylęgło i roiło się snów i marzeń tęsknych, że ani jej przez myśl nie przeszło utyskiwać na nudy i oderwanie się od świata.

Inaczej jednak działo się z matką. Ona nie mogła ani na chwilę oswoić się z myślą, aby tak cudowny kwiatek rozwijał się gdzieś w odludnym kącie, nie opromieniony blaskiem jaśniejszego słońca, nie otaczany podziwem i uwielbieniem, na które tak słusznie zasługiwał. W swej dumie i miłości macierzyńskiej, uważała za niezbędnie przenieść go na szerszą widownię i rozkoszować w najbliższym sferze uroku, jaki koniecznie musiał rozlewać wokół.

To też od roku nosiła się z myślą, aby jak najprędzej uporządkować gospodarstwo w Krużoskalu i wraz z mężem wybrać się gdzieś na większy świat, gdzieby cudowne przymioty córki w tem jaśniejszym zalśniły blasku i tem świetniejsze mogły jej zapewnić szczęście.

Ale kiedy kochająca matka takiemi i tym podobnemi troszczyła i biadała się myślami i zamiarami, młoda dziewczyna czuła się najszczęśliwszą w swem ustroniu, każdy dzień nowy rozwijał tem wspanialej jej niezwyczajną urodę, a oswajał coraz więcej z dotychczasowym trybem życia i coraz nowe jakieś przynosił przyjemności.

Krużoskale nie było zresztą i tak dziką Syberyą, gdzieby już zrywały się wszelkie ogniwa i tętna towarzyskiego życia. W około ciągnęły się liczne dwory szlacheckie, przez same zaprzyjaźnione zamieszkane osoby, a choć dla tak trudnej w górach komunikacyi, dla często wzbierających potoków w lecie, a zamieci śnieżnych w zimie, nie łatwo i najbliższym znosić się sąsiadom, to często przecież trafił się gość w krużoskalskim dworze i przerwała się chwilami jednostajność zwyczajnego życia.

Z temi i bez tych przerw nadzwyczajnych, humor Leonii był zawsze jednako świeży, swobodny i wesoły, i ani nawet cień tęsknoty i niezadowolenia nie zamącił nigdy przejrzystej jasności jej śnieżnego czoła.

Tak było do niedawna, bo jak już napomknęliśmy powyżej, od kilku tygodni,

poprzedzających działanie naszej powieści, jakaś szczególniejsza, zagadkowa zmiana zaszła w całem usposobnieniu młodej dziewczyny.

Owładnęła ona ją tak nagle i niespodziewanie, a zrodziła się w tak dziwny i ciekawy sposób, że nim mogła się opamiętać, poddała się już zupełnie jej wpływowi. I napróżno siliła wytłumaczyć sobie teraz, zkąd przyszło do tego stopnia.

W nastroju duszy młodej dziewczyny ocknął się nagle jakiś nieznany dotąd ton silny i uroczy, w strumieniu uczuć wezbrała i zawrzała jakaś nowa fala przemożna. Lecz zkąd się wzięła ta zewnętrzna iskra magnetyczna, co rozkołysał nową falę uczucia?

Zamiast odpowiedzi wręcz, sprobujmy dotknąć drobnych na pozór zdarzeń z ostatnich dni życia Leoni.

Było to właśnie przed kilku tygodniami, kiedy młoda dziewczyna z większą niż zazwyczaj niecierpliwością oczekiwała posłańca z poczty. Spodziewała się przysyłki nowych książek, a od kilku dni ukończyła już po raz drugi ostatni tom dawniejszego zapasu.

I nadszedł nareszcie gorąco upragniony

goniec, a z grubej paczki książek i nót muzycznych wypadł najpierw jakiś list różowy.

Leonia rzuciła okiem na adres i wydała głośny okrzyk zdziwienia.

— Do mnie! — ozwała się i żywo rozrywając kopertę, spojrzała najpierw na podpis.

Po chwili znowu krzyknęła:

— Od Anielci! — poszepnęła żywo rozciekawionej matce, i nie troszcząc się dalej o nuty i książki, zaczęła czytać list skwapliwie.

Aniela była jej najserdeczniejszą przyjaciółką z pensyi, a przyjaźń ta obok zgodności charakterów i wyobrażeń między obudwoma dziewczętami ugruntowała się także na pewnych innych jeszcze warunkach. Aniela była od lat niemowlęcych sierotą, poddana zrządzeniem losu pod opiekę nieczułej macochy, która nigdy nie chciała i nie umiała wzbudzić do siebie serdeczniejszego zaufania.

Leonia była pierwszą na świecie istotą, przed którą serce i dusza młodej dziewczyny mogły z zupełną otworzyć się szczerością i która wszystkie jej zwierzenia z żywem przyjmowała współczuciem. Leonia była młodsza wiekiem, ale szczęśliwsza i dojrzalsza

posiadaniem matki, stała się niejako opiekunką i przewodniczką biednej sieroty.

Prawie jednocześnie opuściły obie pensyę, a przy najczulszych uściskach pożegnania ponowiły sobie kilkakrotnie miłość i przyjaźń dozgonną. I w pierwszych czasach rozłączenia pisywały do siebie z całą serdecznością swych uczuć wzajemnych, ale nagle jakoś nie z winy Leoni przerwała się korespondencya i odtąd obie przyjaciółki nie wiedziały nic o sobie.

Toż z febryczną niemal gorączką czytała w tej chwili Leonia długi list swej przyjaciółki, a im dalej brnęła oczyma w drobne pismo listu, tem żywszy rumieniec okraszał jej lica, i czegoś gwałtownie wzdymała się pierś a malutka rączka drżała widocznie.

„Przebacz mi kochana, najdroższa, jedyna Leoniu, moje tak długie milczenie — pisała Aniela — miałam ci je nagrodzić listem ważniejszym, treściwszym od wszystkich poprzednich.... Leonio złota, czuję że cała w płomieniach ręka mi drży i zaledwie mogę wytrzymać gwałtowne serca bicie, ale tobie, tobie jedynej, muszę wyznać wszystko, powinnam otworzyć serce całe.... Leonio! ja kocham i jestem kochaną!.... Stało się!...

Wypowiedziałam!.... a ty mnie rozumiesz, ty co stokroć odemnie ładniejsza, stokroć godniejsza, dawno już zapewne doznajesz tego szczęścia! ...“

Leonia przerwała na chwilę czytanie, nie wiedzieć dla czego ostatnie słowa listu tknęły ją niemile.

— Ja! — szepnęła niechętnie i wzruszyła ramiona, jaka sobie dobra!

Znowu pochwyciła za list i kraśniejąc i blednąc na przemian czytała drżąc dalej.

I cóż więcej w tym liście wprawiało ją w takie wzruszenie?

Aniela z całym ogniem swej młodocianej wyobraźni i z całą porywającą prawdą uczucia opisywała pierwsze silniejsze porywy serca, pierwsze gwałtowniejsze błyski duszy. Nad głową młodej sieroty rozwarło się niebo w olśniewającym blasku i zdało jej się, że wśród niezliczonych zastępów aniołów widzi prawicę Boga jak jakąś cudowną spójnią niewidomą łączy jej serce z innem sercem, a u dołu i w górze jakąś niepojętą, niezgłębioną harmonię, słyszała chóry duchów błogosławiących kojarzącemu się związkowi. Każde słowo tej wzniosłej spowiedzi sypało skrami, tchnęło wonią przedziwną, porywało

urokiem niewysłowionym. Z listu całego zdala się wiać jakaś upajająca atmosfera poezyi, a wpływ jej odurzał, olśniewał czytającą Leonię.

Coraz silniej przyciskała jednę rączkę do piersi, jakby się obawiała, aby gwałtownie rozkołysane serce nie wyskoczyło ze swej za małej nagle kryjówki.

Aniela w tak cudownych barwach opisywała swe szczęście nieokreślone, w tak urocze kwiaty ustrajała przedmiot swej miłości, że obrazy jej listu zdawały się rzeczywistnieć tuż przed oczyma.

Przerzucając książki, na razie nie spostrzegła pani Złąska dziwnej zmiany w twarzy swej córki, aż nagle mimowolnie rzuciwszy na nią okiem, wydała wykrzyk przestrachu i list wyrwała jej z ręki. Zaczęła czytać sama, a Leonia tymczasem płonącą główkę sparła na ramieniu i jakieś dziwne myśli w bezwładnym wirze mknęły widomemi niejako chmurkami po jej śnieżnem czole. Nie jeden opis podobny, nie jedną spowiedź tego rodzaju, może nawet o wiele świetniejszemi okraszone barwami, czytała nie raz w poezyach i powieściach, a nigdy nie porwały i nie odurzały ją do tego stopnia: w książ-

żkach podobne obrazy przesuwały się jakby w jakieś mglistej oddali, tu jawiły się w bezpośredniem pobliżu, zaczepiały niejako w przelocie o jej serce.

Ale i na panią Zbąską te szczere zwierzenia się młodej, czystej duszy, silne wywarły wrażenie. Przypomniały jej się chwile z własnej młodości i wzruszona do głębi, nie mogła powstrzymać dwóch łez, które z pod wzdętej powieki zwolna stoczyły się na blade policzki.

— Biedna sierota, — szepnęła na wpół do siebie, — nadeszła i dla niej chwila szczęścia i uroku.

I zamyśliła się czegoś, a Leonia pochwyciła list napowrót i znowu od początku do końca z jednakiem czytała go zajęciem. Nie drżała i nie mieniła się już tak gwałtownie na twarzy, zawsze jednak widać było, że każde słowo przyjaciółki trafiało do samej głębi jej duszy.

Skończywszy nareszcie powtórny odczyt, porwała za pierwszy lepszy tomik ze stołu, i korzystając z zamyślenia matki, wymknęła się cichutko do swojego pokoiku.

Rozmarzona usiadła na kanapkę, i nie zważając wcale na przymilenia się biednej

wiewiórki rzuciła książkę na bok, i po raz trzeci zatopiła się całą duszą w piśmie przyjaciółki.

I osobliwsza, im częściej je odczytała, tem silniej ogarniała ją jakaś smętność nieokreślona, jakaś tęsknota zagadkowa, a nagle coś ją nawet w przelocie ukłuło w pierś dziewiczą i Leonia się wzdrygnęła przestraszona, bo zdało jej się samej, że to tętno nieznanego dotąd uczucia — żądło zazdrości.

Opuściła nieszczęsny list z ręki, i podniósłszy się z kanapy, potoczyła rozmarzonym wzrokiem po ścianach swego pokoiku — i jakoś głucho i pusto wydało jej się nagle w krużoskalskim dworze, spojrzała przez okno ku dalekim górom — a cała okolica wydała jej się strasznie jakoś dziką, odludną i ponurą....

W duszy młodej dziewczyny zadrżała po raz pierwszy jakaś nieznana dotąd struna, w sercu poruszyła się jakaś uśpiona na dnie fala....

....

Nie minęło ośm dni, a Leonia otrzymała list drugi. Był to dalszy ciąg przerwanego poematu serca młodej sieroty, ale nieco odmiennej już treści. Pierwsza część tchnęła

samą rozkoszą, samem szczęściem niewysłowionem; pisana była widocznie w pierwszym szale upojenia po wzajemnem wyznaniu, druga zaś w szczególnej acz wcale zwyczajnej powstała chwili. Na cudownym horyzoncie wzajemnej miłości osiadła lekka chmurka, podobna do tej chmury na horyzoncie nieba, co za chwilę zasłoni słońce, aby je potem do tem świetniejszej odkryć wspaniałości.

Jakieś błache nic nie znaczące nieporozumienie zamąciło na krótką chwilę miłośną harmonię kochanków, kropla goryczy wmięszała się w morze szczęścia, toż list młodej dziewczyny tchnął smutkiem, rozżaleniem i tą zwykłą w takich razach rozpaczą dziecinną, z której szydzą ludzie przejrzałego serca, ale którą tak dobrze zrozumią wszyscy ci z czytelników, co sami w tej chwili brną w więzach miłości.

Leonia z niemniejszą chciwością pożerała i ten list drugi, a i z niego wiał dla niej jakiś urok czarodziejski. Ten smutek, ten żal rozpaczliwy przyjaciółki, acz poniekąd przejmował ją współczuciem, wydawał jej się mimo to stokroć ponętniejszy od bezbarwnych i szczęśliwych na pozór chwil powszedniego życia, jakie pędziła sama.

I znowu szczególny owładnął ją smutek i znowu ukłuło ją coś w pierś wezbraną. Tak wesoły do niedawna dwór, wydał jej się teraz pustym i głuchym, a oko błąkając przez okno po górach, nie widziało jak tylko dzikie i smętne skały i skały.

A czegóż szukała młoda dziewczyna w tej chwili? Któż wie! usta jej nie wypowiedziały ani słowa, a myśli mknęły takim bezwładem; gmatwały się w taki wir różnobarwny, że sama nie potrafiłaby wydobyć z nich jakiś przedmiot określony... Ale owa ukryta struna w duszy zadrżała silniej, owa uśpiona fala w sercu wezbrała wyżej!....

Zagadkowy czar jakiś owładnął ją po pierwszym zaraz liście przyjaciółki, a wzmógł i utrwalił się tylko po drugim.

Ale nie dość było jeszcze na tych dwóch silnych wrażeniach zewnętrznych, które jak dwa prądy elektryczne uderzyły tak nagle o duszę młodej dziewczyny.

Zaraz nazajutrz weszła do jej pokoju smutno i nieśmiało jej siostra mleczna, ró wieśniczka i uczestniczka wszystkich zabaw dziecinnych, czarnooka i czarnobrewa góralka Ołena, hoża jak górska sarna dziewucha, i zalana łzami rzuciła się do nóg ukochanej

panny błagając jej pomocy i rady, bo już całą duszą przylgnęła do Stefanowego Petra, a starzy ani rusz nie chcą pozwolić, jeno się srożą i odkazują!

Leonii wszystka krew trysnęła do głowy, tak silne wrażenie sprawiło na nie niespodziewane wyznane mlecznej siostry. Z rodzajem jakiegoś dziwnego przestrachu czy odurzenia wlepiła w nią wzrok badawczy, i chwytając ją za ramię, zapytała natarczywie:

— Jakto? i ty, i ty się kochasz?

Ołena opuściła oczy i westchnęła tylko z głębi piersi.

— A Petro ciebie kocha? — pytała dalej Leonia.

— O bardzo! — szepnęła Ołena i twarz jej zajaśniała uśmiechem dumy i szczęścia.

Leonię jakaś osobliwsza ogarnęła ciekawość.

— I jakże się to stało, żeście się pokochali? Opowiedz mi wszystko, Ołeno! — zawołała zniżonym naraz głosem.

Młoda góralka spuściła oczy w dół i długo na bok odwracała głowę i bawiła się rąbkiem swej lnianej zapaski nim wreszcie zaczęła opowiadać historyę swego „polubienia się“ z Petrem.

I była to historya bardzo prosta i zwyczajna jak wszystkie związki miłosne między ludem. Ołena odwiedzała często z dworu swą matkę we wsi, a zawsze jakoś spotkała się z Petrem. Zaczęło się od żartów i wzajemnych psot, przyszło potem do drobnych przysług obustronnych, a nareszcie skończyło się na tem, że Ołenę coś okrutnie zaczęło ciągnąć do Petra, a i on bez niej ani rusz nie mógł sobie dać rady.

Leonia z chciwem zajęciem wysłuchała całej tej spowiedzi, a twarz jej ciągle kraśniała rumieńcem, oko niezwykłym płonęło blaskiem.

— I cóż dalej, — zagadnęła żywo, kiedy młoda góralka skończyła opowiadanie i nie odrywała oczu od ziemi, a rąk od rąbków swej zapaski.

— A już nic panno, tylko że starzy się przeciwiają, bo to i na mnie grunt nie stoi, i Petro jest aż trzecim synem Stefana.

Leonię ciągle jeszcze jakaś osobliwsza trapiła ciekawość.

— Słuchaj! — zawołała żywo wpatrując się bystro w twarz młodej dziewczyny, — czy swego Petra kochasz więcej niż mnie?

Ołena podniosła z wyrazem szczerego

przywiązania oczy do swej ukochanej panny i na chwilę jakby się zawahała, ale wnet na nowo wpatrzyła się w ziemię i jakoś ciężko westchnęła.

— Już też nie mogę kłamać, — szepnęła ledwie zrozumiale, — ja pannę kocham, bardzo kocham, ale cóż kiedy mię okrutnie ciągnie do Petra.

— I porzuciłabyś dla niego ojca i matkę?

— No ta jużci, odpowiedziała góralka naiwnie, — ale cóż ja temu winna, kiedy jak mówią ludzie, to już tak Pan Bóg postanowił.

Kilka jeszcze minut trwała podobna rozmowa, a kiedy wreszcie odeszła Ołena, rzuciła się Leonia bezwładnie na małą sofkę i w głęboką wpadła zadumę, i jakiś zagadkowy smutek rozlał się po jej nadobnej twarzyczce i powieki wzdęły się nad oczyma jakby je parły łzy z pod spodu.

Kilka chwil przesiedziała nieruchoma z pochyloną na piersi główką, nagle podniosła oczy i zadrżała prawie, tak jakoś pusto, głucho i bezludnie wydało jej się dokoła.

Zerwała się na równe nogi i zaczęła

szybko przechadzać się po pokoju, ale pod wpływem ostatnich wrażeń pierś wzniosła się wyżej niż zwykle, myśli bezwładnie wirowały po głowie, a duszę ogarniał jakiś dziwny tajemniczy smutek, którego nie pojmowała, którego się przestraszała.

I znowu przystąpiła do okna i westchnęła z głębi piersi: przed oczyma ciągnęły się tylko góry i góry, a jakże były w tej chwili martwe głuche i ponure. Owa rozbudzona niedawno po raz pierwszy tajemnicza struna duszy zadrgała żywiej, świeżo poznana fala nowych uczuć wezbrała wyżej!

Z zdziwieniem i przerażeniem uczuła młoda dziewczyna jakąś nagłą i dziwną w sobie zmianę, jakieś dorywcze a silne przeobrażenie wewnętrzne. Zdało jej się, że w sercu rozwarła się niespodzianie jakaś szczelnie zamknięta dotąd kryjówka, że w duszy młodocianej powstała jakaś nieodgadniona próżnia, którą wypada uzupełnić nieodzownie, nieodbicie.

I od tej chwili nie było to już dziewczę wesołe i swobodne jak ptaszę polne, ale dojrzała dziewica, co staje u progu tej wzniosłej i wspaniałej świątyni, na której ołtarzu goreją najświętsze zapały dwóch serc

wzajemnych, a którą świat nazywa porą miłości.

Jednem słowem Leonia uczuła, że sama sobie nie wystarcza i że w piersi jej tyle akichś zupełnie nowych wezbrała i zawrzało uczuć przemożnych, iż koniecznie wypadało wyłonić je na zewnątrz, na jakiś przedmiot obcy.

I około tego to właśnie nieznanego jeszcze przedmiotu błąkały się odtąd wszystkie skryte marzenia, wszystkie gorętsze westchnienia młodej dziewicy.

Jakieś tajemnicze nieokreślone przeczucie zapowiadało jej wyraźnie, że niebawem zbliży się chwila, kiedy te mgliste i niepewne dotąd rojenia fantazyi przybiorą krew i ciało, urzeczywistnią się na jawie. I zawsze stała jej przed oczyma dawna przyjaciółka z pensyi, a słowa listu jak pacierz wdrożyły się w pamięć. A coraz jakoś puściej i posępniej wydawało jej się w kružoskalskim dworze i całej odludnej okolicy górskiej. Oczy jej z dziwną jakąś tęsknotą biegały po szczytach gór, jakby bezwiednie szukały kogoś spodziewanego.

Tak przynajmniej przed dwoma dniami stojąc w zamyśleniu przy oknie, spoglądała w

dal, wytężony wzrok utkwiła w grupie gór, co owiane u szczytu mgłą niebieskawą, piętrzyły się wysoko w niewielkiej odległości od dworu.

I nagle młoda dziewczyna wydała wykrzyk zdziwienia czy przestrachu, i skwapliwie przetarła oczy, jakby jakieś senne odganiając złudzenie. Po chwili wzrok jej na nowo w jeden utkwił punkt i nowy wykrzyk wydarł się z piersi.

Odbiegła od okna i porwała szybko oprawną w kość słoniową lornetkę, leżącą na pobliskiej komodzie, i znowu przystąpiła do okna i uzbrojone w szkła oczy w jeden znowu wytężyła punkt.

Nie mogła się łudzić dłużej!

Na szczycie góry, co najwyżej wznosiła się w niedalekiej grupie, rysowała się wyraźnie jakaś postać ludzka, a im lepiej przypatrywała się jej młoda dziewczyna, tem większe i żywsze budziła zajęcie. Był to jakiś w niezwykłym stroju mężczyzna, wysoki i smukły, stał oparty o potrzaskany bok skały, oczy gdzieś daleko wytężył przed siebie, a w ręku trzymał zwój biały, widocznie pęk papierów.

Piękna twarzyczka Leonii ożywiła się

zdziwieniem i ciekawością, a rozciekawione oczka nie odrywały się ani na chwilę od spostrzeżonego niespodziewanie przedmiotu.

— Któż to może być?! — zagadnęła się i szkła lornety przycisnęła do samych szyb okna.

Nieznajomy siadł na skale, rozłożył na kolanach trzymany zwój papieru, a prawa jego ręka zaczęła biegać szybko po rozpostartej karcie, zdejmując widocznie przedstawiający się z góry krajobraz.

— To jakiś malarz! — szepnęła dziewczyna i odskoczyła od okna, jak gdyby się lękała, aby w oknach dworu nie odbiła się jej twarzyczka ciekawa.

Ale po chwili wróciła znowu na dawne stanowisko i długo jeszcze patrzyła przez szkła powiększające, nim wreszcie wybiegła z pokoju i doniosła matce o swojem niespodziewanem odkryciu.

Pojawienie się nowej nieznanej osoby w tem odludnem ustroniu było rzeczywiście wypadkiem tak nadzwyczajnym, że nie potrzeba było młodej rozmarzonej dziewczyny, aby żywszej uledz ciekawości. Nieznajomy malarz na szczycie gór zaintrygował w wysokim stopniu i samą panią Zbąską i cały

dwór krużoskalski, od Hałajkiewicza ekonoma do Wojciecha furmana, a tego samego dnia jeszcze rzucił się poczciwy ekonom z całą swą energią i gorliwością, aby jakiejś bliższej o nieznajomym zasięgnąć informacyi.

A najwięcej przynaglała go do tego Leonia. Bądź że pojawienie się nieznajomego przypadło właśnie w ten gorączkowo rozdrażniony stan jej młodociannej wyobraźni, bądź że jakieś fatalistyczne w sercu młodej dziewczyny wywoływało przeczucie, dość że do najwyższej pobudziło ją ciekawości i owładnęło umysł cały. Bo też i tak mało zresztą potrzeba, aby porwać ze sobą rozbujałą wyobraźnię młodej dziewczyny!

Hałajkiewicz tymczasem gorliwie zajął się swoją dyspozycyą. Wieczorem powrócił do dworu z gęstszą niż zazwyczaj miną i poznać mu było po nosie, że ze spodziewanemi przybywa nowinami.

— No cóż, panie Hałajkiewicz, dowiedziałeś się czego? — zagadnęła go zaraz na wstępie Leonia.

— Wszystkiego, — odparł Hałajkiewicz krótko i nadął się z wewnętrznem zadowoleniem.

— Któż więc jest ten nieznajomy? — pytała dalej dziewica.

Poczciwy ekonom zrobił gest, jakby go mięszał ferwor pytającej.

— Kto on jest, — wycedził zwolna, — któż to może wiedzieć naprzykład, ale koniec końców jest tu już od kilka dni i jak cap drapie się po górach, skarz mię Boże. Widział go naprzykład Jakim Bodnar, — ciągnął licząc na palcach, — Petro Napotoczny, Iwan Horbaty....

Leonia rzuciła się niecierpliwie.

— Mniejsza o to, kto go widział! — wykrzyknęła, — ale przecież któż on jest, co tu robi, zkąd przybywa?

Hałajkiewicz z widocznem nieukontentowaniem wzruszył ramionami.

— Co tu robi? zkąd przybywa? — ciągnął powoli, — któż to może wiedzieć naprzykład.

— Powiedziałeś pan przecie, żeś się dowiedział wszystkiego.

— No jużci, ale co tego, to nie wiem.

— A to pan nic nie wiesz! — zawołała dziewczyna żywo.

Pomyliła się jednak tym razem.

Poczciwy Hałajkiewicz wiedział coś więcej, naprzykład, że nieznajomy jest młody i wcale przystojny, a do tego człek nie „ordynalny,“ bo i suknie ma bardzo wytworne i różne umie języki. Sam Hałajkiewicz słyszał, jak z arendarzem rozmawiał po niemiecku, z cyganem kowalem po węgiersku, a z chłopami po polsku.

— A zdaje mi się ze wszystkiego, — zakonkludował naostatek, — że to musi być jakiś malarz, bo ślepego dziada, co siada pod cerkwią, odmalał ołówkiem na papierze jak się patrzy.

Relacya ta acz tak skąpą i niedokładna, musiała tylko zaostrzyć ciekawość młodej dziewczyny.

Nagłe pojawienie się nieznajomego, jego strój węgierski i dłuższy pobyt w okolicy naprowadzał zresztą na inne domysły. Było to właśnie w roku 1850. Na ziemi węgierskiej ledwie co ogłuchł bój zewnętrzny, a w lasach bakońskich i w innych niedostępnych okolicach błąkali się jeszcze jak mówiono z bronią w ręku niedobitki armii powstańczej. Jednym z takich wydał się nieznajomy Leonii, zwłaszcza, że jak dowiedziała się następnie,

rzadko bardzo pojawiał się we wsi, a nocy przepędzał gdzieś w ostępach gór.

Młoda dziewczyna wyjawiła swój domysł matce, a ta po krótkim namyśle zgodziła się nań także. Uradziły też obydwie, aby pod jakimkolwiek pozorem zaprosić nieznajomego do dworu i udzielić mu pomocy, jakiejby mógł potrzebować. Słyszeliśmy też przed chwilą jak pani Zbąska zleciła Hałajkiewiczowi, aby zbliżył się do nieznajomego i starał go się zaprosić do dworu.

We wsi uchodził on tymczasem powszechnie za jakiegoś wędrownego malarza, a poczciwy djak uradził nawet z wójtem i gromadą, aby wejść z nim w ugodę, czyby nie zechciał św. Mikołajowi na carskich wrotach w cerkwi poprawić nos zamazany, św. Jurowi dorobić jedną ostrogę, djabłowi przy ołtarzu św. Michała przysztukować ogon, a Matce Boskiej odświeżyć fartuszek wybladły.

We dworze nie wierzono zgoła w jego talent malarski, który wydał się tylko zręczną pokrywką bezcelowego błąkania się po górach. Leonia była pewną od pierwszej chwili, że młody nieznajomy jest jakimś uciekającym przed sądem nowoczesnego Alby honwedem, albo legionistą polskim, pragnącym przedrzeć

się do swojej rodziny, nie trudno też sobie wytłumaczyć udział i sympatyę jakie musiał budzić w umyśle młodej patryotki.

Grożące mu niebezpieczeństwa przedstawiały się w jej dwójnasób straszniejszem świetle i gotowa była wytężyć wszystkie swoje siły, aby im zapobiedz choć w części.

Toż i teraz wszystkie jej myśli były przy nim. Siedziała w zadumie na sofce i rozbierała wszelkie środki i sposoby, jakby mu przyjść w pomoc i w razie potrzeby bądź ułatwić ucieczkę, bądź ubezpieczyć dłuższe w tych stronach ukrywanie się.

Nagle podniosła się z sofki i bezwiednie postąpiła do okna. Wytężyła oczy w dal i wstrzęsła się zlekka.

Na szczycie niedalekiej skały stał nieznajomy i zdawał się patrzeć wprost ku dworowi. Wiatr dął gwałtownie i kołysał na wszystkie strony dołmanem przewieszonym niedbale przez jego plecy i długiemi kędziorami włosów, wymykających się z pod zadartych w górę krysów czarnego węgierskiego kapelusza.

I dziwnie jakoś romansowo i fantastycznie wyglądała w tej chwili cała postać nieznajomego.

Niepodobna było odróżnić rysów jego twarzy, ale Leoni się zdawało, że na nią wytężył oczy, a oczy iskrzyły się takim żarem promienistym, że wszystka krew uderzyła jej do twarzy i prawie przestraszona odskoczyła od okna.

VI.

NIEZNAJOMY.

Nazajutrz dobrze z południa na kasztanowatej szkapie z gwiazdką na czole, w zielonej kurcie, z czapką na bakier, nahajką w ręku i fajką na krótkim cybuszku w gębie, jechał pan Bartłomiej Hałajkiewicz wązkim wąwozem wśród dwóch stromych ścian gór.

Zacny ekonom widocznie w niedobrym humorze, bo zachmurzył czoło, przygryzł wargi, a od czasu do czasu coś z niechęcią pomrukuje pod nosem.

— Niech tam jasny hrom zatrzaśnie te kaprysy pańskie! Błąkajże się tu jak dureń po górach i szukaj tego przeklętego malarza, — wybąknął pół głosem i splunąwszy z

indygnacyą, pociągnął nahajką po boku szkapy. — Djabeł go tam znajdzie w tych wertepach. Ot chyba huknę na szelmę, to może się odezwie.

I przyłożywszy kułak do ust, wrzasnął z całego gardła:

— Hop hop! hu hu!

Godny ekonomskich piersi głos rozbił się w liczne echa, ale żadnej nie wywołał odpowiedzi.

Hałajkiewicz splunął i klnąc przez zęby, pojechał dalej.

Wąski wąwóz ścieśniał się coraz więcej i wrzynał się nagle między dwie wysokie spadste skały, które zaledwie o łokieć odstawały od siebie.

Hałajkiewicz wzniósł oczy do góry i spojrzał na skałę po prawej stronie, która trzema grubemi bryłami jak poddasze zwieszała się nad wąwóz.

— To ta przeklęta skała, — mruknął i pociągnął za cugle, jakby się chciał nagle zatrzymać. — Biedny panisko! — szepnął po krótkiej pauzie i z widoczną grozą obejrzał się do koła, — jak porwał w łeb przed dwudziestą laty, to się aż dotąd nie opamiętał. Ale po co ja tu jadę do milion piorunów!

tfy, djabeł nie śpi, — dodał półgłosem spluwając po swoim zwyczaju i mocniej szarpnął za cugle, aby wycofać się z pod niebezpiecznego poddasza. — Kto tam wie, czy ten Maksym Borba szczezł na prawdę.

W tem krzyknął głośno i zimny mróz przeszedł go od stóp do głowy.

Na jednej z trzech brył zwieszonych zarysował się jakiś cień olbrzymi, a po krótkiej chwili ukazała się jakaś postać.

Czerwona, buraczkowa postać ekonoma stała się jakąś niebieskawą z przestrachu.

— Kto tam? — wydzwonił zębami ledwie zrozumiale.

Postać na górze nie dała odpowiedzi, a szkapa ekonomska czy przestraszona cieniem co padał na przeciwną ścianę czy też wolniej szarpnęła się puszczona w cuglach, całą siłą naprzód.

Tprr! stój! — wykrzyknął ekonom i oboma rękami chwycił za cugle, a wybałuszone z przestrachu oczy mimowolnie wzniósł do góry. I zątrząsł się znowu od pięty do czupryny, a na twarzy większa jeszcze wybiła się groza.

— Czarny Matwij, — szepnął i prze-

żegnał się co żywo. — Matko Boska! Jezusie Milatyński! strzeżże mię od złego ducha.

Na bryle skały stał rzeczywiście znany nam lekarz tajemniczy Czarny Matwij. Wyprostowany nieruchomie w całej postawie wlepił wzrok w przerażonego ekonoma i zdawał się śledzić bacznie każde jego poruszenie. Twarz jego szpetna i dzika wydawała się w tej chwili nie wiedzieć dla czego jeszcze straszniejszą niż zazwyczaj, szczególniej oczy miały jakiś wyraz dziwnie groźny i srogi.

Przejęty grozą Hałajkiewicz nie miał czasu przyglądać się jego fizyognomii, ale mimo to przestrach jego wzmagał się coraz bardziej. Czarny Matwij miał tak dziwną i straszną w całej okolicy reputacyę, postać jego była tak odrażającą, a umysł poczciwego ekonoma tak ciemny, ciasny i zabobonny że nie trudno sobie zresztą ten dziwny wytłumaczyć popłoch.

A jak na toż potulna zawsze jak dziecko szkapa jakąś niesłychaną w życiu uniosła się niesforą, i pnąc się dęba i wierzgając na wszystkie strony, nie chciała żadną miarą ani cofnąć się w tył, ani ruszyć z miejsca.

Do piekielnego przestrachu ekonoma

przymięszała się i złość niepohamowana. Napróżno nahajką i obcasami okładał z całej siły boki znarowionej szkapy, nie mógł ani o piędź jedną posunąć się naprzód lub w tył.

Zmęczony, zziany i na wpół nieżywy z przestrachu przestał się już forsować, i podając się w duchu gorącą modlitwą Opatrzności, wzniósł oczy w górę. I mało nie spadł z konia, tak straszna błyskawica łysnęła w tej chwili z oczu Czarnego Matwija

— Panie Matwiju co to znaczy? — wybełkotał sam nie wiedząc co.

Ponura twarz Czarnego Matwija rozjaśniła się naraz, jakby przestrach biednego ekonoma sprawił mu jakąś radość ukrytą. Zdjął swój krysasty kapelusz z głowy, i zapytał z pewną przybraną a widocznie ani postawie ani głosowi nieodpowiednią pokorą:

— A co to wielmożnemu panu?

Ten „wielmożny pan" dziwnie lubo załechtał w uszy przestraszonego ekonoma i czarodziejską przejął go otuchą. Wyrozumiał zaraz w swych ekonomskich wyobrażeń, że zły duch czy zły człowiek, czarownik czy

opryszek nie będzie nigdy kłaniał się temu, kogo się nie boi, a tem mniej temu, komuby miał ochotę nakręcić karku.

Więc choć nie zupełnie uspokojony, ale zawsze o wiele śmielej podniósł głowę i wywinął w powietrzu nahajką.

— Patrzcie! znarowiła mi się kandyba trzysta djabłów! skarz mię Boże!

— A cóż was tu zagnało, wielmożny panie? — zapytał Matwij jak poprzednio.

Hałajkiewicz wzruszył ramionami.

— Niech mię djabli porwą, czy wiem, skarz mię Boże!

Czarny Matwij wzruszył jakoś ramionami i ściągnął brwi.

— To niebezpieczne miejsce, — przejął z pewnym naciskiem.

Hałajkiewicz zadrżał na nowo.

— A prawda, prawda, wybąknął, — tu naszego pana trafiło nieszczęście.

Oczy Czarnego Matwija na nowo jakimś dziwnym zamigotały blaskiem.

— Ta skała mogłaby się urwać, — rzekł półgłosem i nogą uderzył o jedną bryłę.

Karmazyn na twarzy Hałajkiewicza

przemienił się ponownie w farbkę od bielizny.

— Nie żartujcie! — zawołał mimowoli zamrużając oczy, — bo i wówczas mówią ludzie, że ten Maksym Borba psiawiara.... skarz mię Boże....

Nie skończył, bo zakrztusił się nagle, jakby mu ślina zaleciała w krtań.

— I cóż ten Maksym Borba? — zapytał Czarny Matwij jednakim zawsze głosem.

— A niech go tam siarczyste hromy biją, skarz mię Boże, — odbąknął ekonom i na nowo oboma rękami silił się klacz pociągnąć w tył.

Ale tę już widocznie owładnęło jakieś licho, bo kręcąc się młynka w około, ani o krok nie ruszyła się z miejsca.

Ekonom zgrzytnął zębami i całą dłonią musnął po twarzy, aby zetrzeć pot kroplisty.

— To już widocznie ze złym sprawa, — szepnął w duchu, i westchnął ciężko do swego patrona.

Czarny Matwij zdawał się bawić chwilkę przykrem położeniem biednego ekonoma.

— Cóż was tu zagnało do licha? — zapytał po chwili i wzrok utkwił bystro i przenikliwie w twarz ekonoma.

— To co! szukam tego przeklętego malarza, — odsapnął nieborak zadyszany.

— Jakiego malarza?

— To tego naprzykład Węgra czy jakiegoś djabła, co się już od kilku dni włóczy po górach.

Matwij bacznie nadstawił uszy i brwi mocniej ściągnęły mu się nad czołem.

— A czegóż chcecie od tego malarza? — zagadnął z naciskiem.

— A niech go tam choroba bierze, — odparł Hałajkiewicz ekonomskim trybem, — ja go nie potrzebuję, ale pani i pannie wlazło coś do głowy, skarz mię Boże.

Matwij podciągnął brwi do góry.

— Pani i pannie, — powtórzył.

— Wyprawiły mię na łeb na szyję, abym go koniecznie zaprosił do dworu na arbatę, naprzykład.

To słowo arbata wymówił poczciwy ekonom z całą forsą swych szerokich piersi, pewny, że niepospolicie zaimponuje niem choćby nawet spólnikowi djabła.

Czarny Matwij głęboko się czegoś zamyślił.

— I nie mogliście nigdzie przydybać

tego malarza? — ozwał się po krótkiej pauzie.

Nigdzie skarz mię Boże.

Matwij stał ciągle w zamyśleniu jakby się wahał czegoś.

— I to pani i panna zapraszają koniecznie tego malarza? zapytał na nowo, spoglądając z ukosa na ekonoma.

— A któż inny? jużci nie ten gruby niedołęga, co tylko je i pije, sapie i śmieje się.

Po twarzy Matwija szybko jak błyskawica jakiś osobliwszy przemknął wyraz.

— A może macie co do malowania we dworze? — zapytał dalej.

— Ah, gdzie tam, najwięcej żeby tam pomalował sprychy do najtyczanki, ale panna sobie o tem ani mówić nie da, a sama pani powiedziała, że mi piątej klepki brakuje, skarz mię Boże.

Matwij wstrząsł nieznacznie głową i okiem bystro powiódł do koła. Potem dwa palce wsadził do gęby i świsnął tak donośnie i przeraźliwie, że poczciwy Hałajkiewicz, acz bynajmniej nie chorował na draźliwość nerwów, zamknął oczy i oburącz chwycił się za głowę, pewny że wraz z

świstem jedna bryła oderwała się od skały.

Głośny świst Matwija jeszcze nie przełamał się we wszystkie echa, kiedy z głębi gór ozwał się jakiś głos oddalony.

— Słyszycie?

— A słyszę, naprzykład.

— To pojedźcie tylko trochę dalej, a spotkacie waszego malarza.

— Kiedy-bo ta kandyba się znarowiła, — odezwał się ekonom zafrasowany wskazując na niesforną kobyłę.

Matwij machnął ręką, a biedny Hałajkiewicz mało nie runął na ziemię, tak nagle kobyła szarpnęła się naprzód.

— Niechże mi kto powie, że to nie czary, a ten Czarny Matwij nie sprawiedliwy czarownik naprzykład, — mruknął i przeżegnał się po raz już któryś, a potem szkapę silnie pociągnął po bokach, i hukając z całego gardła, poczwałował w głąb wąwozu.

Czarny Matwij pozostał na bryle skały i nieruchomy jak z kamienia długo spoglądał za odjeżdżającym. Nagle wstrząsł się cały, jakby jakaś przykra ubodła go myśl i głowę z jakąś skruchą widoczną pochylił na pierś. Potem spojrzal w dół wąwozu i oczy

jakoś dziko się roziskrzyły, a zęby ścisnęły silnie. Ale stan ten trwał krótki tylko moment. Matwij prędko odwrócił głowę i oczy jego błąkały chwilkę po górach, potem w półkole przebiegły od dworu wieś całą. I dziwna, na tej ponurej, surowej, odrażającej twarzy zaszła osobliwsza zmiana, zdało się, że każdy rys jej łagodnieje stopniowo i z głębi piersi jakieś tajemne, tłumione wydobywa się uczucie.

W tej chwili przestał już hukać Hałajkiewicz i ustał nagle tętent jego konia. Widocznie przydybał już tego, kogo szukał.

Matwij spojrzał w tę stronę, wzruszył ramionami, i z pochyloną na piersi głową zaczął spuszczać się w dół skały w dziką kępę jałowcową..

Nie minęło ćwierć godziny, a Hałajkiewicz stępem wracał tą samą drogą. I aniby go poznać teraz tak gęstą ma minę, i tak jakoś zadowolony wygląda z siebie. Widocznie udała mu się misya dyplomatyczna, bo tuż przy jego boku kroczył w zamyśleniu z węgierska ubrany młodzieniec, domniemywany malarz i bohater ostatniego boju, a nasz dobry znajomy z Kruczego dzióba i chaty Matwija.

Hałajkiewiczowi widać po nosie świerzbi język, jak nagniotek przed deszczem, co chwila zerka z podełba na swego towarzysza i radby zawiązać jakąś rozmowę poufną.

Ale nieznajomy nie zważa na to bynajmniej, i milczący i zamyślony postępuje równym krokiem obok konia, czasem tylko marzącem okiem rzuci dokoła i lekkie westchnienie wyrywa mu się z piersi.

Hałajkiewicz napróżno krząka i pokaszluje, nie udaje mu się wcale przerwać milczenia.

— Jakiś twardy wróg! — poszepnął w duchu, — ani rusz wydobyć z niego słowa. Może, skarz mię Boże, pana nogi zbolały, — odezwał się nakoniec głośno, — to ustąpiłbym panu szkapiny.

— Dziękuje panu, wolę iść, do dworu nie daleko już jak się zdaje!

— To prawda, ale zawsze jeszcze kawałek.

Nieznajomy skinął głową i poprzestał na tem. Hałajkiewicz pokręcił z niechęcią wąsa, bo zawiązana mozolnie nić rozmowy groziła zerwać się na nowo.

— Ale pan widzę naprzykład, — zagadnął po chwili małomównego towarzysza,

— przyzwyczajony do chodzenia po górach.

— A tak naprzykład, odpowiedział nieznajomy, kładąc ironiczny nacisk na ostatnie słowo.

— Naprzykład? — powtórzył Hałajkiewicz niemiłosiernie wybałuszając oczy, bo słowo to drugie obok „skarz mię Boże,“ ulubione przysłowie ekonoma, wydało mu się jakoś strasznie niestosowne w obcych ustach.

Nieznajomy uśmiechnął się zlekka, nagle musnął dłonią po szerokiem swem czole i zapytał z ukośnem spojrzeniem:

—Czy pan tu już długo w tych stronach?

Hałajkiewicz uśmiechnął się z dumą i z partesem potarł wąsa.

— Ho, ho, już trzydzieści dwa lat człek zagrzebał się w tych górach, nastałem tu jeszcze za nieboszczki pani.

— Tak?

— O tak, skarz mię Boże.

— Więc pan dobrze znasz tę okolicę?

— Jak żyd własną kieszeń.

Nieznajomy zamyślił się czegoś.

—Musiałeś pan zatem znać tego głośnego w tych stronach bakuniarza Maksyma? — zapytał, zwolna cedząc słowa.

— Maksyma Borbę! — wykrzyknął ekonom i jak oparzony rzucił się na siodle, — o ten łotr oczajdusza! — wrzasnął jeszcze głośniej i zgrzytnął zębami.

Zdawałoby się, że nieznajomy przestraszył się gwałtownego ferworu ekonoma, bo aż pobladł na te słowa.

Hałajkiewicz podniósł się w siodle i ręką wskazał w tył.

— Widzisz pan tę skałę, którąśmy właśnie minęli! — wykrzyknął, — tu nasz pan dostał po łbie, że po dziś dzień głupi jak bałwan: a to niechybnie ten łotr, oczajdusza Maksym, skarz mię Boże, — dodał i jakiś szczególny gest zrobił ręką i głową.

Nieznajomy nic nie odpowiedział i oczy czegoś uporczywie wlepił w ziemię.

Czcigodny ekonom wpadł w ferwor mówienia, odkaszlnął i splunął z całej siły i już do jakiegoś dłuższego zbierał się opowiadania, ale nagle rzucił okiem na towarzysza i skrzywił się z niechęcią.

Nieznajomy wpadł w tak głęboką zadumę, że zda się nie słyszałby armatniego strzału.

— Gadaj dziadu do obrazu! — mruknął ekonom przez zęby i z indygnacyą machnął ręką.

Odtąd dalsza podróż w zupełnem odbywała się milczeniu.

Nieznajomy nie wypadł z swej zadumy, a Hałajkiewicz jechał ciągle w kwaśnym humorze, i dopiero w pobliżu dworu wypogodził czoło, przekonany, że prowadząc z sobą nieznajomego, dowiódł niepospolitej zręczności dyplomatycznej i wielce zasłużył się „wielmożnemu państwu.“

Mieszkańcy czyli raczej mieszkanki dworu spostrzegły przez okno zbliżającego się ekonoma wraz z gościem spodziewanym, i dziwna rzecz, jak go była poznać rada niedawno Leonia, tak teraz czegoś się zatrwożyła i pożądana wizyta wydała jej się za wczesną i za nagłą. Usiadła z jakąś robótką pod oknem i w lekkiem pomięszaniu czekała, aż odchylą się drzwi.

Naprzód jednak z gęstą miną wszedł Hałajkiewicz, odgarnął wąsy, ukłonił się po swojemu i szepnął niby zcicha:

— Już jest! przystawiłem go według dyspozycyi!

Nie mógł jednak poczciwiec odebrać na

razie żadnej nagrody za swą niepospolitą zręczność dyplomatyczną, bo tuż zaraz wszedł nieznajomy.

Pani Zbąska powstała z kanapy i witając gościa uprzejmnie, krótkiemi słowy uniewinniała tak dorywcze swe zaprosiny. Życie społeczeńskie płynie tak jednostajnie w tem ustroniu gór, że ze względów filantropijnych wypada już przebaczyć jego mieszkańcom, mówiła, jeśli chciwie chwytają się każdej sposobności, by choć na chwilę przerwać ten stan niepoczestny.

— Przykroby nam tylko było, — dodała z ujmującym uśmiechem, — gdybyśmy zanadto na koszt pański uprzyjemniali sobie jednostajność naszego powszedniego życia.

Nieznajomy skłonił się z uszanowaniem ale bez wszelkiego zakłopotania, jak człowiek obyty z przyjętemi formami towarzyskiemi i oswojony w obcowaniu z ludźmi wyższego wykształcenia. W kilku słowach umiał na przemowę gospodyni domu trafną zawrzeć odpowiedź, zajmując wskazane sobie miejsce, przedstawił się jako Lajos Lengel, graduowany doktor medycyny na uniwersytecie peszteńskim.

— Myśmy pana mieli za malarza, — przejęła pani Zbąska i z boku badawczo patrzyła się w twarz gościa.

Lajos uśmiechnął się zlekka.

— Jestem tylko dyletantem w tej sztuce, w wolnych chwilach uczyłem się rysunków i bazgrzę czasami dla własnej przyjemności.

— Więc zapewne tylko poszukiwania lekarskich ziół górskich sprowadziły pana w nasze strony? — badała dalej pani Zbąska.

— To jest.... tak.... — odpowiedział nieznajomy z widocznem zakłopotaniem i lekki rumieniec wystąpił na jego policzki.

Leonia dopiero teraz ośmieliła się podnieść od robótki oczy i spojrzeć na niego. Spojrzenie to było krótkie, przelotne, ale schwyciło od razu wszystkie rysy jego twarzy.

Młody doktor medycyny mógł liczyć najwięcej lat dwadzieścia sześć, na śniadej regularnej twarzy o wysokiem myślącem czole malował się młodzieńczy zapał obok męzkiej energii, niewymuszona swoboda obok rozwagi i zastanowienia. Z tem wszystkiem trudnoby nazwać młodego doktora pięknym w zwykłem pojęciu świata. W regularnych jego rysach nie było tej miękości i delikatności

którą wielkoświatowe prawidła estetyki wymagają Bóg wie dla czego od każdej piękności. W twarzy jego i w tych czarnych, pod dwoma równemi łukami brwi osadzonych oczach wydatniał się aż zanadto może wyraz męstwa i energii, który więcej wzbudza szacunek niż pociąga ku sobie sympatyą. Ztąd też cała fizyognomia młodego lekarza musiała przy lada głębszem zamyśleniu wydawać się za poważną, a może nawet surową.

Ale Leonię nie odstraszyły bynajmniej te niby ujemne rysy, owszem podniosły tylko ogólnie korzystne wrażenie, jakie wzbudzać musiała powierzchowność peszteńskiego doktora.

Młoda dziewczyna prędko pochyliła główkę ku swej robótce, bo zdało jej się, że w oczach nieznajomego spostrzegła ten sam żar promienisty, jaki ją w przewidzeniu tak dziwnym przejął przestrachem.

Tymczasem i młody doktor miał już sposobność rzucić kilka razy okiem na młodą dziewczynę, a widać było po żywiej promieniejącem oku, że anielska jej uroda silne sprawiła na nim wrażenie.

Pani Zbąskiej podobała się wielce powierzchowność nieznajomego, wszakże szczere

i doraźne przedstawienie się w prawdziwem jak się zdawało nazwisku i charakterze doktora medycyny, osłabiło na razie urok, w jaki dotychczasowa tajemniczność osłaniała jego postać. Dopiero nagłe zakłopotanie się młodzieńca, kiedy miał wyjaśnić właściwy cel pobytu w tych stronach, utwierdziło w jej umyśle wszystkie dawniejsze jej i córki domniemywania.

Z coraz większem też zajęciem wpatrywała się w twarz młodzieńca, a spostrzegłszy nagle na jego czole długą i szeroką kresę, co widocznie od ostrego cięcia ciągnęła się przez czoło i gubiła gdzieś we włosach na skroniu uśmiechnęła się smutnie i westchnęła ze znaczeniem.

Leonia uznała za stosowne wmięszać się do rozmowy, która utknęła na chwilę, a chcąc unikać wszelkich kłopotliwych na razie zagadnień dla nieznajomego, starała się nadać jej zwykły konwersacyjny obrót.

Wszczęła się też żywa rozmowa o różnych powszednich przedmiotach, a w niej nie trudno było poznać wyższe wykształcenie i trafny dowcip nieznajomego. Na wszystko umiał odpowiedzieć stósownie, a w każdem z tych powiedzeń przebijała się nie-

pretensyonalna pewność siebie obok skromnej swobody.

Nareszcie Ołena nakryła do herbaty. Za pierwszym dźwiękiem rozstawionych szklanek i łyżeczek odchyliły się drzwi uboczne i pan Erazm ukazał się w progu. Zatrzymał się chwilkę we drzwiach i bezmyślnem, nieprzytomnem okiem potoczył dokoła. Uśmiechnął się zlekka i nie odpowiadając na grzeczny ukłon gościa postąpił wprost do swego krzesła poręczowego i wyciągnął rękę po przygotowaną dla siebie szklankę.

Pani Zbąska westchnęła boleśnie, oczy córki pochyliły się ze smutkiem ku ziemi.

— Mój mąż, od lat kilkunastu chory na umyśle, panie doktorze, — ozwała się nareszcie biedna żona wskazując na nieszczęśliwego idjotę.

Doktor pobladł czegoś nagle i jakieś dziwne pomięszanie wybiło się na jego twarzy.

Wejście idjoty przerwało na razie rozmowę i nie prędko mogli wszyscy wrócić do dawnego toku.

Młody malarz przezwyciężył jakoś pierwsze swoje pomięszanie i z zajęciem człowieka zawodu wpatrzył się w chorego. Spostrzegłszy jednak widocznie załamaną

czaszkę, zmarszczył brwi i spuścił oczy ku stojącej przed sobą szklance.

Pani Zbąska śledziła wszystkie poruszenia gościa i zrozumiała ich znaczenie. Westchnęła boleśnie i nie rzekła ani słowa.

Nareszcie po długiej pauzie, wpośród której po swojem zwyczaju zdrzemał się idjota, potoczyła ię rozmowa dalej i dotknęła pobieżnie kilku przedmiotów ojczystych.

Młody lekarz nie wypadł i tutaj z toku i we wszystkiem objawiał taką znajomość rzeczy, że sama Leonia nie mogła się powstrzymać dłużej i wykrzyknęła bezmyślnie:

— Nazwisko, stanowisko i strój pana zdawałyby się znamionować cudzoziemca, kiedy przeciwnie język i to wszechstronne obznajomienie się rzeczami naszemi pozwoliłby się domyśleć w panu ziomka.

Młody doktor zmięszał i zakłopotał się więcej jeszcze niż za pierwszym razem, kiedy zagadnęła go pani Zbąska, i widocznem było, że w pierwszej chwili nie wiedział zgoła co miał odpowiedzieć. Opamiętał się jednak prędko i pokrywając uśmiechem zakłopotanie, odrzekł z przybranym spokojem:

— Wszystko to jest tylko jednem z

znamion dziwnych zrządzeń mego losu. Urodziłem się na tej ziemi, wychowałem na sąsiedniej. Przy wielkiej miłości dla drugiej ojczyzny, nie mogłem zapomnieć o pierwszej. Kochałem i kocham zarówno ziemię, na której obaczyłem światło dzienne,i tę, która mię przyjęła i wychowała po macierzyńsku. Losy obudwu zajmują mię w jednym stopniu i nie znam poświęcenia, jakiegobym nie poniósł zarówno dla jednej jak i dla drugiej.

I żadnej-że zgoła pomiędzy temi oboma w uczuciach swych nie znasz pan różnicy? — zapytała młoda dziewczyna z roziskrzonem okiem rozciekawiona i ożywiona niepospolicie dziwną odpowiedzią młodzieńca.

Lajos pochylił głowę na piersi i twarz jego przybrała wyraz marzący.

— Trudno mi na to odpowiedzieć, — odparł po krótkiej pauzie, — nazywam się Lajos Lengyel a Lengyel znaczy po węgiersku Polaka. W nowej mej ojczyźnie, wśród nowych mych ziomków, pozostałem zawsze Polakiem, to też choćby dusza moja podleglejsza na wszelki wypadek więcej wrażeniom i wpływom zewnętrznym uczuła się kiedy węgierską, to serce pozostanie zawsze i wszędzie polskiem, czysto polskiem.

— Serce polskie! serce polskie! ja mam serce polskie! — wykrzyknął nagle z szczególnym ferworem idjota, i w górę podniósł oczy, jakby jakieś żywsze ważniejsze z ubiegłych chwil wspomnienie obudziło w nim przytomność na chwilę.

Nagły niespodziewany ten wybuch idjoty zaprzątnął ogólną uwagę i przerwał tok rozmowy i dopiero po dłuższej pauzie ozwała się z pewnym namysłem pani Zbąska:

— Czy pan długo jeszcze myśli zabawić w naszej okolicy?

— Radbym z duszy jak najdłużej, — odpowiedział młodzieniec, — jednakowoż nie mogę nad kilka dni jeszcze przedłużyć mego pobytu.

— Czy ograniczy się pan na tej tylko okolicy, czy zechce zwiedzić i głąb kraju?

Lajos westchnął zlekka.

— Byłoby największą dla mnie rozkoszą poznać wszystkie zakątki tej ziemi, lecz wybrałem się ukradkiem bez wszelkich papierów, a w tych czasach to rzecz niebezpieczna.

Ostatnie to powiedzenie godziło się zupełnie z poprzedniemi domysłami matki i córki, obie też wymieniły porozumienie, a

pani Zbąska odezwała się na nowo po chwili:

— A gdzież pan na teraz obrałeś sobie mieszkanie?

— Przebyłem granicę ukradkiem w kompanii kilku bakuniarzy, którzy mimo zniesionej granicy celnej prowadzą dalej swój handel lichy. W drodze napotkałem człowieka, który mię z wielkiego wybawił niebezpieczeństwa i potem przyjął gościnnie do swej chaty.

— I któż to jest ten człowiek? — zapytała ciekawie Leonia.

— Tak zwany Czarny Matwij, — odpowiedział młodzieniec z niejakiem wahaniem.

— Czarny Matwij! — wykrzyknęła pani Zbąska w zdziwieniu, a Leonia aż odskoczyła z krzesła i zawołała żywo:

— Wybornie! od pana najlepiej dowiemy się czegoś bliższego o tym dziwnym człowieku, który taki postrach rozsiewa między ludem.

Lajos zamyślił się.

— Pojmuję ciekawość pani, — ozwał się po chwili, — i przykro mi niewymownie, że nie mogę jej zaspokoić zupełnie. Człowiek ten zdaje się ukrywać jakąś tajemnicę, a zamknięty w sobie nie pozwala się odgadnąć

nikomu. Zawdzięczając mu życie prawie, nie śmiałem zapytać go o nią, i nie starałem się żadnym sposobem wedrzeć w jego tajemnicę. Lubo też tydzień już mieszkam pod jednym z nim dachem, nie wiem zgoła nic bliższego o nim prócz tego co lud rozpowiada w całej okolicy.

Leonia wzdrygnęła się.

— I pan nie boisz się mieszkać pod jednym dachem z tym człowiekiem! — wykrzyknęła.

— Nie wznieca we mnie odrazy, a nie widzę żadnego powodu obawy.

— Nie wznieca odrazy! — wykrzyknęła młoda dziewczyna z żywością, — ach dla Boga! dwa razy tylko w mem życiu widziałam tego człowieka i obie te chwile nie zapomnę nigdy, dreszcz mię przechodzi na same ich wspomnienie.

— Zapewne szpetność jego twarzy i potworność całej postaci wznieca w pani taką odrazę?

— O nie, nie, — poderwała Leonia skwapliwie, — szpetność mię nie razi nigdy, ale ten człowiek patrzył na mnie przez chwilę i nie mogłabym panu opisać tego wyrazu dzikości, okrucieństwa i nienawiści, jaki

przebijał się w jego wzroku.

— Co do mnie, — odparł Lajos, — ja widzę w tym wzroku tylko jakiś smutek utajony, jakąś ponurość urodzoną, ale nic więcej.

— Szczególna, — odezwała się matka Leonii, — bo ja także muszę potwierdzić zupełnie słowa mojej córki, i ja ten sam wyraz dostrzegłam w jego oczach.

Młody doktor ściągnął cokolwiek brwi, jak gdyby się nad czemś zastanawiał lub sobie coś przypominał.

— A cóż pan sądzisz o jego wiadomościach lekarskich? — zapytała nagle pani Zbąska.

— I na to niepodobna mi odpowiedzieć, — odrzekł młodzieniec, — jak wszystko w około siebie, tak i to osłania Matwij głęboką tajemnicą, a jak powiedziałem, mając wzgląd wdzięczności dla niego, nie śmiałem niczego dociekać podstępem.

— A wolnoż zapytać z jakiego niebezpieczeństwa wyratował pana ten człowiek? — zagadnęła Leonia.

— Bakuniarze co mię przeprowadzili przez granicę, wzięli mię za przebranego rewizora, chcącego zbadać ich skryte manowce, i postanowili zgładzić mię cichaczem. Niemogłem

obronić się przemocy, i już byłem bliski śmierci, kiedy w tem pojawił się Czarny Matwij i ocalił mię z rąk napastników.

Matka i córka słuchały z zajęciem tego opowiadania, a sama romantyczna przygoda młodego podróżnika musiała tylko podnieść sympatyę dla jego osoby.

Młody doktor musiał z wszelkiemi szczegółami opowiadać swoje zajście na Kruczym dzióbie. Spostrzegłszy zaś pod koniec opowiadania, że już zmierzchało się zupełnie, zerwał się z krzesła i chwycił za kapelusz.

— Chcesz nas już pan pożegnać? — ozwała się pani Zbąska.

— Mam spory kawał do chaty Matwija. —

— Przed chwilą pytałam pana, gdzie pan obrałeś sobie na ten krótki czas mieszkanie, — odezwała się pani Zbąska z uprzejmym uśmiechem, miałam w tem mój cel osobny.

— Czy wolno zapytać jaki?

— Znając najlepiej niegościnność tych stron, wyobrażam sobie wszelkie niewygody i nieprzyjemności z jakiemi pan musisz walczyć teraz, i lękam się, aby nie osłabiły bogdaj w części tego uroku, jaki miała dla pana ojczysta ziemia. Do tego radabym, abyś

w naszych zupełnie niezamieszkałych oficynach raczył przyjąć jakie takie mieszkanie i zadowolił się skąpą gościnnością, jaką możemy mu ofiarować.

Młodzieniec ukłonił się z wdzięcznością i uszanowaniem, ale zawahał się widocznie. W tem oczy jego spotkały się z oczyma Leonii i nie wiedzieć dla czego jakiś dreszcz przeszedł go od stóp do głowy.

Młoda dziewczyna miała na ustach uśmiech pełen szczerej uprzejmości, i przemówiła z zachwycającą prostotą:

— Nie chciej nas pan tylko mieć za takich samolubów, że aż formalny areszt kładziemy na gościa, aby tylko przerwać nudną jednostajność dni naszych. Pozostawiamy panu zupełną wolność, a tylko w najwolniejszych z wolnych chwil swoich raczysz nas może pan odwiedzić na moment.

Lajos nabiegł cały żywym rumieńcem. Leonia wydała mu się w tej chwili tak cudnie piękną, tak czarująco powabną, że mimo całej swej przytomności umysłu dopiero po chwili zdobył się na odpowiedź:

— Przyjdzie mi podobno nadużywać uprzejmości, jaką mię panie zaszczycacie. Czuję, że nie powinienem korzystać ze

zbytniej łaskawości pani dobrodziejki, ale zaproszenie jej jest tak ponętne, że nie mogę go odrzucić mimo woli.

— Więc przyjmujesz pan! — zawołała pani Zbąska wesoło.

Lajos ukłonił się w milczeniu.

— A więc siadaj pan jeszcze, a każę mu tymczasem przyrządzić pokój.

Lajos zamyślił się na krótką chwilę.

— Kiedy już mam ściągnąć na siebie zarzut natręctwa, to raczy pozwolić pani dobrodziejka, aby datował się dopiero od jutra, dziś należy mi pożegnać mego dotychczasowego gospodarza, któremu tak wiele jestem winien.

Tu znowu oczy młodzieńca spotkały się przypadkowo z oczyma Leoni, i znowu taki sam magiczny jakiś dreszcz przeszedł go od stóp do głowy.

A i młoda dziewczyna wstrzęsła się czegoś zlekka, i uczuła że jakoś niezwyczajnie wiele krwi napłynęło jej nagle do głowy.

W kilka minut później po zwykłych ceremoniach pożegnania wyszedł młody Węgier, a obie kobiety pozostały same.

Leonia wpadła w jakieś gwałtowne za-

myślenie, i nie ocknęła się, aż po raz drugi zagadnęła ją matka, jak znajduje młodego Węgra. Leonia zarumieniła się jak wiśnia, a nie śmiała czy nie mogła odpowiedzieć na razie.

— Cóż można wnosić z jednorazowego widzenia, — szepnęła po chwili.

Nie tak ostrożną w objawieniu swego zdania była sama pani Zbąska. Młody doktor podobał jej się wielce od pierwszego poznania. Zastanawiając się zaś nad wszystkiem co mówił i co z innych dało się wyprowadzić spostrzeżeń, przychodziła do przekonania, że nie myliła się bynajmniej w swych poprzednich domysłach.

Lajos Lengyel wydawał jej się rzeczywiście jakimś ważnym zbiegiem politycznym, jednym z główniejszych motorów i kombatantów onegdajszej walki rewolucyjnej. To jego chwilowe zmięszanie się, ten widoczny kłopot w niektórych odpowiedziach, te nieprawdopodobne powody przekroczenia granicy, to podejrzane tłumaczenie się ze swej znajomości polskiego języka i polskich stosunków, jako też wiele innych oznak i rysów zagadkowych, wszystko to usprawiedliwiało przykładany mu charakter i stwierdziło

powzięte na razie domniemywania.

Ale kiedy sama pani Zbąska zagłębiała się nad tem wszystkiem, Leonia zdawała się zwracać uwagę na samą tylko robótkę: po chwili zaś jak gdyby spostrzegłszy, że jej zabrakło włóczki czy paciorków, wymknęła się od boku matki i pobiegła do swego pokoiku. I znowu w zamyśleniu przystąpiła do okna i modre oczka wytężyła w dal. Góry przedstawiały jej się i teraz jeszcze puste, głuche i smutne, jednakowoż mimo zapadającego zmroku wnet w owej stronie jakiś dziwny chwilami zdawał się przed jej oczyma migać cień i jakaś postać rysowała się w oddali. Prawda że cień ten i postać ta rozpierzchały się zaraz przy uważniejszem wytężeniu wzroku, wszakże na kilka zawodów ponawiało się to dziwne złudzenie, a zawsze jedne i te same tylko przybierało zarysy.

VI.

WIZYA.

Młody nasz doktor opuściwszy dwór krużoskalski, pomknął spiesznym krokiem ku

górom i niebawem zgubił się w ciasnym wąwozie, w którym, jak wiemy przed ośmnastą laty tak okropny krużoskalskiego dziedzica zaskoczył wypadek.

Słońce utonęło już za górami, gasnące promienie przestały złocić najeżone na zachodzie szczyty i coraz ciemniej robiło się dokoła.

Lajos Lengyel biegł bez wytchnienia, a poznać mu z wzroku i twarzy, że w jakiemś głębokiem brnie zamyśleniu.

Tajemniczy młodzieniec zbiera wrażenia z swojej wizyty świeżej, myśli jego pozostały jeszcze w murach krużoskalskiego dworu. A znać silne są te wrażenia odniesione, bo jakoś od razu zawładnęły całym jego umysłem. Dwór krużoskalski przedstawiał mu się w tak jakiejś dziwnej i niezwyczajnej fizyognomii, mieszkańców jego otaczał taki jakiś urok szczególny, że młody marzyciel mniemał się raczej w powrocie z jakiejś luźnej wycieczki w krainę snów i marzeń, niż z rzeczywistej wizyty światowej.

Ten dwór tak ustronny i oderwany od świata wcale niezwykłych zdawał się zamykać mieszkańców. Sam pan Erazm zakrawał w swym okropnym stanie na jąkąś figurę o

wybitnych rysach dramatycznych, a od niego padało odpowiednie światło i na obie otaczające go postacie kobiece. Jak owe zaklęte księżniczki w bajkach, przykute w pełni życia i urody do jakichś odludnych miejsc zaczarowanych, lub więzione przez jakichś bezdusznych potworów, tak obie te kobiety wyglądały w tej dzikiej ustroni, obok tego nieprzytomnego, bezdusznego człowieka rośliny.

Anielska postać Leonii uderzała całym swym blaskiem olśniewając, całym swym urokiem poetycznym o żywy umysł młodzieńca, i myśli jego jakkolwiek około całej błąkały się grupy, utkwiły i skoncertowały się głównie w jej rysach. Olśniony jej widokiem, oczarowany jej powabem, spoglądał na całe jej otoczenie przez jakiś czarodziejski pryzmat zachwytu a co w otoczeniu tem było dziwnego i niezwyczajnego potęgowało się w dwójnasób przed jego wzrokiem omglonym.

Zatopiony w podobnych myślach, uprzytomniając sobie ciągle uroczą postać młodej dziewczyny, spieszył naprzód ślepy i głuchy na wszystko, co go otaczało w tej chwili.

Nagle drgnął i przystanął na miejscu.

Tuż w jego pobliżu ozwał się jakiś głuchy przytłumiony jęk.

Młodzieniec bystrym wzrokiem rzucił dokoła, i znowu drgnął zlekka.

O kilka kroków, pod ścianą przyległej skały rysował się jakiś cień czarny, jakby przyczajona postać ludzka.

— Kto to? — zapytał i mimowolnie cofnął się o krok w tył.

Czarny cień nie dawał żadnej odpowiedzi, ale po krótkiej pauzie ten sam głuchy i przytłumiony ozwał się jęk.

Lajos chwilkę stał nieruchomy na miejscu, wnet jednak przezwyciężył pomimowolne w pierwszej chwili wahanie i śmiało postąpił naprzód.

Ziemię osłaniał już gęsty ponury zmrok, a zmrok ten wśród cienia skał i gór przechodził w zupełną ciemność.

Młodzieniec musiał podsunąć się pod samą ścianę aby rozróżnić zarysowany cień.

Była to w samej rzeczy jakaś postać ludzka, przykucznięta pod ścianę.

— Zapewne jeden z bakuniarzy, — szepnął młodzieniec i przysunął się jeszcze bliżej.

Pod skałą siedział na pół leżąc jakiś człowiek w łachmanach, z torbą przewięszoną przez plecy i w brudnym słomiannym

kapeluszu, zaciśniętym na oczy. Zupełna nieruchomość i ciężki oddech, pomięszany kiedy niekiedy z głuchym jękiem, świadczyły że usnął w tym stanie.

Młody lekarz zawahał się znowu na chwilkę, ale rychło jakby przypomniał sobie, że jest lekarzem i że nieznajomy może być chorym, wyciągnął rękę i szarpnął go silnie za ramię.

Uśpiony gwałtownym susem zerwał się ze snu, a z pod kresów kapelusz jak dwa żarzące węgle łysnęły dwoje oczu iskrzących.

— Kto tu? — krzyknął i odskakując żywo o krok w tył, stanął z wyciągniętą przed siebie laską w obronnej postawie.

— Myślałem żeście chorzy, — przemówił Lajos.

Nieznajomy, który z torby i odzieży zakrawał na żebraka, zaśmiał się, ale śmiech ten syczący, urywany dziwnej był jakiejś natury, przejmował i wstrząsał do głębi.

Młody lekarz zadrżał z lekka, a bystry jego wzrok silił się przebić cień zmroku, aby dojrzeć rysów nieznajomego. Ale prócz dwojga ruchliwych ócz, co jakimś odrażającym iskrzyły się blaskiem, nie można było nic widzieć z pod kresów kapelusza. W ogóle

zaś rysowała się tylko postać wysoka, barczysta, którą jakby w jakieś fantastyczne draperye ubierały wiszące strzępy łachmanów.

— A co wy za jeden? — ozwał się po krótkiej pauzie głos ostry chropowaty, którego sam dźwięk niemile sprawiał wrażenie.

Zagadnięcie to było tak niespodziewane, że młody lekarz nie wiedział co odpowiedzieć w pierwszej chwili.

— A cóż ty tu robisz? — przemówił nareszcie i podsunął się znowu naprzód, chcąc znać koniecznie ujrzeć twarz nieznajomego.

Poruszenie to musiało wydać się podejrzanem żebrakowi, bo nagle rzucił się gwałtownie i zwinnie a zręcznie jak dzika koza wspiął się w jednem mgnieniu oka do połowy stromej ściany skały.

— Ejże, pójdź swoją drogą! — ozwał się ztąd głosem, w którym wyraźnie przebijała się groźba.

Zdumiony do najwyższego stopnia tem szczególnem spotkaniem, stał młodzieniec nieruchomie na miejscu, jak gdyby nie miał bynajmniej ochoty usłuchać wezwania nieznajomego.

Ten w kilku nowych i zręcznych susach na rękach i nogach wydrapał się na szczyt

skały, a tam przeżegnał się głośno. Znać w tej chwili jakaś nowa myśl mu strzeliła, bo głosem, w którym zamiast nacisku groźby, przebijało się raczej drżenie przestrachu, zawołał z góry:

— Innym razem, innym razem Czarny Fed'ku! Spotkamy się jeszcze!

I po tych słowach znikł nagle, a tuż zaraz zaszeleściało u góry, jakby jakiś spory kamień potoczył się po odwrotnej ścianie skały.

Młodzieniec kilka chwil stał jeszcze nieruchomo na miejscu i w osłupieniu spoglądał w górę. Potem wzruszył ramionami, i puszczając się dalej w głąb wąwozu, mruknął do siebie:

— Gdyby nie on mnie, to ja jego mógłbym wziąć za djabła z Wilczej szczęki. Już kilka dni błąkam się po górach, a jeszcze nie spotkałem nikogo podobnego.

I nie wracając już do pierwszego toku myśli, oglądnął się dokoła, a jakby przestraszony coraz gęstszym i ciemniejszym zmrokiem, przyspieszył kroku i pomknął dalej wąwozem,

W niewielkiej już odległości wąwoz wpadł w dziki jar, prowadzący w wąski pas

lasu świerkowego, zkąd przez parów zarosły krzakami jałowcu dochodziło się do okrytego lasem podnóża góry, za którą odsłaniał się jedyny wolny przystęp do Wilczej szczęki.

Podróż w nocy wśród dzikich okolic górskich i w najodważniejszej piersi musi budzić jakąś grozę pomimowolną. Ze wszystkich stron padają potworne cienie, każdy krok wywołuje głośne na tętn łamiące się echa, a szum lasów i szmer potoków ma tu raczej jakiś groźny i ponury niż melodyjny i uroczy charakter na dolinach. Do tego od pory do pory ozwie się w oddali wnet jakieś dzikie przeraźliwe wycie — jęk głodnego wilka, wnet nieprzyjemny, dreszczem przejmujący krzyk leśnego puchacza.

Lajos widocznie uległ temu naturalnemu uczuciu grozy, bo co tylko mógł przyspieszył kroku, i zapominając i o wrażeniach z krużoskalskiego dworu, i zapominając i o swem osobliwszem w wąwozie spotkaniu, myślał tylko aby jak najrychlej stanąć w chacie Czarnego Matwija.

Tymczasem na dworze ciemniało się coraz mocniej, a znana ścieżka już dawno zniknęła z oczu, wszakże po dobrej godzinie zmudnej podróży ujrzał młodzieniec zziajany

i zdyszany blade światełko na grzbiecie Wilczej szczęki, blask z okien Matwijowej chaty.

Jeszcze kwadrans mozolnego drapania się w górę, a już stanął u wrót odludnej zagrody. I tu dopiero zdało mu się, jakby za jego krokami odzywało się echo innych jeszcze kroków. W pierwszym momencie myślał, że tajemniczy żebrak z wąwozu postępuje w trop za nim. Napróżno jednak odwróciwszy się wytężył wzrok i ucho, echo to przycichło jakoś, a gruba noc nie pozwalała widzieć na kilka kroków przed siebie.

Lecz złudzenie to przypomniało mu żywo nieznajomego żebraka, i na nowo zaprzątnięty nim w myślach, wszedł do wnętrza chaty.

Czarny Matwij nie spał jeszcze.

Siedział w kącie na ławie przyparty o ścianę, a blask dogorywających na ognisku polan padał mu na twarz samą i czynił ją jeszcze straszniejszą i potworniejszą niż zazwyczaj.

Na czole ponurego odludka jakieś ciężkie i ponure rysują się myśli, bo skąpe kępy brwi ściągnęły się mocno pod czołem, a oczy spoglądały w słup martwe i nieruchome.

Nagłe wejście młodzieńca nie wyrwało go z tego ponurego zatopienia, pozostał nieruchomie jak głaz w tej samej pozycyi.

Lajos na razie zatrzymał się w progu, sądząc, że dziwaczny jego gospodarz usnął na ławie. Spostrzegłszy jednak, że ma oczy otwarte posunął naprzód i znużony i zdyszany rzucił się na tapczan.

I kilka minut trwało zupełne milczenie. Młodzieniec nie chciał przerywać zadumy swego towarzysza, a on trwał ciągle w swej nieruchomej pozycyi.

A mimowolny strach zbierał patrząc na niego w tem oświetleniu. Cała jego postać wydawała się jakby nie z tego świata, tak potworny miał wyraz.

I Lajos po niejakiej pauzie uczuł się jakoś nieswoim i widoczny niepokój wybił się na jego twarzy.

Naraz zadrżał: ściągnięte wargi, wywrócone oczy nieruchomego Matwija naprowadziły na myśl epileptycznego napadu.

Porwał się więc szybko z tapczanu i postąpił ku niemu.

— Czy wy spicie Matwiju? — ozwał się nieśmiało.

Zapytany nie dawał odpowiedzi.

Zaniepokojony mocniej Lajos szybko poskoczył ku niemu.

Matwij zwrócił cokolwiek głowę, a młodzieniec spotkał się z surowym i ponurym wzrokiem. Pozostał więc na miejscu, nie śmiąc postąpić dalej.

Znowu długa nastała pauza, aż nagle przerwał ją szorstki głos Matwija:

— Cóż późno dziś wracacie, paniczu.

— Zasiedziałem się we dworze.

Matwij prędko zwrócił głowę i wlepił badowczy wzrok w twarz młodzieńca.

— We dworze, — mruknął jakby sam do siebie, tam ładna panna!

— Jak anioł! — wykrzyknął Lajos w zachwycie świeżo odniesionych wrażeń.

Matwij rzucił się gwałtownie, a z oczu strzeliła mu łyskawica.

— Jak anioł! — wykrzyknął i jakimś dzikim, przeszywającym wybuchnął śmiechem, — jak anioł!.... o durny, durny chłopcze! Gdzież znajdziesz djabła, kiedy w kobiecie widzisz anioła!

Lajos odurzony mimowolnie cofnął się w tył. Osobliwszy jego gospodarz nigdy jeszcze nie przedstawił mu się w takim charakterze.

Matwij zerwał się na równe nogi, oczy jego zaszły białkiem, twarz ściągnęła się jak w kurczach.

— A wiesz ty durny chłopcze z czego powstaje kobieta?

I tu znowu zaśmiał się tak dziko, tak przeszywająco, tak okropnie, że młodzieńcowi włosy stanęły na głowie i dreszcz przeszedł go od stóp do głowy.

Matwij pochwycił go silną ręką za ramię i zatrząsł nim jak chwiejną łodygą.

— Patrz, patrz! — zawołał jakby w obłąkaniu, — zły duch wybiera się z piekła, aby złe nie wyginęło na ziemi. I widzisz go jak się przybiera do tej drogi, oczy pożyczył od bazyliszka.... żądło padalca włożył w paszcz.... z rozpuchy bierze serce.... z sowy mózg.... z jaszczurki wlewa w siebie krew.... i widzisz, widzisz, jak się bieli pianą z psa wściekłego.... o! o! otóż masz kobietę!.... już gotowa!....

I znowu zahuczał śmiechem, aż się zatrzęsły wątłe ściany chaty.

Lajos z roztwartemi z przerażenia oczyma, drżący jak liść, stał na miejscu i z obrzydzeniem odpychał z myśli ohydny obraz, jaki mu przedstawiła w tej chwili dzika

fantazya górala. I dziwny jakiś ogarnął go strach, w pierwszym popędzie rwało go coś uciec z tego miejsca.

Matwij uspokoił się w jednym momencie. Usiadł napowrót na ławie i twarz zakrył oboma rękami.

Lajos miał już drogę otwartą do ucieczki, ale pozostał na miejscu i z przerażeniem pomięszanem z żywym udziałem wpatrywał się w nieszczęśliwego, którego dusza zdawała się odsłaniać w tej chwili jedną jakąś z swych ciężkich ran ukrytych.

Czarny Matwij podniósł głowę i ręką gwałtownie potarł po czole. Twarz jego zdawała się już spokojna.

— Pójdźcie spać, paniczu, — przemówił do młodzieńca, wskazując ręką tapczan.

— Wyście chorzy, Matwiju! — ozwał się młodzieniec i głos jego drżał współczuciem.

Matwij wstrząsnął głową.

— Czas spać, mówię, — powtórzył po chwili.

Lajos stał w miejscu niepewny i wahający.

Czarny Matwij spojrzał na niego z boku i z jakiemś ukrytem znaczeniem kiwnął głową.

— I cóż dobrze was przyjęli we dworze? — ozwał się nagle.

— Może aż zanadto dobrze. Zaprosili mię do dworu na tych całych kilka dni, co mam jeszcze zostać w tych górach.

Matwij znowu się rzucił gwałtownie.

— I będziesz mieszkał tam, tam u nich we dworze? — wykrzyknął z jakimś osobliwszym pospiechem.

— Tak, dziś po raz ostatni korzystam jeszcze z waszej gościnności.

Czarny Matwij dziwne nagle zrobił poruszenie, oczy wlepił w słup, gębę rozwarł do połowy, rękę na pół wyciągnął przed siebie, widocznie jakby chwytał jakąś myśl ulatującą mu gdzieś w mgle niepewnej.

— Ha! — zawołał nagle i jakoś dziwnie łysnęły mu oczy.

I porwał się znowu z ławy i chwycił za ramię młodzieńca.

— Ta młoda dziedziczka ładna, bardzo ładna!... — zawołał.

I tu potworną swą głowę przysunął do samej twarzy młodzieńca i wlepił w nią wzrok na wkroś przeszywający.

— A tyś ładny paniczu! — zakrzyknął żywo, — dobrze.... obajeście ładni!....

widujcie się ze sobą!... mieszkajcie razem!....

— Ale słuchaj! — zawołał po krótkiej chwili grzmiącym głosem, — biada ci, jeśli będziesz szukał u niej tego, czego ona nie ma. Niech ci się nie zachciewa duszy, durny chłopcze, bo ta dusza djabła, nie rwij się za sercem, bo to serce jadowitej, zimnej jak lód rozpuchy, ale widzisz, ona ma usta czerwone jak krew, ramiona białe jak kora brzeziny i pierś jak kwiat kaliny... szukaj tylko tego, tego jedynie! Idź do dworu, mieszkaj we dworze!....

Lajos odskoczył przerażony, słowa te spadły gradem zatrważających zagadek na jego umysł i zatrzęsły nim do głębi.

A Czarny Matwij stał przed nim wytężony w swej całej potwornej, grozą przejmującej postaci, na ustach bieliła się piana, w oczach majaczył żar obłąkania.... I chwilkę stał nieruchomy na miejscu, potem postąpił nagle ku grozą przejętemu młodzieńcowi i z herkuliczną siłą pochwycił go za oba ramiona.

Lajos ujrzał się jakby w żelazne kleszcze ujęty i nie mógł się ruszyć z miejsca.

A z oczu Czarnego Matwija bił jeszcze

straszniejszy żar obłąkania, twarz drgała mu kurczowo, usta pieniły się.

— Napatrz się ze mną, napatrz do syta! — zahuczał ledwie zrozumiale, trzęsąc jak listkiem swoją ofiarą. — Widzisz ten parów hen, hen tam za wsią, i widzisz tę kobietę z obnażoną piersią.... z rozpuszczonemi włosami!.... ładna!.... prawda ładna!.... a czegóż tak ucieka jak opętana?.... Oho, ktoś biegnie za nią.... dopędza ją.... ona krzyczy.... wyciąga ręce!.... i któż to? opryszek! napastnik?!.... O ośle! ośle! to mąż! mąż on, co ją tak kochał.... — krzyczał obłąkany coraz straszniejszym głosem i bezwiednie ścisnął młodzieńca w swem objęciu, że mu aż kości trzeszczały i oddech urywał się w piersiach.

— O widzisz, widzisz!.... dopędza ją! tam hen na skale.... ona krzyczy.... wyrywa się!.... przechyla się na bok!

Tu drgnął cały jak w konwulsyjnym napadzie jeszcze silniej przygniótł biednego młodzieńca, który w gwałtownych uściskach olbrzyma posiniał jak bez, i nie miał już siły ani się bronić ani wydobyć z siebie głosu. A potworny olbrzym, porwany dzikiemi obrazami swej wizyi osobliwszej, gniótł

go coraz silniej, a w całej jego fizjognomii wybijało się coraz wyraźniej piętno obłąkania czy wściekłości.

— Patrz! patrz! — ryczał niezrozumiałym prawie głosem, — przechyla się na bok.... i oh! oh!.... trarara! leci na dół!.... upadła!.... i gdzie jej głowa!.... nie ma!.... rozstrzaskała się!....

— Słuchaj! — zawrzasnął nagle i zaczął trząść swą ofiarą, jakby chciał wytrząść z niej ostatnie tchnienie życia. — Gadaj! czy ona ześliznęła, czy rzuciła się sama?!.... cóż? ześliznęła się? prawda? niechcąco?

Napróżno pytał, Lajos nie mógł mu odpowiedzieć, zduszony herkulicznemi uściskami olbrzyma, już dawno nie słyszał co mówi, a teraz bez zmysłów pochylił głowę na piersi.

Czarny Matwij wraz z swoją ofiarą w ręku zatoczył się w tył pod ścianę, i z piersi jego wydobył się jakiś okropny ryk jakby śmiech rozpaczy pomięszany z jękiem bólu....

VII.

JEWDOCHA.

Na wschodnim krańcu rozdołu, nad którym w malowniczym bezładzie ciągnie się wieś Krużoskale, wysunęła się na podwójny zakręt kapryśnego potoku mała nędzna lepianka, jak klin wbita między dwa ramiona rozerwanej skały. Ostatnia to już chata w Krużoskalu i nieco odrębnej od innych fizjognomii. Jakby stroniąc od świata, wybiegła o dobrą staję za wieś, a ogołocona z wszelkich budynków przybocznych, niemile odbija od zamożnych obudowanych zagród krużoskalskich.

Z tem wszystkiem położenie jej ma w sobie wiele prawdziwie romantycznego powabu. U stóp jej płynie w podwójnym zakręcie potok, który znać w tym kierunku chciał przemknąć się za skałę, ale natrafiwszy na opór nieprzezwyciężony, musiał drugiem korytem wracać się nazad ku wsi i dopiero na przeciwnym krańcu, w pobliżu dworu, wpadał w jakiś wąwóz przestronny. W zapleczu odosobionej chaty piętrzą się coraz

wyżej góry i szumią gęste lasy świrkowe, z przodu przedstawia się bujna i uprawna dolina z skalistą ścianą po jednej a szeregiem chat po drugiej stronie. Ze szczytu i z bocznych ścian skały, w której rozwarte ramiona wcisnęła się chata, wytryskają trzy strugi źródlane i pękami nici dyamentowych, szemrząc i połyskując do słońca, spływają w dół ku potokowi.

A szczególnie w tej chwili przecudnie wyglądają te lśniące promienie wody, bo księżyc zaledwie wytoczył się za chmury i hojnem światłem spłynął na ziemię. Powabna dolina okryła się jakiemiś potwornemi i fantastycznemi cieniami, a odblask od srebrzystego tła potoku w promienną przepaskę ustroił lewą ścianę gór.

Jest to ta sama tak ciemna i posępnie rozpoczynająca się noc, w której Lajos wracał z krużoskalskiego dworu i na tak straszną na Wilczej szczęce spieszył przygodę.

Z drobnych szybek odosobionej chaty bije światło, a wewnątrz rysują się cienie kilku osób.

Na szerokiem ognisku nędznej chaty pali się ogień, w kącie na tapczanie, na pęku

słomy pod dużą gunią góralską, leży jakaś postać ludzka.

Na drewnianej ławie u jej głów siedzą cztery kobiety.

Trzy z nich stare i szpetne, odziane w brudnych łachmanach, jakieś ciche pomiędzy sobą toczą rozhowory, czwarta młoda i ładna z odsłoniętą głową i splecionemi w tył warkoczami, znamionującemi stan dziewiczy, milczy, ale po twarzy jej płyną rzęsiste łzy, a z piersi ciężkie wyrywają się westchnienia.

Okryta gunią postać — to nasza znajoma z Kruczego dzióba, ponura i zamyślona towarzyszka bakuniarzy — Jewdocha. Na surowej, zapadłej i pomarszczonej twarzy majaczy rumieniec gorączkowy, bezbarwne i zapieczone usta świadczą o jakiemś ciężkiem cierpieniu. W samej rzeczy od dwóch dni już walczy Jewdocha z ciężką chorobą, która ją nagle zwaliła z nóg i trawi silną gorączką wewnętrzną.

Trzy are obok niej siedzące kobiety to trzy zawołane lekarki krużoskalskie i co zwyczajnie zatem w górach idzie, trzy osławione czarownice, biegłe we wszystkich sztukach i praktykach nadprzyrodzonych.

Najstarsza z nich wiekiem i najszpetniejsza

twarzą, Tatianna Burdzicha, od lat przeszło dziesięciu używa już tej reputacyi niepospolitej, a szczyci się taką łaską i poufałością Czarnego Fed'ka z Wilczej szczęki, że jak utrzymują powszechnie, nazywa go swym kuzynem.

Przyznać należy, że jeżeli biegłość w sztukach czarodziejskich pozostaje w niejakim stosunku z szpetnością twarzy, to stara Tatianna powinnaby uchodzić za pierwszą czarownicę w Europie. Twarz jej czarna i pomarszczona jak śliwka suszona odrażający nosi wyraz, a oczy szklanne bez barwy i połysku a tak żywe i ruchliwe, jakby je jakiś sztuczny nakręcał mechanizm, i włos siwy, szorstki i rozczohrany służą tylko do uzupełnienia tego wyrazu.

Jak wszyscy ziemscy prorocy i cudotwórcy, przyszła i nasza Tatianna cale naturalnym trybem do swej czarodziejskiej godności. Upośledzona od natury, zaczęła od najniedorzeczniejszego udawania, aby zaimponować sąsiadkom i przejąć postrachem niesforną świekrę; powoli, powoli jednak tak dobrze zaczęła się wkładać w swą rolę i tak gładko przejęła się tym pożądanym charakterem, że w końcu sama uwierzyła najwięcej w swe

siły nadprzyrodzone i przewidywania i mamidła rozpalonej jedną przeważną myślą wyobraźni, zaczęła brać za najrzeczywistsze objawy i obrazy.

Odtąd niekiedy w jasny biały dzień, a zawsze prawie w nocy widywała się osobiście z swym mistrzem piekielnym, rozmawiała z nim poufale a czasami nawet pozwalała sobie igrać z świecącemi guzikami jego kusego fraczka, lub suchym palcem przytłaczała mu smolny tytoń w krótkiej glinianej fajeczce. Oczywiście też musiała i uczęszczać na wszystkie łysogórskie harce i schadzki, nie odstępując od odwiecznych form przekazanych. Kominem na ożogu wylatywała z domu, o północy stawała na Łysej górze, z djabłem gospodarzem hasała w pierwszej parze, i przed zapianiem koguta co tchu tą samą drogą wracała do domu. Rankiem budziła się zziana i zlana potem, a przeświadczona w głębi duszy, że senne jej mary były tylko świeżemi wspomnieniami wypadków rzeczywistych.

W grubym omroku przesądów i zabobonów, jaki panuje w górach, jest zresztą rzemiosło czarownicy nie tylko wcale znośne, ale nawet bardzo wygodne i korzystne. Prostoduszny

góral trzyma się jeszcze Jagiełłowej zasady: „Panu Bogu świeczkę, djabłowi ogarek!" Wierzy w Boga i samego proboszcza, modli się i bije pokłony w cerkwi, ale strzeże się zadzierać z djabłem, wyzywać swawolnie czary i uroki.

Do czarownicy nie jest wprawdzie z miłością i zaufaniem, ale przejęty tajemną grozą nie odważyłby się nigdy drażnić jej sił czarodziejskich.

Toż i Tatianna sama i jej dwie przytomne w chacie kumy i uczennice, Feśka Werbycha i Paraszka Żuryczka, nie miały czego uskarżać się na swój los. Rozsiewając postrach dokoła, zmuszały do pomimowolnego szacunku, a nie kłopocąc się o nic, opędzały swe potrzeby kosztem bojaźliwych i zabobonnych sąsiadów i sąsiadek.

Przywołane teraz do chorej Jewdochy radziły między sobą nad niepomyślnym przebiegiem choroby i potrzebnemi środkami zaradczemi.

Płacząca obok nich młoda dziewczyna, była to jedyna krewna Jedwochy, jedyna pozostała córka po jej bracie nieboszczyku. Nie śmiąc spotkać się z wzrokiem swych starszych towarzyszek nocy, nie odrywała

bojaźliwa dziewczyna oczu od twarzy chorej, którą właśnie przed chwilą ciężki umorzył sen.

Stara Tatianna zerkała na nią zukosa, a nagle wyciągnęła naprzód suchy pomarszczony palec i ozwała się głosem ochrypłym:

— Cyt, cyt Małańko bo nie dasz umrzeć ciotce.

Małańka, wzdrygnęła się i otarła prędko łzy, bo znała dobrze przesąd, że płacz przy śmiertelnie chorym przydłuża tylko konanie.

Tatianna pokiwała głową i zwróciła się do swych towarzyszek.

— Ktoby to powiedział, że się z niej dziś to zrobi, — zachrypała, wskazując palcem na chorą, — toż w przeszły piątek byłyśmy razem na Łysej górze.

Ponura, zawsze zamyślona twarz Jewdochy podawała i ją w podejrzenie czarodziejskich praktyk, a Tatianna w swych mamidłach fantasmogorycznych widziała ją już uczestniczką swych własnych harców łysogórskich.

Najmłodsza z lekarek-czarownic Paraszka wstrzęsła głową i z ponurą zazdrością spojrzała na chorą. Ona sama w swym zawodzie nie doprowadziła jeszcze do tego stopnia, mniemała się już wprawdzie sprawiedliwą czarownicą,

ale mimo najusilniejszych prób nie mogła się dotąd na łopacie ani o jedną piędź podnieść do góry.

— Cóżby tu jej radzić? — zapytała Feśka Werbycha.

— A cóż jej radzić, kiedy ona sama tak dobra jak my, — zasyczała Tatianna, — już znać Fed'ko się na nią zawziął. Dawałyśmy jej wódki z zielem, podkadziłyśmy ją dwa razy i nic nie pomaga.

— Ej! — wykrzyknęła Paraszka, trąc kościstą ręką po pomarszczonem czole, — może Fed'ko ma jej za złe, że taki tego chłopa nie może sobie wybić z głowy.

— Maksyma, — poszepnęła Feśka.

Tatianna pociągnęła brwi do góry i oczy wywróciła w słup.

— Ej, prędzej to on sam niecnota chce ją do siebie przywabić na drugi świat, — szepnęła, — ale potrzeba go odekląć.

I wstała z ławy jakby niezwłocznie do jakiegoś tajemniczego miała przystąpić obrządku.

W tem poruszyła się chora, zapiekłe jej usta zadrgały konwulsyjnie i jakieś niezrozumiałe wybełkotały słowa,

— Budzi się, — szepnęła Paraszka.

Tatianna zatrzymała się w miejscu, ale ciągle coś tajemniczo mruczała przez zęby.

Chora ocknęła się ze snu, rozwarła oczy i na wpół podniosła głowę. Spojrzała z odrazą po swych lekarkach i wyciągnęła rękę do młodej dziewczyny.

— Małańko dzieweczko, gołąbko moja, — wycedziła słabym głosem i ponura jej twarz zdawała się łagodnieć na chwilę.

Młoda dziewczyna ze łzami w oczach rzuciła się na łoże chorej.

— Czy jeszcze noc? — pytała Jewdocha.

— Noc.

— Słuchaj dzieweczko, jak doczekam do dnia, to pójdź po Czarnego Matwija, chyba on jeden mi poradzi.

— Pójdę jak tylko kur zapieje, — szepnęła Małańka wśród łez.

Wszystkie trzy lekarki posunęły się tymczasem ku ognisku i z jakichś suchych zielsk zaczęły wić wieniec, przeznaczony do nowego gusła uzdrawiającego.

Jewdocha z jakiemś dziwnem rozczuleniem spoglądała ciągle na swą bratanicę.

— Małanko gołąbko moja, — szepnęła, — ty jedyna na świecie, co mię kochasz, co odemnie nie uciekasz! Słuchaj! — zawołała

głośniej i żywiej, chwytając ją za ramię, — niech cię Bóg broni, abyś pokochała chłopa, co na ciebie nie patrzy, bo to wielkie, wielkie nieszczęście! Ot mnie całe życie toczył robak, a i teraz nie daje mi umrzeć spokojnie.

— Poszlijcie po księdza, — szepnęła Małańka.

— Niech tylko świt zabłyśnie, — jęknęła chora, — ale ty gołąbko moja, pamiętaj co ci tu powiem. Nie patrz za tym, co za tobą nie patrzy!...

Tu chora westchnęła ciężko i urwała jakby dla nabrania sił do dalszego opowiadania.

— I ja byłam kiedyś młoda i ładna jak ty Małańko moja... i za mną uganiali się parobcy, ale ja odpychałam wszystkich, nie patrzyłam się na żadnego... bo mnie w głowie i sercu siedział tylko jasnowłosy Maksym...

— Prewodyr bakuniarzy, — ozwała się Paraszka od ogniska.

Chora z wysileniem wstrzęsła głową.

— Maksym był bakuniarzem, — ozwała się z żywością, ale jemu nie chodziło o tych kilka lichych groszy zarobku, on był bakuniarzem bo nie cierpiał rewizorów, bo jak orzeł nienawidził obcego zakazu... I jam dla

niego została bakuniarką, odbiegłam ojca i matkę, aby tylko być przy nim, aby patrzyć w jego oczy...

— A on na was ani się popatrzał, niecnota, ozwała się bez przekąsu Feśka Werbycha.

— Chora boleśnie skrzywiła twarz.

— On przepadł za inną, za Xeńką! — zawołała i oczy jej łysnęły nienawiścią.

— Dwa razy chciałam ją zabić, — wycedziła po chwili zwolna przez zęby.

— Co mówicie, ciotko! — krzyknęła młoda dziewczyna przestraszona.

— I czemużeś tego nie zrobiła? — zachrypała Tatianna, — i dla niego i dla ciebie byłoby lepiej!

— On mię nienawidził! — jęknęła Jewdocha, a z oczu jej mimo choroby biła dzika namiętność, — a jam go tak kochała, jam dla niego tyle innych odepchnęła od siebie.

Młoda dziewczyna zadrżała przed żarem oczu chorej i szepnęła proszącym tonem:

— Uspokój się, ciotko!

Jewdocha zamilkła na kilka chwil, jakby odpoczywała po ciężkiem wysileniu.

— O! — zawołała na nowo, — długom

bolała i okrutnie robak toczył me serce... ale już przyszła była chwila, kiedy Bóg się zlitował nademną i już, już miałam go nazwać swoim...

Tu chora drgnęła gwałtownie i wyciągnęła rękę, jakby odpychała jaką marę nienawistną.

— O ten Łysy Pańko, Łysy Pańko, — szepnęła przez zaciśnięte zęby i obie wyschłe ręce zwinęła w kułak.

— Ta cóż, Łysy Pańko, ozwała się Paraszka, dowijając właśnie czarodziejskiego wieńca, on was tak kochał jak wy Maksyma...

Chora rzuciła się z dziką złością.

— Jam go nie chciała! — krzyknęła.

— I was Maksym nie chciał, — odpowiedziała z wyraźnym przekąsem Paraszka.

— Milcz przeklęta czarownico, — wrzasnęła chora, i obie pięście wyciągnęła naprzód.

— Ciotko! ciotko! — zawołała Małańka.

— Paraszko! — zachrypała upominając Tatianna.

Jewdocha uspokoiła się nagle, i westchnąwszy ciężko ręce opuściła na dół.

— Prawda, — szepnęła — Maksym mnie nie chciał, ale nadszedł czas kiedy już już miał być moim... i wtedy...

— Wtedy — powtórzyła Małańka mimowolnie.

— Ten pies plugawy Łysy Pańko...

— Z zazdrości sprzedał go rewizorom, — dokończyła obznajomiona z całym biegiem rzeczy Paraszka.

— O łotr obrzydły, jęknęła Jewdocha i obie pięści znowu wyciągnęła przed siebie, — zdradził, sprzedał tego, który mu dwa razy uratował życie.

— A Maksyma złapali? — zapytała Małańka.

— Zabili w moich oczach, zabili jak psa!

Obskoczyli go w Sołtysim wąwozie, — uzupełniała Paraszka.

— A on się bronił jak lew, — ozwała się Jewdocha i oczy jej gorzały jak dwa węgle, dwóch rewizorów powalił trupem, a jednemu rękę odciął toporem... aż naraz z z tyłu... z tyłu czterech dało ognia...

Urwała wysilona, tylko zęby jej zgrzytnęły dziko.

— Biedny Maksym jęknął, — ciągnęła dalej, — poskoczył w górę i powalił się w chaszcze Sołtysiego wąwozu.

— Biegny Maksym — szepnęły chórem

stare lekarki, bo mimowolnie przypomniały im się młodsze chwile życia.

— Biedny Maksym! wykrzyknęła z wezbranej piersi Małańka.

Zdradzony, z nienacka zaskoczony i jak lew broniący się bakuniarz był w jej oczach nieprześcigniony bohaterem, a tragiczny zgon podniósł tylko jego wielkość.

— A i was wówczas złapali, Jewdocho, — odezwała się znowu Paraszka.

Chora kilka chwil milczała, ale usta jej poruszały się szybko, jakby w duchu odmawiała pacierz za duszę nieszczęśliwego kochanka.

— Wysiedziałam trzy lata w Samborze, — zaczęła na nowo, — bom także skaleczyła jednego rewizora... I to było moje szczęście, bo jabym była odszukała trupa Maksyma i byłabym legła w grobie obok niego. On zginął przezemnie, — jęknęła osłabionym zupełnie głosem.

— Przez was! — wykrzyknęła Małańka.

— Łysy Pańko zdradził go z zazdrości o mnie, z gniewu na mnie, — wyszepnęła ledwie zrozumiale.

W tym momencie ukończyły już guślarki swe przygotowania i z uwitym oschłym

wieńcem i dwoma żarzącemi głowniami podstąpiły podkadzić chorą.

— Cyt, cyt, — ozwała się stara Tatianna, jak od tego nie ucieknie choroba, to już jej nic nie pomoże na świecie.

Jewdocha z trudnością podniosła głowę i wsparła ją na wyschłem ramieniu.

W tem oczy jej mimowolnie, przypadkowo padły na okno, i nagle drgnęła gwałtownie, i obie ręce jakby w kurczowym wytężeniu wychyliła naprzód.

— O! o! — wykrzyknęła przeraźliwie.

Wszystkie kobiety obejrzały się z przestrachem.

W tej chwili głośno zabrzęczały szyby, a przy jasnem świetle księżyca na dworze mignął cień za oknem.

— To śmierć! — wrzasnęły guślarki i w przestrachu puściły na ziemię wieniec i głownie.

Jednej Małańce inaczej wydał się cień za oknem. Jej zdawało się, że na jedno mgnienie oka widziała przez szyby jakąś postać mężką, żebraka w łachmanach, w słomianym kapeluszu i z grubym kijem w ręku.

Jewdocha zemdlała na tapczanie.

— Wody, wody! ratujcie! — wrzasnęła młoda dziewczyna.

Ale wszystkie trzy lekarki, acz tak wyćwiczone w praktyki czarnoksiężkie, pierzchły przestraszone z chaty.

— Tu już nikt nie poradzi, tu sama śmierć zagląda, — zachrypała Tatianna w progu.

Małańka rzuciła się rozpaczliwie ku chorej, próbując wszelkiemi siłami ocucić ją do życia.

Ale Jewdocha miała usta ciągle zaciśnięte, oczy zawarte i nie dawała żadnego znaku życia.

Małańka z rozpaczy chwyciła się za włosy, a nagle jakby nową myślą tknięta, poskoczyła ku wodzie, która w małej konewce stała przy drzwiach.

W tem w pół drogi stanęła jak wryta.

Drzwi chaty z łoskotem rozwarły się na oścież, a w progu ukazała się olbrzymia postać Czarnego Matwija.

W tej samej chwili, kiedy Czarny Matwij wszedł do wnętrza chaty, a przerażone góralki co tchu uciekały do wsi, pięła się z zręcznością kota na szczyt skały w zapleczu chaty jakaś postać ludzka.

Był to wysoki, barczysty chłop w łachmanach żebraczych, ten sam, którego spotkał Lajos w wąwozie prowadzącym od dworu do Wilczej szczęki. Pnąc się szybko do góry, zwiesił głowę na piersi, a przy szerokich kresach jego brudnego, głęboko na czoło zasuniętego kapelusza słomianego niepodobna rozróżnić jego rysów.

Dopiero gdy stanął na szczycie skały, i powaliwszy się znużony na ziemię, zrzucił kapelusz, odsłoniła się twarz cała.

Twarz ta jest szpetna i odrażająca. Zapadłe i pożółkłe policzki poorały się mnogiemi zmarszczkami, które więcej wydają się śladami walk i burz wewnętrznych niż lat przeżytych. Nos zadarty do góry i szeroko rozdęty u spodu, podobny niejako do chrap zwierzęcych, znamionują dziką namiętność, którą zdają się potwierdzać i na wierzch wyskakujące kości jagodowe i czoło w tył zaklęsłe. Oczy siwe i ruchliwe, lubo uderzająco położone na wierzchu, migocą jakimś niespokojnym blaskiem, który bardzo dobrze godzi się z wyrazem chytrości i podstępu. Brodę i głowę okrywa ciemny na pół siwiejący zarost włosów, i nad samem czołem odsłania szeroki plisz, po którym nie poznać,

czy powstał od urodzenia, czy po jakim wypadku niefortunnym.

Powaliwszy się na ziemię na szczycie skały, odsapnął ciężko nieznajomy żebrak i strzępem łachmana otarł pot z czoła i twarzy.

— Poznała mię!... — szepnął, i oczy dzikim zamigotały mu blaskiem.

— Nie dałem jej umrzeć spokojnie, — dodał po chwili przez zaciśnięte zęby, — rzuciła się jakby obaczyła żmiję albo upiora! Haha! tyle lat mnie nie widziała...

I tu silnie zacisnął zęby i pięść zwinął w kułak, a z oczu bił mu ciągle jakiś blask złowrogi. Widocznie jakieś przykre wstrząsło nim wspomnienie, i budziło jakąś namiętność nieuśpioną.

— Poznała mię, — szepnął znowu i jedną pięść wrył w ziemię, — to i oni mię wszyscy poznają we wsi... i nie dadzą mi umrzeć w górach! — wykrzyknął półgłosem i zerwał się raptem na równe nogi.

Wyprostował się w całej postawie i z roziskrzonem okiem spojrzał dokoła. I w jednej chwili dziwna zaszła z nim zmiana. Szpetna twarz jego złagodniała, a nawet zeszlachetniała jakiemś ukrytem rozrzewnieniem, oczy straciły swój chytry i podstępny

wyraz i z jakimś dzikim zapałem biegały po gubiących się w cieniu nocy szczytach gór.

Ale zmiana ta trwała krótki tylko moment. Nagle zgrzytnął zębami i zatrząsł się cały.

— Poznają mię! — mruknął z przytłumionym wybuchem.

Kilka chwil stał w milczeniu na miejscu, potem spojrzał ku wschodowi.

— Niebawem już słońce zejdzie, — poszepnął w duchu, obudzą się we wsi.

I przerażony znać samą tą myślą, zasunął nazad kapelusz, pochwycił za laskę i chyżo i zwinnie pomknął w głąb, a tak dobrze trzymał się manowców i przesmyków, jakby każdą piędź tych gór i skał od niepamiętnych znał czasów.

Już z godzinę biegł i piął się niezmordowany w coraz dziksze zapuszczając się wertepy. Księżyc bladł coraz bardziej, a z za najwyższej góry od wschodu rysowała się wśród cienia jakaś wąska smuga jaśniejsza, jakby blady odblask jakiegoś dalekiego, niepewnego światła.

Nieznajomy wędrowiec piął się właśnie na wysoką spadzistą górę, za którą wąski

krzakami zarosły ciągnął się parów.

Nagle przystanął i pilnie nadstawił ucha. Zdawało mu się, że z parowu pomięszane jakieś zalatują głosy.

Po chwili postąpił o kilka kroków i znowu przystanął w miejscu.

Z dołu naprawdę zalatywały jakieś głosy.

Nieznajomy zamyślił się, i wnet jakby nagle schwycił jakieś postanowienie, pomknął w bok i dotarł wnet do gęstych zarośli jałowcu, co wązką smugą ciągnęły się przez całą górę. Wsunął się w gąszcz, nie zważając na opór swych łachmanów, a po kilku krokach wpadł na jakiś sobie znany tylko manowiec, który nie był wprawdzie ścieżką udeptaną, ale pozwalał łatwiej przerznąć się przez gęstwinę.

Przesmykiem tym dotarł niebawem na szczyt góry, a tymczasem głosy z dołu stawały się coraz wyraźniejsze.

Nieznajomy jakby się obawiał, aby postać jego nie wyzierała z zarośli, pochylił się ku ziemi i raczkiem zaczął sunąć się dalej. I pozazdrościć mu zręczności i szybkości z jaką w tak niewygodnej pozycyi posuwa się

coraz dalej w kierunku dolatujących go głosów.

Wkrótce jednak i ta pozycya wydała mu się mniej bezpieczną, bo zupełnie położył się na brzuch, i jak wąż zaczął się czołgać w głąb parowu.

Nagle zatrzymał się nieruchomo na miejscu. Posłyszane zdaleka głosy dolatywały już tak wyraźnie, że nie tylko można było rozróżnić mówiących, ale i rozumieć ich słowa.

Nieznajomy wychylił głowę naprzód roztworzył gębę i w słup obrócił oczy. W tej pozycyi trwał kilka minut, nagle łysnął oczyma i uśmiechnął się do siebie.

— Wargaty Jurko! — poszepnął, poznając jeden głos.

Znowu chwilkę poczekał, i poszepnął jeszcze ciszej:

— Jolko psiawiara!.... cygan Jańcza!...

I jeszcze o dobry sążeń wysunął się naprzód i przykucznął bez tchu i głosu, wytężając słuch ku mówiącym.

VIII.

MATKA I CÓRKA.

Posmutniał i osołowiał czegoś pokoik Leonii. Kwiaty w wazonikach pochyliły listki, jakby się użalały na zaniedbanie, przepiórka w kącie nadęła się i wzburzyła pierze, a na szafie w widocznym złym humorze przykucnęła wiewiórka i jakby z jakimś żalem i wyrzutem spoglądała ku kanapce.

Na kanapce siedzi Leonia, koło niej parę książek, ale znać wszystko nie tknięte, bo u żadnej nie widać kartek porozrzynanych.

Młoda dziewczyna wsparła główkę na ramieniu i zdaje się zatopiona w marzeniach.

Nie muszą być jednak smutne i przykre te marzenia, bo na wpół przymrużone oczka dziewczyny lśnią blaskiem niezwykłym, a około ustek igra powabny uśmiech zadowolenia.

I dla czegóż zadowolenie to nie udziela się i jej otoczeniu?

Ach, biedne kwiatki i biedne zwierzątka! one poczuły instynktem, że postradały dawno miejsce w sercu swej pani: jakiś inny,

ważniejszy przedmiot wyrugował je na zawsze!

A o czemże marzy teraz młoda dziewczyna, że ciągle uśmiecha się zadowolona i oczy jej lśnią coraz żywiej, a pierś nawet wzdyma się niezwykle?

Któżby uwierzył! rozpamiętuje całą powszednią rozmowę wczorajszą z Lajosem, i z niektórych słów, wymówionych czy z większym jakimś naciskiem, czy z więcej znaczącym rumieńcem na twarzy a połysku w oczach, czy też towarzyszonych westchnieniem lub innym jakim gestem wymowniejszym, różne i różne jakieś wysnuwa wnioski.

Trzeba bowiem wiedzieć, że od ostatniego naszego widzenia się z Leonią minęło dziesięć dni, a od ośmiu zamieszkiwał już młody doktor oficyny krużoskalskiego dworu. Nie przybył on zaraz nazajutrz po zaproszeniu, bo jak mówił, lekka przeszkodziła mu słabość, ale opóźniwszy się o dzień jeden, nie opuścił za to dotąd ani na chwilę dworu.

Chciała jakaś fatalność, że od ulokowania się młodzieńca we dworze, ochmurzyło i zaciągnęło się niebo, i zaczęła się nieprzerwana słota — ta nudna, jednostajna, pierwsza słota jesienna, bez burzy i gromów, błyskawic i zmian powietrza, pierwsza niewczesna

zwiastunka zimy, nastrajająca całą naturę na jakiś ton smutny i bolejący.

Przechadzki po górach stały się niepodobne, młody lekarz musiał całe dnie przepędzać we dworze w towarzystwie Leoni i jej matki. Opowiadał im ciekawe rysy i epizody z świeżej walki, w której sam brał udział, czytywał z niemi gazety i nowe otrzymane dzieła, a najwięcej grywał w szachy z Leonią.

Gra w szachy, wymagająca bystrości i skupienia umysłu i przynaglająca do koniecznej, powolnej rozwagi i cierpliwości, ma to do siebie, że najwięcej pociąga do siebie temperamenta żywe, energiczne, nie grzeszące właśnie zbytkiem tych przymiotów. Tak i żywa jak iskra Leonia, nauczywszy się szlachetnej tej gry w pensyi stołecznej, lubiała ją namiętnie i mogła całe dnie oddawać się jej bez wytchnienia. Dotąd zaś napróżno szukała w Krużoskalu kogoś, coby jej mógł służyć za przeciwnika. Znalazłszy go zaś teraz, chciała sobie nagrodzić długie oczekiwanie.

Wszakże zawiodła się w swych rachubach.

Tylko w pierwszych dniach miała dla

niej ulubiona gra cały urok dawniejszy. Ostatniemi dniami już tylko, aby.... aby?....

Być razem z Lajosem — odpowie najniedomyślniejsza z czytelniczek. W samej rzeczy, naprożnoby obwijać w bawełnę i gubić się w rojach próżnych słów, uwag i reflekcyi, kiedy tak łatwo domyśleć się prawdy.

Rzecz prosta, że młodzieniec z gorącem sercem i umysłem wrażliwym, pełnym polotu i zapału, nie mógł oprzeć się cudownemu urokowi, jaki w każdym razie i w każdej pozycyi musi wywierać taka jak Leonia kobieta.

Ależ Leonia?

Mogłaż tak prędko pozwolić obcemu zawładnąć nad sobą wpływowi, mógł-że młody ledwie z nazwiska i stanu znany młodzieniec wywrzeć na niej głębsze i trwalsze wrażenie?

Leonia nie znała dotąd żadnych bliższych szczegółów o życiu i pochodzeniu młodego lekarza. Do rzuconych przy pierwszej wizycie wzmianek dodał tylko że początkowe wychowanie odebrał w jakimś klasztorze po przeciwnej stronie Karpat, że zaskoczony po ukończeniu medycyny wypadkami politycznemi, wziął udział w boju o

niepodległość Węgier — ale co do reszty zachował zupełnie milczenie, które grzeczność nie pozwalała przerywać.

Wszakże ten to właśnie cień tajemniczy, osłaniający go pewną mgłą romantyczną, był najniebezpieczniejszym dla młodej dziewczyny, zwłaszcza w stanie, w jakim się znajdowała w tych czasach. Wiemy, że umysł i serce Leonii przechodziły właśnie w tym okresie pewien zwyczajny, ale nie u wszystkich równie silny paroksyzm wewnętrzny, że wyobraźnia jej rozbujała właśnie do tego gorączkowego rozmarzenia, gdzie każde nadzwyczajniejsze wrażenie zewnętrzne z podwójną wpaja się siłą.

Istna fatalność chciała, że nieznajomy młodzieniec zjawił się właśnie w tym niebezpiecznym okresie, jak istne nie mniej zawzięcie losu sprowadziło tę słotę tygodniową, która obojga młodym ludziom kazała być ciągle razem z sobą, patrzeć sobie wzajem w iskrzące się życiem i zapałem oczy i podchwytywać się w takich strunach serca i duszy, jakiemi zwyczajnie zawiązują się ściślejsze węzły sympatyczne.

Lecz przyśliż już oboje do świadomości tego, że sprzęgli się razem tą nicią tajemniczą,

której nigdy niepodobna przerwać w połowie, ale trzeba wyrywać z serc, nie zważając na upływ krwi najszlachetniejszej i kurcze najsroższej boleści?

Co do Leoni łatwa na to odpowiedź.

Nieodstępnym nigdy kobiecemu sercu instynktem potrafiła młoda dziewczyna widzieć i odgadywać wiele rzeczy. Spostrzegła od razu, że na umyśle młodzieńca nazbyt silne wywarła wrażenie, widziała, że z każdego jego spojrzenia bije dla niej cześć i zapał jak dla bóstwa, uważała, że głos jego zwrócony do niej drży zawsze jakiemś, jej tylko uchu zrozumiałem wzruszeniem, i dorozumiewała się sama nie wiedząc zkąd, co miały znamionować te tłumione westchnienia, co mu tak często rozpierały piersi i te łzy przezroczyste, co chwilami błyszczały w jego oczach.

Ale tak jej jakoś lubo było chwytać takie i tym podobne objawy, tak gorąco zajmowała się niemi w swych myślach, że nie miała nawet czasu zastanowić się sama nad sobą, i z ręką na sercu zapytać siebie samej, czy i z jej oczu nie strzela jaki żar niezwyczajny, czy i w jej głosie nie przebija się chwilowe drżenie, czy i jej piersi mimo-

wolne nie rozpierają westchnienia, a oczu niegodne nie zamglają łzy?

Ona dotąd chwytała tylko swoje instynktowe spostrzeżenia, a w dziewiczości serca i duszy ani pomyślała przystąpić do surowej spowiedzi własnych uczuć i wrażeń. I kto wie nawet, czyby ta spowiedź się udała i wydobyła szczerą prawdę na jaw?

Leonia wiedziała, że jest kochaną, ale aby poznać, czy kocha sama, musiałaby schwycić się najprzód za jakimś pomimowolnym wyraźniejszym objawie serca, do czego najczęściej przypadkowej, zewnętrznej potrzeba podniety.

Znać jednak dopatrywała czy domniemywała się czegoś matka, bo przysłuchawszy się wczoraj dłużej obojętnej na pozór rozmowie obojga przy szachach, cały wieczór była widocznie zamyśloną i zafrasowaną, w nocy jakieś niepokojące trapiły ją myśli, bo aż zaledwie nad ranem skleiła powieki, a wstawszy i ubrawszy się przed chwilą, z niezwykłą powagą w twarzy weszła nagle do pokoiku córki.

Leonia podniosła głowę, a ujrzawszy matkę, po raz pierwszy w życiu zadrżała na widok jej twarzy, sama nie wiedząc czego.

Serce jej się ścisnęło jakimś szczególnym przestrachem, jak gdyby w duchu do jakiejś nieświadomej poczuwała się winy.

Pani Zbąska siliła się uśmiechem zegnać powagę z twarzy i przybrać na pozór minę swobodną i obojętną, ale młoda dziewczyna czuła instynktem, że jakaś myśl ważna kryje się za jasnem tłem jej czoła. Z widocznem pomięszaniem i nie dającem się ukryć drżeniem postąpiła ku niej i z gorączkową skwapliwością ucałowała jej ręce.

— Jużeś wstała, Leonko! — przemówiła spokojnie pani Zbąska, siadając na kanapce i przyciągając córkę do siebie.

— Od godziny, mameczko! — odpowiedziała żywo, siląc się do tonu swobody.

Pani Zbąska rzuciła okiem dokoła, i spostrzegając napuszoną przepiórkę i nadąsaną wiewióreczkę, ozwała się z uśmiechem:

— Pogniewałaś się coś widzę z twemi wychowankami?

— Znudziły mi się już, mameczko.

Po jasnem czole matki Leoni lekka przemknęła chmurka.

— Doczekamyż się dziś nareszcie pogody, — ozwała się nieco zmienionym głosem, wyciągając rękę ku oknu.

— Gdybyż już!

— Pożegnamy naszego gościa, — ciągnęła pani Zbąska z pewnym lekkim naciskiem, kontynując niejako sens poprzedni.

Leonia zalała się rumieńcem aż powyżej uszek.

— Jakto?

— Pan Lengyel wróci do Węgier.

— Czy mówił mamie?

Po czole matki grubsza niż pierwszą raz przesunęła się chmurka.

— Cóż miał mówić? — przejęła z powagą, — miał tylko dwa lub trzy dni zabawić w tych stronach, i na ten jedynie czas ofiarowałam mu umieszczenie w oficynach, a dziś już dziewiąty dzień.

Leonia zdawała się coś tłumić w sobie, a nagle wyrwała się żywo:

— Ależ może on jeszcze nie myśli wracać.

Niedawna chmurka na czole matki przeszła w wyraźny zmarszczek.

— Mniejsza o to, — rzekła z umyślną dobitnością, niech wraca lub nie, sądzę jednak, że nie zechce nadużywać mojej gościnności.

Leonia uczuła, że jakoś bardzo ciasno robi się jej w piersiach, rozwarła na pół

usta, ale nie wyrzekła ani pół słowa.

Pani Zbąska nachyliła się bliżej do córki, i wpatrując się bystro w jej twarzyczkę pomieszaną, rzekła zniżonym głosem:

— Mówiąc między nami, moja Leonio żałuję dziś moich zaprosin.

Leonia drgnęła.

— Jakto? — szepnęła.

— Wiesz-że kto jest właściwie ten pan Lengyel?

Leonia rozwarła szeroko oczy i z zdziwieniem i przestrachem wpatrzyła się na matkę.

— Wszak mówił nam.

Pani Zbąska wzruszyła ramionami.

— Wszystko to co mówił, jest bardzo niedokładne i niedostateczne, te wzmianki o swem polskiem urodzeniu a węgierskiem wychowaniu... to już przyznam się wcale dziwne i zagadkowe, a te powody pobytu w tych stronach wręcz podejrzane.

Leonia ochłonęła trochę. Ten zwrót rozmowy wydał jej się daleko znośniejszym niż sama przedmowa, po której obawiała się czegoś innego, czego sobie bliżej nie mogła określić, a czego lękała się instynktowo.

Podniosła więc śmiało główkę i przemówiła z żywością, a nawet energią:

— Mojem zdaniem właśnie wszystko to powinnoby nas przejmować ufnością i sympatyą, a nie podejrzeniem. Blizna na czole i jego własne słowa świadczą, że brał udział w walce... trudnoż się więc domyśleć, dla czego ukradkiem przemknął się przez granicę?... dla czego...

— Miał jednak sposobność poznać nasz sposób myślenia i mógł się wynurzyć szczerzej.

— Nigdyśmy go nie pytały.

— Takich zwierzeń nie udziela się na pytania.

— A więc po prostu nie umiałyśmy wzbudzić jego zaufania.

Pani Zbąska z niezadowoleniem wstrząsła głową.

— Bronisz go za gorąco z tej strony, abym mogła z dalszemi występować zarzutami. Przypuśćmy więc, że nie pomyliłyśmy się obie w naszych pierwotnych wspólnych domysłach: gość nasz jest rzeczywiście zbiegiem politycznym, nie chce ukrywać się długo w tych stronach, nie ma zupełnego do nas zaufania i dla tego zachowuje swoją tajemnicę... Zgoda na to wszystko... Wszakże, — cedziła dalej po niejakiej pauzie i z pewnym naciskiem, — są jeszcze i inne po-

wody dla których nie radam z jego dłuższego pobytu w naszym domu.

Leonii znowu zaczęło robić się duszno.

— Inne powody! — wyszepnęła mimowolnie.

Do jednego zmarszczka na czole pani Zbąskiej przybył nagle drugi i trzeci.

— Mieszkamy wprawdzie na ustroniu, — poderwała prędko, — ale zawsze nie po za oczyma i językami ludzkimi... jesteśmy same tylko... więc...

Urwała i spojrzała na Leonię, ale ta uporczywie wpatrzyła się w ziemię.

— Dłuższy pobyt obcego człowieka mógłby zwrócić uwagę, — zaczęła na nowo, — świat jest zły... podejrzliwy... Kto wie na jakie mógłby wpaść domysły, i jakie wyprowadzić wnioski.

Leonia w milczeniu pochyliła głowę na piersi.

Matka spojrzała na nią z ukosa i ozwała się na nowo:

— Zresztą jest to człowiek młody, przystojny, ukształcony, niezawodnie więc i z pretensyami do świata i ludzi. Tyś... stworzenie nie szpetne, moja Leonio, mogłabyś mimo chęci i woli silniejsze sprawić na

nim wrażenie, mogłabyś wywołać uczucia, których podzielać nie możesz, wzbudzić nadzieje, których podsycać nie godzi się.

Leonia odgadła, że w tych dopiero słowach pękła właściwa bomba przewidywana i pierś jej ścisnęła się gwałtownie. Jakaś nieświadoma zdjęła ją trwoga i rwało ją coś zapytać, dla czegoby nie mogła podzielać tych uczuć obawianych, dla czego nie godzi się podniecać tych nadziei możliwych?

Napróżno jednak mocowała się sama z sobą, aby wydobyć z siebie stosowne zapytanie.

— Jakto — szepnęła, i nie mogła zdobyć się na nic więcej.

Na twarzy pani Zbąskiej już wyraźnie żywy wybił się niepokój. Chciała coś odpowiedzieć, gdy w tem szybko wbiegła Ołena.

— Proszę pani, ten pan z oficyn pyta się, czy może służyć państwu! — zawołała we drzwiach.

Pani Zbąska musnęła ręką po czole i przybierając napowrót ile możności spokojną i obojętną minę, odpowiedziała krótko:

— Proś go do bawialnego pokoju.

Potem wstała, zerknęła do lustra i wi-

dząc się zupełnie spokojną, ozwała sią do córki:

— Skończymy później naszą rozmowę, Leonio, teraz pójdźmy do niego.

Chwilkę zatrzymała się jeszcze w pokoiku niby coś poprawiając w ubraniu, właściwie zaś by Leonia pozbyła się swego pomięszania, którego jawnie jeszcze na twarzy nosiła ślady.

XI.

PAN PAMFILIUSZ SCHABENGAUCH, EDLER VON SAPERDEPIKS.

W bawialnym pokoju czekał Lajos.

Stał przy oknie i patrzył ku górom, ale myśli jego nie towarzyszyły oczom: nurtowały w własnej głębi i znać w jakiejś przykrej ścierały się z sobą walce, bo twarz młodzieńca była blada i cierpiąca, czoło posępne zamglone.

Całą noc dziś nie zamrużył oka, jakaś gwałtowna gorączka paliła mu mózg i nie pozwolała mu pomyśleć o śnie. Dopiero nad

ranem uspokoił się cokolwiek, a na chmurnem tle jego czoła i w fałdach ust zaciśniętych jakieś silne i niezłomne zarysowało się postanowienie.

Lajos powziął zamiar dziś jeszcze pożegnać się z mieszkańcami dworu i jutro przed świtem opuścić na zawsze te okolice.

A widać, że bardzo ciężko przychodzi mu wykonanie tego zamiaru, bo na samą myśl o nim dreszcz przechodzi go od stóp do głowy i zapiekłe zadrgają usta, jakby w konwulsyjnem ściśnieniu.

Jeżeli młoda dziewczyna odgadła treść uczuć młodzieńca, a nie przyszła do świadomości swych własnych, to z Lajosem działo się przeciwnie.

On właśnie nie śmiał i nie chciał, a może i nie mógł odgadnąć wewnętrznego stanu dziewczyny, ale za to widział aż nazbyt jasno i wyraźnie, co się dzieje w jego sercu własnem, co zapala mu mózg i rozpiera pierś do pęknięcia....

I osobliwszy jakiś przestrach, jakiś niepokój niepohamowany ogarnął go w pierwszej chwili. Zdało mu się nagle, że stanął u krawędzi strasznej przepaści, którą przejrzeć nie można okiem, a do której go prze jakaś

nieprzełamana siła fatalna. I po pierwszym momencie przestrachu i grozy, skurczyło się nagle serce pod ciosem jakiejś srogiej boleści i rozpacz prawie zatrzęsła jego umysłem.

— Ona nigdy nie może być moją! — szepnął, cisnąc całą siłą zżymającą się pierś.

I około tej to jedynie myśli toczyła się cała dalsza walka wewnętrzna, walka ciężka i okropna, kiedy zaraz na wstępie zaczynała się od przestrachu, boleści i rozpaczy. Czasami jak błyskawica przelotna przemknął w niej jakiś moment szczęśliwy, i młodzieniec biegł skwapliwie do swego zawiniątka, dobywał jakiegoś pliku papierów, i dwa z nich z gorączkową rozwijał skwapliwością.

Jeden był to formalny i uroczysty dyplom na doktora medycyny i chirurgii; drugi zawierał mianowanie na kapitana honwedów.

Ale bardzo rzadkie i krótkie były takie momenta, a zawsze tem okropniejsze tylko pociągały za sobą zwątpienie.

Młodzieniec z gniewem i pogardą rzucał swe cenne papiery i z tem sroższą rozpaczą powtarzał.

— Ona nie może być moją!

W czemże jednak widział tak nieprzeby-

ty między nią a sobą przedział?

Byłoby niedyskrecyą z naszej strony odpowiadać na to w jego imieniu. Jest to jego tajemnicą i musimy dowiedzieć się z toku wypadków lub z jego ust własnych...

Zatopiony w swych ciężkich myślach stał ciągle przy oknie i nie spostrzegł prawie, kiedy pani Zbąska weszła do pokoju, dopiero żywsze i głośniejsze wbiegnięcie Leoni ocknęło go z zadumy.

Obrócił się prędko, a obie kobiety omało nie krzyknęły, tak się przestraszyły trupiej bladości jego twarzy.

Na szczęście jednak nie widziała Leonia siebie w tej chwili, bo także okropnie pobladła i jakiemś przykrem przeczuciem ścisnęła się jej pierś.

— Czy pan jesteś chory? — zapytała się pani Zbąska.

— W nocy miałem ból głowy, który nie przeminął zupełnie, — odpowiedział młodzieniec po lekkiem zająknięciu.

— I mimo bólu głowy pamięta pan o nas.. byśmy się nie nudziły, — przemówiła pani Zbąska tonem, który jak na uprzejmą wymówkę był nieco za oschły.

Lajos posunął ręką po czole i odpowie-

dział z przymuszonym uśmiechem:

— Przeciwnie, pamiętałem tylko o sobie, nie chciałem się pozbawiać szczęścia, jakiego mam używać dziś po raz ostatni.

Pani Zbąska nic nie odpowiedziała, tylko oczy żywo utkwiła w mówiącego.

Leonia pobladła jeszcze więcej, i ledwie zrozumiale wycedziła z ściśnionej piersi żartobliwie:

— O jakiemże to szczęściu pan mówi?

— O tem, jakie odnoszę z towarzystwa pań, — odpowiedział młodzieniec i głos jego także jakiś niezwyczajny miał dźwięk.

— Ah! myśli nas pan porzucić już? — ozwała się pani Zbąska z zadziwieniem, niegrzecznie udanem z umysłu.

Lajos nie mógł tego widzieć, porwany prądem swych uczuć wrzących, widział przed sobą tylko Leonię, choć oczy miał zwrócone do mówiącej.

— I tak już przedłużyłem mój pobyt w tych stronach, — odpowiedział.

— Czy udaje się pan może w inne strony gór — zapytała dalej pani Zbąska, i czegoś bardzo pilnie wpatrzyła się w twarz młodzieńca.

Leonia nie odzywała się zgoła. Przyszła

z jakąś robótką w ręku i teraz tak uporczywie utkwiła w nią oczy, jak gdyby najmniejszej uwagi nie zwracała na całą rozmowę: bo bladość jej nie ustąpiła z lic, a pierś ciągle zżymała się gwałtownie.

Lajos potrzebował krótkiej pauzy, aby poprowadzić dalej wątek rozmowy.

— Udaję się do Pesztu gdzie myślę rozpocząć praktykę lekarską, — przemówił.

Pani Zbąska ściągnęła cokolwiek brwi.

— A nie będzie to miało jakiego niebezpieczeństwa dla niedawnego kombatanta armii rewolucyjnej? — ozwała się, wlepiając badawczy wzrok w twarz młodzieńca.

Na ustach Lajosa jakiś przykry zaigrał uśmiech. Chciał coś odpowiedzieć, ale powstrzymał się nagle, bo obie kobiety zerwały się z siedzeń.

W sieniach, i tuż zaraz w przyległym pokoju rozległ się głośny brzęk jakby od ostróg i szabli.

— Któż to? — szepnęła pani Zbąska, — nie słychać było żadnego turkotu na dziedzińcu.

Jakby w odpowiedź rozległo się trzykrotne głośne pukanie do drzwi.

— Proszę, — wybąknęła pani domu machinalnie.

Leonia na pierwsze zabrzęczenie ostróg i szabli zadrżała jak liść i z przestrachem i niepokojem wpatrzyła się na Lajosa i tu oczy obojga spotkały się na krótką chwilę, i oboje jakby jakimś silnym elektrycznym ugodzone prądem, zachwiali się na nogach i głowy szybko poschylali na piersi.

W tem rozwarły się drzwi do połowy, a naprzód pokazał się nos niepospolitego kształtu i kalibru, czerwony i koralkowy jak podgarle jędora, a szeroki i zawiesisty jak olbrzymia bulba rohańska. Za tym nosem niepoślednim, który bezpiecznie mógłby pełnić funkcye pięciu nosów innych, i który jakby gwardyą przyboczną otaczał się w około kilkoma różnobarwnemi brodawkami, snuły się krzaczaste rudawo-siwe wąsy, a dopiero po za niemi pojawiła się twarz czerwona i nabrzmiała z nizutkiem zapadłem czołem i malutkiemi wklęsłemi oczyma.

Twarz ta uśmiechnęła się w tej chwili uprzejmie i dobrodusznie, oczka biegały żywo i ciekawie.

Już na sam widok wysłanego w awantgardę nosa, uśmiechnęła się pani Zbąska

uprzejmie i pierwotny mimowolny niepokój znikł z jej twarzy.

— A! pan respicyent! — zawołała kiwając głową.

— Czy można? — przemówił właściciel potężnego nosa, krzaczastych wąsów i nabrzmiałej twarzy.

— Prosimy, prosimy pana respicyenta.

Pan respicyent wykonał w jednej chwili taki jakiś zręczny manewer gimnastyczny, że głowa nie wyszła wcale z swej pozycyi, a cały tułów na jedno tempo wysunął się naprzód.

I owóż w zielonym mundurze, przy szabli i ostrogach, a z kolczykiem w uchu przedstawiła się cała postać pana respicyenta. I warto przypatrzeć się jej z uwagą, bo nie tak łatwo udałoby się zdybać drugi taki egzemplarz.

W całej postaci pana respicyenta uderzą jakaś dziwna disharmonia, jakaś rażąca niezgoda pojedynczych części ciała. Żadna z nich nie kontentuje się przeznaczonem sobie od natury miejscem, ale na gwałt woruje się w miedzę najbliższego sąsiada. Głowa tonie w karku, kark wrzyna się w ramiona, ramio-

na wbrnęły w plecy, plecy wśrubowały się w brzuch, brzuch wpił się w nogi, nogi zgubiły się w olbrzymich butach juchtowych, uzbrojonych w spiczaste ostrogi.

I znać temu ku osobliwszemu, niepohamowanemu pociągowi grawitacyjnemu ku dołowi należy przypisać, że pan respicyent wydawał się mniej niż miernej postaci i że zdaleka wyglądał jakby w kurczowym napadzie ściągnięty do połowy swej naturalnej wielkości. Na pierwszy rzut oka można się było nawet obawiać, że lada chwila zechce się wyprostować i jak posypana solą pijawka wyciągnie się w długość niepospolitą. Ale obawa ta była płonna, pan respicyent nie wychodził nigdy z swej skurczonej w półkłębek postawy i nie próbował wprowadzić w ład i porządek swych niesfornych członków ciała.

A jak dziwaczną i karykaturalną była jego powierzchowność, tak niezwykłą i oryginalną przedstawiała się cała wewnętrzna indywidualność, tak zagadkowym i nieokreślonym jego charakter.

Przedewszystkiem nader trudno porozumieć się z nim co do punktu narodowości. Pan Schabengauch Edler von

Saperdepiks długi czas nie wiedział sam jak w rogu, czem jest właściwie, kozłem czy baranem, psem czy rybą.

Po prawdzie rodzina Schabengauchów wywodziła się z Szwabii czy Turyngii, a w heraldycznych swych wspomnieniach zachowuje podziśdzień świetną tradycyą jak przyszła do godności szlacheckiej i przydomka Saperdepiks.

Według wiarogrodnych źródeł heraldycznych tradycya tak opiewa jak następuje:

Habakuk Schabengauch brał udział w wojnie trzydziestoletniej i po stronie katolickiej walczył ze Szwedami. I owoż w pewnej bitwie zwyciężyli luterscy Szwedzi a armia katolicka musiała zmykać z pola, czyli mówiąc nowoczesnym językiem, musiała cofać się ze względów strategicznych. I w tem to cofaniu odznaczył się głównie Habakuk Schabengauch, bo krótko mówiąc cofał się tak dziarsko i w takim porządku że prześcignął galopującą nawet kawaleryą i pierwszy stanął pod murami zaplecznej fortecy. I tu dopiero spostrzegł, że w bitwie fatalny wydarzył mu się trafunek: od dzieciństwa nosił na trzycalowej

przestrzeni między gębą a oczyma sześciocalowy ornament twarzy, zwany nosem po prostu, a kiedy stanął w bezpiecznem miejscu i chciał na pokrzepienie się pociągnąć niuch tabaki, spostrzegł, że ten sześciocalowy ornament zginął bez śladu. Nie mówi historya w jaki sposób wydarzył się ten straszny i pamiętny wypadek, czy ciąży na sumieniu jakiego szwedzkiego rajtera, czy też wypłynął z pospiechu rajterady, ale to pewna, że dotknięty nim Habakuk Schabengauch ani na chwilę nie stracił zimnej krwi i rozwagi, i nie wydał żadnego jęku przestrachu lub bólu, tylko z rodzajem zdziwienia wykrzyknął:

— Saperdepiks!

Wyniesiony następnie w poczet szlachty świętego państwa rzymskiego, otrzymał przydomek: Edler von Saperdepiks.

Od tego to protoplastowego Habakuka Schabengaucha Saperdepiksa miał w prostej linii pochodzić nasz respicyent, Pamfiliusz Schabengauch von Saperdepiks.

Zdawałoby się zatem, że należał do wielkiej rodziny Germanów.

Długi czas był on sam tego zdania. Odkąd jednak w łonie trzydziestu kilku niemieckich ojczyzn i ojczyznek zaczął roz-

budzać się jakiś duch niewłaściwy i różne niepotrzebne zaczęły się odzywać głosy, zechcenia, tendencye, pan Pamfiliusz Schabengauch von Saperdepiks wyrugował z regestru swej pamięci piosnkę: Was ist des Deutchen Vaterland? i po raz pierwszy zrobił uwagę, że ojczyzną przestaje być kraj przedwiekowego pochodzenia, a staje się nią ziemia urodzenia i stałego osiedlenia. Toż jeszcze dziad jego osiedlił się w państwach austryackich, a z konsekwencyi pan Pamfiliusz zadał sobie zapytanie, które z tych państw może po wszelkiem prawie i wszelkiej formie nazwać swą ojczyzną, czy właściwie wedle którego z nich ma określać swoją narodowość?

Ale i na to nie łatwo było odpowiedzieć.

Pan Pamfiliusz Schabengauch urodził się w Czechach z matki Kroatki, a od lat trzydziestu z okładem mieszkał w Galicyi, miałże więc zdecydować się za krajem urodzenia czy krajem osiedlenia?

Po długich Hamletowych zaciekaniach się i walkach wewnętrznych, przyszedł nakoniec do konkluzyi, że najstósowniej będzie

nazwać się galicyjskim Austryakiem, galizischer Oesterreicher.

Lecz to tylko dla swego własnego urzędowego sumienia wyszukał tę jenialną kombinacyę narodowości, wobec świata, a przynajmniej wobec jednej cząstki świata, przedstawiał on się w innej postaci, miał zawsze zupełnie inne wyznanie na ustach.

Jako respicyent straży finansowej, a tem samem kontrol i nadzorca wszystkich okolicznych browarów i gorzelni, miał pan Schabengauch von Saperdepiks ciągłe stósunki ze szlachtą, rad nierad musiał stykać się nieustannie z światem polskim i to z najwybitniejszym jego żywiołem. A trzeba wiedzieć, że pan Schabengauch był człowiekiem wielkiego rozsądku i głębokiej rozwagi i od dzieciństwa wyznawał święcie zasadę, że chcąc w części ulżyć sobie ciężkie brzemię tuczesnej pielgrzymki, należy siebie nakręcić do stosunków, a stosunki do siebie.

W duchu tej złotej zasady postanowił w samej rzeczy nakręcać siebie do stosunków i ile możności uprzyjemniać sobie zajmowane stanowisko. A najlepszą do tego drogą wydało mu się żyć dobrze i po przyjacielsku z

wszystkiemi ludźmi w ogóle, a z szlachtą w szczególności.

I trzeba przyznać, że udawało mu się to jak najlepiej.

Mimo swej karykaturalnej postawy, pan Pamfiliusz Schabengauch von Saperdepiks był lubianym i sławionym wszędzie, gdziekolwiek dał się poznać bliżej, ale już co u szlachty, to miał względy i ferwory nad wszelki wyraz.

Bo też po prawdzie łączył w sobie wszystkie przymioty, aby zjednać sobie przydomek poczciwej duszy u świata, a poczciwego Niemca u szlachty. Jowialny, uczynny, przyjacielski, mógł zgodzić się z każdym charakterem i temperamentem, zastósować się do wszelkich wymagań i względów, umiał włożyć się w każdą sytuacyę, a w urzędownem swem działaniu, jak mówił sam głośno otwarcie, przyjął za główną zasadę:

— K e i n e S e k a t u r! k e i n e P l a c k e r e i e n!

Z tem wszystkiem łączył mnogie niepospolite zalety towarzyskie; jak najlepszy oboista świstał na flecie, umiał wszystkie gry zwyczajne, uczestniczył ochoczo w każdej zabawie, na zawołanie szedł łapać ryby lub

polować na zwierza, a co nadewszystko, nie zraził się żadnym żartem i nigdy nie wymówił się od żadnej pijatyki.

Gdziekolwiek też w urzędowym objeździe pojawił się w dom szlachecki, był gościem arcypożądanym, wszędzie przyjmowano go otwartemi ramionami.

Poczciwy Schabengauch nigdy nie podnosił kontrabandy, a jak który z podwładnych zastąpił go w tem strażników, to mało nie płakał z współczucia i zmartwienia, bo jak mówił, on strasznie kochał Polaków i polską szlachtę.

Niech tylko zdarzyło się gdzie liczniejsze grono polskie, a przyszło do nieodzownych kielichów i wiwatów, to aż serce skakało słuchając pana Pamfiliusza Schabengaucha.

W takich razach puszczał zupełnie wodze językowi, i zapominając od razu o swej galicyjsko-austryackiej narodowości, wywnętrzał się z właściwą sobie bonhomią i otwartością:

— Ja mam nazwisko niemieckie, no to cóż? pani dobrożeju, ja nie jestem żaden Szwab! ja kocham Polaków! Polacy to wielki naród! Kreuzdonnerwetter! pani dobrożeju! niech mi kto powie co na Polaków, to ja

zaraz pójdę za drzwi! Himmelsakrament! niech żyją Polaki!

I do łez rozczulił poczciwą szlachtę i wszyscy na wyścigi biegli do jego ramion, ściskali i całowali jego nabrzmiałe policzki.

— Poczciwy Niemiec!

— Takich nam dajcie!

— Chwat co się zowie! — odzywały się zewsząd głosy.

A pan Pamfiliusz Schabengauch von Saperdepiks wpadał w jeszcze większy ferwor, i z pocieszným akcentem prawił dalej nie powstrzymany:

— Ja znam polską historyę, Kreuzdonnerwetter! ten Sobieski! ho! ho! ein grosser Mann, pani dobrożeju! a Jan III! noch groesser, pani dobrożeju! a Kościuszko? ten Kościszko no to on także jeszcze większy, pani dobrożeju! A Głowacki! Partek! Partek! Himmelsakrament, pani dobrożeju !

I płakała i śmiała się pochlebiona w swej dumie narodowej szlachta.

Poczciwy Niemiec ni w pięć ni w dziewięć pomięszał polską historyę, rozrąbał na dwoje Sobieskiego, Kościuszkę zostawił z Bartkiem Głowackim, o którym posłyszał z

jakiejś pieśni ludowej, ale mniejsza o to, tu szło tylko o szczere chęci, poczciwe serce i szlachetny charakter!

— Nieoceniony Schabengauch! złoty Saperdepiks!

I znowu hurmem tłoczyli się wszyscy, ściskali i całowali koralowy nos i nabrzmiałe policzki pana respicyenta, a on dalej ciął swoje:

— Ja i polskie literature znam! No ten Mickiewicz co? a pan Tadeusz! co? pani dobrożeju! wszystko znam pani dobrożeju! bo ja sztudirował po polsku, ja mam serce polskie i ja sam Polak, pani dobrożeju!

Tu dopiero wpadła szlachta w prawdziwą furyę rozczulenia, ani jedna brodawka na nosie respicyenta nie ochroniła się od serdecznych pocałunków, i w jednej chwili z Schabengaucha-Saperdepiksa zrobił się Schabengauchski Saperdepicki.

On sam bardzo chętnie pozwalał na takie przekręcanie nazwiska, a nawet we wszystkich listach prywatnych do szlachty podpisywał się z polskiem zakończeniem.

Przypuszczony do najpoufalniejszych kółek szlacheckich, oswajał się pan respicyent

z całym trybem życia szlacheckiego. W jego obecności nie potrzebował nikt zakładać hamulca na język i ważyć każde słówko wymówione.

Poczciwy Schabengauchski-Saperdepicki nie zgorszył się żadną rozmową, można było rozprawiać i o najniebezpieczniejszych przedmiotach, jak się komu podobało. On wszystko słuchał, na wszystko się uśmiechał, kiwał głową i machnął ręką.

— Ja nie jestem żaden szpitzel, pani dobrożeju, ja przysiągł, na to ja swój amt pilnuje — i basta.

Ale kiedy rozochocona szlachta posuwała za daleko swój ferwor patryotyczny i zaczęła nucić marsz Dąbrowskiego, lub z niewłaściwemi odzywała się okrzykami, to siadał w najciemniejszy kąt pokoju, zamykał oczy i zwieszał głowę.

— Ja już spim, ja nie słyszem, ja już się upiłem, — obznajmiał głośno wszem wobec i każdemu z osobna.

Wobec takich zalet i przy takiem postępowaniu nie dziwić się, że pan Schabengauch von Saperdepiks był tak lubionym między

szlachtą i miał najlepsze u wszystkich zachowanie.

Jeśli który z strażników złapał szlachcice na przedłużonym lub nadliczbowym zacierze lub jakąkolwiek inną pochwycił kontrabandę, a pan respicyent musiał z bólem serca dalsze wytoczyć urzędowanie, to nikt się ani nie skrzywił, płacąc choćby Bóg wie jak wielką sumę, bo miał wewnętrzne przekonanie, że gdyby tylko można, poczciwy Schabengauch byłby nieochybnie zatarł wszystko i pewnie wszelkiemi siłami starał się o jak najmniej wymiar kary.

Mówiąc prawdę bardzo się mu też dobrze działo z taką opinią i takiemi faworami u szlachty. Wynoszony pod niebiosa, goszczony od serca, z często gęsto capnął i prezencik niemały, i różne pamiątki i pamiąteczki sypały mu się ze wszystkich stron. Pan Schabengauch przyjmował wszystkie z wdzięcznem sercem i wypłacał się sowicie okrzykami uwielbienia na cześć polskiej gościnności, polskiej wspaniałomyślności i w ogóle na cześć polskiego charakteru narodowego.

Wszakże któż na świecie, a tembardziej na naszej ziemi potrafi uchronić się od ludzkiej złośliwości i potwarzy.

Znajdowali się ludzie, co śmieli wątpić o uczciwości pana Schabengaucha von Saperdepiksa i szczeremu i serdecznemu jego postępowaniu różne dwuznaczne podsuwali zamiary.

Nie wierzyli w jego sny udane, w jego niewinność przy podnoszeniu kontrabandy, w jego otwartość wylaną.

Ale Bogu dzięki takich było nie wielu, a ich oszczerczym poszeptom nie wierzył nikt zgoła.

I nie małe było dla nich szczęście, bo niechżeby były oszczerstwa te znalazły odgłos, pan Pamfiliusz Schabengauch von Saperdepiks klął się na wszystko, że w takim razie dociekłby samego źródła potwarzy i jako szlachcic i były wojskowy, umiałby zażądać i znaleźć satysfakcyę.

Na szczęście nikt nie słuchał tych głosów i pan Schabengauch nie potrzebował nigdy w tak fatalną wchodzić kolizyę i odpowiednio swej dobrodusznej i poczciwej naturze mógł nawet z swymi oszczercami dobrą zachować komitywę.

W dalszym toku powieści poznamy inne jeszcze przymioty i rysy charakterystyczne

pana respicyenta, a teraz przystąpmy wręcz do samego działania.

Panią Zbąską nie mogła zadziwić nagła wizyta respicyenta w krużoskalskim dworze, bo pędząc na siebie gorzelnie w Krużoskalu i Uwiśnie, przyzwyczajona była do częstych jego odwiedzin urzędowych.

Pan Schabengauch jak przed innemi tak i przed nią odsłonił się w swych najlepszych przymiotach, a pani Zbąska miała do niego ufność nieograniczoną, toż spostrzegając nagły widoczny niepokój na twarzy młodzieńca, rzuciła mu spojrzenie uspakajające, i z uprzejmym uśmiechem odpowiedziała na powitalne ukłony gościa:

— Witamy, witamy pana respicyenta,— ozwała się bez wszelkiego zakłopotania.

Pan Schabengauch z układną galanteryą kłaniał się na wszystkie strony.

— Całuję stupki pani dobrożyjki, — ozwał się łamanym językiem, którego wszystkich właściwości nie będziemy naśladować, — przepraszam, bardzo przepraszam że ja tak przyszedł raptownie, bo ja konie posłał na gumno, a do dworu ja przyszedł piechotą.

– Tem lepiej, zrobiłeś nam pan miłą nie-

spodziankę, — odpowiedziała pani Zbąska grzecznie.

— Ja b a r d z o się cieszę, że ja widzę p a n i d o b r o ż y j k a zdrowa, a i panna Leonia b a r d z o l i c z n i e wygląda, f a m o s !

I układny pan respicyent chciał jeszcze w jakieś dalsze zapuszczać się komplementa, ale przerwała mu prędko pani Zbąska, przedstawiając niespokojnego młodzieńca, który usunął się pod framugę okna i z pod okna nieufnie spozierał na nowo przybyłego.

— Pan doktor Lajos Lengyel, — ozwała się rekomandując obu wzajem, — pan respicyent Pamfiliusz Schabengauch.

— Von Saperdepiks! von Saperdepiks! — uzupełniał prędko respicyent, odpowiadając na ukłon młodego doktora.

Lajos nie zrozumiał tego uzupełnienia, i wypatrując się zdziwionemi oczyma na pocieszną postać pana respicyenta, powtórzył mechanicznie:

— Saperdepiks!

— Tak, tak, Saperdepiks, p a n i d o b r o ż e j u, — podchwycił prędko pan respicent, z dumą podnosząc się na palce, — nasza familia pochodzi od tego jednego Habakuka

Schabengaucha, co to wie p a n d o b r o ż i j z historyi, był straszny wojownik z Szwedami i pierwszy uciekł do fortecy, ale zgubił nos po drodze i potem nie miał gdzie zapchać tabaki, to on sobie zawołał: Saperdepiks!

Tu pan respicyent rozpromieniony świetnem wspomnieniem rodowem, a zdyszony swem oratorskiem wysileniem, całą garścią chwycił się za nos, jakby się przekonać, czy podobne nie zagrażałoby nieszczęście.

Wszystkim słuchaczom rodowej tradycyi pana Schabengaucha nie było wcale do śmiechu, a przecie z trudnością tylko powstrzymali głośny wybuch, tak pociesznym był potomek Habakuka Schabengaucha w tej chwili.

Znać spostrzegł pan respicyent ten niepoczestny efekt swej powieści, bo skrzywił się nieznacznie, a siadając na zaproszenie gospodyni, jakoś z podełba spojrzał na młodzieńca. Wnet jednak ustroił twarz w swój zwykły uśmiech uprzejmy i dobroduszny i zapytał od niechcenia:

— A p a n i d o b r o ż y j zdaleka?

— Z Węgier! — odpowiedział młodzieniec machinalnie.

Leonią jakiś nieświadomy wstrząsł niepokój.

— Pan doktor przybywa do mego ojca, — ozwała się żywo.

Pan respicyent westchnął i pokręcił największą brodawką swego nosa, co u niego było zawsze znakiem niezwykłego rozczulenia.

— Do pana Erazma, — szepnął, — a jak się ma ten pan Erazm?

— Zawsze jednakowo, — odpowiedziała matka Leoni.

— Jednakowo, — powtórzył pan respicyent z współczuciem.

— A pan doktor zapewnie tu zaraz od granicy, z Munkacza albo Ungwara? — ozwał się znowu zwrócony do młodego lekarza.

Lajos zmięszał się cokolwiek, ale odpowiedział spokojnie:

— O nie, ja aż z Pesztu.

— Aż z Pesztu!

Tu oczy pana Pamfiliusza Schabengaucha von Saperdepiksa padły na Leonię.

Młoda dziewczyna wyglądała blada i drżąca i jakiś silny niepokój malował się w jej spojrzeniu

Pan respicyent skinął głową i zaczął się bawić błyszczącemi guzikami swego munduru, potem nieznacznie zerknął na młodzieńca i w przelocie zatrzymałsię na bliźnie jego czoła.

— Pan doktor Węgier? — zapytał jeszcze tonem dobrodusznym i obojętnym.

— Węgier, — odpowiedział młodzieniec, ale się jakoś zawachał przy tem wyznaniu.

Pan Schabengauch von Saperdepiks skinął głową po przyjacielsku i uderzył w ostrogi.

— Polak Węgier dwa bratanki! — ozwał się podniesionym głosem i wybuchł śmiechem, jakby powiedział jakiś dowcip arcyzabawny.

Pani Zbąska prze cały ciąg tej rozmowy wydawała Olenie jakieś ciche instrukcye dla kucharza, a teraz obróciła się żywo do respicyenta.

— Pan respicyent zapewne na swym objeździe? — zapytała.

— Pani dobrożyjko ja teraz łapim dwa muchy do barszczu, ja objeżdżam gorzelnie i ja będę przeszukał te góry, — odpowiedział i tu z ukosa rzucił okiem na młodzieńca.

Lajos zadrżał czegoś w tej chwili.

— A kogoż pan chce szukać! — wykrzyknęła Leonia.

— Ja tu będę łapał bakuniarzy, co oni jak dawniej przenoszą bakun z Węgier.

Leonia odetchnęła.

— Więc pan dłużej zabawi w naszych

stronach? — przemówiła gospodyni domu.

— O nie, tak b a r d z o d ł u g o ja nie będę l a p a l tego g a l g a n c t w a, ale ja zawsze będę p r o s i l p a n i d o b r o ż y j k i o jaki kącik w oficynach.

—Każę panu przyrządzić jego zwykły pokój.

Pan respicyent ukłonił się z wielką galanteryą i jak mógł najwymowniej uniewinniał się ze swego natrętctwa, a potem szybko wpadł na właściwy sobie tor rozmowy, — zaczął wysypywać kram uzbieranych w okolicy nowinek, wyciągał rozmaite anegdotki przestarzałe, a w końcu przyszedł do swej głównej forsy humorystycznej, do opowiadań o rozmaitych pociesznych przygodach, w których sam w najśmieszniejszem występował świetle.

Już to w ogóle wszyscy humoryści niemieccy posiadają w wysokim stopniu talent bawić publiczność kosztem własnej osoby.

Saphir czuł się najdowcipniejszy, kiedy określał swoje podobieństwo do orangutana, a Heine kiedy zaczął drwić z siebie, ojczyzny i własnej żony.

Pan Pamfiliusz Schabengauch Edler von Saperdepiks nie był ani Saphirem ani Heinem, niemniej przeto czuł się najszczęśliwszym

w świecie, jeżeli na koszt własny nastręczył komu sposobność do śmiechu.

Wszakże należy mu oddać tę sprawiedliwość, że nie lękając się śmieszności dla własnej osoby, nigdy nie śmiał targnąć się ani na pamięć swego bohaterskiego przodka, Habakuka, pierwszego w pośród Schabengauchów von Saperdepiksa, ani na osobę swej czcigodnej połowicy.

Już co do tego ostatniego punktu, to był ostrożnym aż zanadto.

Zauważano nawet, że kiedy mówił „moja żona," to przy „moja" oglądał się zawsze na wszystkie strony, jakby się lękał potrącić o jakąś opozycyę lub niewiarę, a przy „żona" to był tak poważny i uroczysty jak sam uosobiony Sakrament Małżeństwa.

Złośliwcy utrzymywali, że pan Pamfiliusz Schabengauch von Saperdepiks większych jeszcze używa prekocyi i poważniejsze jeszcze stroi miny, kiedy mu przyjdzie powiedzieć: "moje dzieci!"

XI.

ZDRADA.

Nie wiodła się dziś rola dowcipnisia panu respicyentowi. Wszystkie jego najmozol-

niej wykonane koncepty trafiały na najniewdzięczniejszych słuchaczów.

Pani Zbąska wydawała się czegoś zamyśloną, Leonia smutną i pomięszaną, Lajos niespokojnym i roztargnionym.

Spostrzegł to wszystko poczciwy Szabengauch, ale tem nie zrażał się bynajmniej, prawił swoje, kręcił brodawki na nosie, i sam jeden śmiał się do rozpuku z własnych konceptów.

Leoni się tylko zdawało, że ilekroć spojrzał w przelocie na Lajosa, zawsze dziwnie jakoś zabłyszczały mu oczy. Ale młoda dziewczyna tak była egzaltowaną że oddawna już różne nieprawdopodobne przewidywały jej się rzeczy.

Tymczasem wśród toku rozmowy nadeszła pora objadowa, oczekiwał jej już dawno z upragnieniem pan Schabengauch, a na pierwsze zaproszenie zerwał się skwapliwie i posunął do przyległego pokoju.

Przy nakrytym stole siedział już z serwetą zawiązaną pod szyję, nieszczęśliwy pan Erazm.

Dobroduszny respicyent postąpił szybko ku niemu i wyciągnął rękę z serdecznem współczuciem.

— Kochany pan Erazm! Jak służy zdrowie? — zawołał.

Ale pan Erazm był czegoś w złym humorze i zamiast uścisnąć wyciągniętą ku sobie rękę, palnął ją z całej siły ciężką łyżką srebrną.

— Uff! — krzyknął respicyent, i z bolesnem skrzywieniem dmuchnął po swych tłustych palcach, — pan Erazm zawsze lubi szpasować.

Pani Zbąska zaczęła go przepraszać za niegrzeczne znalezienie się idyoty, ale pan respicyent nie dał sobie ani mówić.

— O, pani dobrożyjko, ja się rozumiem na szpasirowaniu! — zawołał z dobrodusznym uśmiechem.

I zakasawszy cokolwiek rękawy od munduru, podwiązał serwetę pod brodę i z całą systematycznością zabrał się do jedzenia. Ale jakieś już widoczne ciężyło na nim nieszczęście, jak przed objadem musiał śmiać się za wszystkich, tak znów przy objedzie musiał jeść za wszystkich. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, że jeden i drugi ciężar wypełnił bez szemrania z jak największą sumiennością.

Rozmowa przy stole toczyła się bardzo

leniwo, wszyscy mieszkańcy krużoskalskiego dworu byli czegoś w złym humorze, a Lajos i Leonia widocznie zaniepokojeni. Pan Schabengauch von Saperdepiks z systemu nigdy dwóch rzeczy naraz nie robił, jak jadł, to nie gadał, a jak gadał, to nie pił, więc i teraz milczał zawzięcie, a wzrok topił zupełnie w pełnych półmiskach, które zmiatał i wypróżniał jak kontrabandę.

Dopiero przy czarnej kawie odezwał się z jakiemś słówkiem, odsapnąwszy z pełnej piersi, a potem po długich wstępach i ceremoniach przemówił się o wolność zapalenia cygara. Lubo bowiem na cześć swego szczytnego protoplasty, niezgasłej pamięci Habakuka Saperdepiksa, zażywał zawzięcie tabakę, to przy czarnej kawie pozwalał sobie wypalić regularnie po objedzie jedno cygaro.

Nareszcie pani Zbąska podniosła się od stołu i zaprosiła gości napowrót do bawialnego pokoju.

Pan respicyent z ciężkiem westchnieniem odwiązał serwetę z pod brody, odkasał rękawy i powolnym krokiem ruszył za towarzystwem.

— Ja już będę zaraz c a l o w a l rączki p a n i d o b r o ż y j k i, — ozwał się utru-

dzonym głosem, — bo ja już będę wziąć się do amtirowania.

Nim to nastąpiło, usiadł na wygodnym fotelu i poruszywszy kilka razy ustami, jakby odżuwał smak spożytych przed chwilą potraw, odezwał się na nowo:

— Pani dobrożyjka musiała słyszeć o tem rozbójniku Rozsza Sandor, co to on wielki huncfot. Otóż kto jego teraz będzie złapać, to będzie brać 10.000 reńskich, to już wyszło amtlich.

Tu pan respicyent obojętnem okiem potoczył po ścianach pokoju.

Leoni się zdawało, że wzrok jego zatrzymał się dłużej na twarzy Lajosa, a ten właśnie w tej chwili pochylił czegoś głowę na piersi i coś jak dreszcz przemknęło po jego twarzy, taż pobladła i przestraszonem okiem rzuciła na matkę.

Pani Zbąska siedziała na kanapie i w zamyśleniu spoglądała na mówiącego, jakby tylko pół uchem słuchała jego opowiadania.

— A ileż może mieć lat ten Rozsza Sandor! — wykrzyknęła nagle młoda dziewczyna z takim jakimś dziwnym pośpiechem, że aż ostatnia głoska Sandora utkwiła jej w krtani.

Pan Schabengauch von Saperdepiks podciągnął brwi pod sam szczyt swego niskiego czoła i z ważną miną pokiwał głową.

— Któż to może wiedzieć? hm! Ja miałem raz gniadą k o b y l ę z czarnym ogonem i łysym nosem, no to ona zawsze miała siedm lat na zembach, a ona była a k u r a t tak stara jak moja Pepi.

Nie wiele snać skorzystała Leonia z tego tłumaczenia, ale się uspokoiła widocznie i uśmiechnęła się nawet, jakby drwiła sama z siebie.

Pan respicyent rzucił okiem na młodego ciągle w zamyśleniu pogrążonego doktora i rzekł swym zwykłym dobrodusznym wyrazem:

— A pan doktor będzie jeszcze długo kurować pana Erazma?

Lajos ocknął się raptem.

— Jutro przededniem wybieram się powrotem, — odrzekł prędko.

— Szkoda, — szepnął pan respicyent.

— Dla czego?

— No bo ja za parę dni będę jechać do Ungwaru, to jabym pana doktora wziął z sobą.

Lajos ukłonił się nic nie odpowiedziawszy.

Pan respicyent kiwnął głową dobrodusznie.

— Ja jeszcze po tej wojnie nie był w Węgrach, — przemówił po chwili, — a pan doktor no, musi pamiętać tę wojnę? — dodał i tu już wyraźnie zatrzymał wzrok na bliznie młodzieńca.

— Nie ma przecież roku jak się skończyła, — odparł Lajos sucho i mimowolnie ręką musnął po czole.

— O, ja był także na wojnie, — poderwał spiesznie pan respicyent i nadął się z dumą i powagą, — pod Leipcykiem no, to ja mało na sztrych nie zabił Napoleona. Bo ja bardzo nie lubił tego Napoleona, bo to widzi pani dobrożej on oszukał Polaków, a ja kocham Polaków, — dorzucił z emfazą. — Ja się przyznam panu dobrożij, że ja nie bardzo się cieszę i z tego młodego Napoleona! On teraz lepszy, no to i tamten jak był młody to był lepszy, ale on jak będzie stary, to on także gotów robić niespokój pomiędzy nacye i sprawić rozmaite subiekcye monarchom.

Jakoś nikt nie słuchał politycznych uwag pana respicyenta, przestał więc w dalsze podobne zapuszczać się wywody i potrącił o

jakąś kwestyę gospodarską.

Pani Zbąska odpowiedziała uprzejmie choć widocznie czemś innem była zaprzątniętą

Lajos siedział ciągle milczący, zamyślony, a nagle porwał się z krzesła i chwycił za kapelusz.

— Przepraszam, — rzekł na pytające spojrzenie Leoni, — że muszę państwo porzucić na chwilę. Czuję nieznośny ból głowy i radbym się przejść po świeżem powietrzu.

— Pan doktor chory! — zawołał poczciwy respicyent z ubolewaniem.

— Do widzenia zatem jeszcze przed pożegnaniem,—ozwała się grzecznie pani Zbąska.

Lajos wyszedł z pokoju, a za krótką chwilę ujrzała go Leonia przez okno w szpalerze ogrodu. Szedł z pochyloną na piersi głową, a znać jakieś przykre wstrząsały nim myśli, bo jedna ręka zwieszona niedbale rzucała się jakby w gestach spazmatycznych.

Pan Schabengauch von Saperdepiks milczał krótką pauzę po wyjściu młodzieńca. Potem z ukosa zerknął na Leonię i rzekł od niechcenia:

— Ten pan doktor to b a r d z o przyjemny człowiek.

— Bardzo, — potwierdziła krótko pani Zbąska.

. Leonia nic nie odpowiedziała, ale cała oblała się rumieńcem, bo zdało jej się, że w ukośnem spojrzeniu pana respicyenta przebijało się jakieś szyderstwo złośliwe. Na nieszczęście w tej chwili spojrzała na nią matka i rumieniec ten tknął ją niemile.

Pan Schabengauch von Saperdepiks odsapnął nagle z pełnej piersi i spojrzał na zegarek.

— S a p e r m e n t już trzecia godzina, trzeba się brać d o a m t r o w a n i a.

— Pokój dla pana przyrządzony.

Pan respicyent podniósł się ciężko z krzesła i zaczął przypasywać pałasz, który dla wygody odpiął idąc do stołu.

W tem wbiega Ołena.

— Proszę pana komisarza, dwóch rewizorów przyprowadziło jakiegoś dziada i potrzebują do pana komisarza! — zawołała w progu.

Pan respicyent pochwycił za czapeczkę i co tchu pożegnał się z paniami.

Za chwilę słychać było tylko brzęk jego szabli i ostróg w przyległym pokoju, a matka i córka pozostały same.

Pani Zbąska miała minę poważną i uroczystą, a w oczach jej malował się jakiś smutek pomięszany z zakłopotaniem. Leonia nie widziała tego wyrazu w twarzy matki, bo od czasu jak się znowu ujrzała z nią sam na sam, jakiś osobliwszy owładnął ją niepokój i jakaś trwoga tajemna ścisnęła jej serce.

Młoda dziewczyna przeczuwała, że matka zechce wszcząć na nowo przerwaną zrana rozmowę, a sama już myśl o tem stawała się jej nad wyraz ciężką i przykrą.

Pani Zbąska musiała widzieć i odgadywać ten wewnętrzy stan córki, bo z jakiemś przykrem uczuciem zmarszczyła czoło i zawahała się na moment, ale wnet wstrzęsła głową i siadając w pobliżu córki, ozwała się z przymuszonym spokojem i udaną swobodą:

— Moja Leonio, nie dokończyłyśmy podobno naszej ranniejszej rozmowy.

Leonia podniósła oczy do góry z wyrazem, jakby chciała powiedzieć:

— Zginęłam!

Biedna dziewczyna! to pierwsza tajemnica serca, ukrywana przed matką, a nawet przed własnem jeszcze sumieniem, przejmowała ją tą trwogą tajemniczą, z której sobie sama nie mogła zdać sprawy.

. . . .

Pan respicyent tymczasem szybkim krokiem wybiegł na ganek, ale tu przystanął nagle i ostrożnie obejrzał się dokoła.

— Nie ma żadnego pies? — zapitał czekającego na dworze rewizora.

Do szczególnych własciwości pana respicyenta należało i to, że z zbytniej troskliwości o swe łytki mimo pałasza i ostróg niepospolity respekt czuł przed psami, i za nic w świecie nie odważyłby się pójść na ich spotkanie.

Na szczęście jednak wszystkie psy krużoskalskie stały na uwięzi i zacny potomek bohaterskiego Habakuka Schabengaucha, pierwszego na świecie Saperdepiksa, mógł bezpiecznie dostać się do przygotowanego dla siebie pokoju w oficynach.

W progu obrócił się do idących za sobą rewizorów i ozwał się z wojskowa rozkazującym głosem:

— Zaczekajcie trochę!

Wszedłszy do pokoju, rzucił szybko okiem dokoła i z partesem potarł czuba i wąsów. Znać tknęło go coś niemile, bo ten poczciwy dobroduszny wyraz zatarł się w twarzy, a natomiast wystąpił mars na czoło i su-

rowa powaga przebijała się w oczach.

— Oni myślą, że ja taki głupi jak byk, — rzekł sam do siebie półgłosem, — oni mówią, że on jest doktor, on kiedy on jest doktor, to on ma macać za puls i patrzeć na język, ale na co on ma czoło pokrajane, i na co on jest Węgier? Saperment! ja był na całej wojnie anno 1813 i ja był tylko raz plessirowany w łytkę, a on ma plejzur przez czoło, hm, hm. Ja nie jest tak glupi, no, ja sobi jest poczciwy, ale ja swój amt pilnuję i basta!

I tu pan Schabengauch von Saperdepiks zaczął szybkim krokim przechadzać się po pokoju i coś niepośledniego ważyło się w jego głowie, bo wnet naprzód naszczerzył wąsy, wnet palcami zabębnił po nosie, a niekiedy odsapnął głośno i coś jak Kreuzdonnerwetter mruknął przez zęby.

Ale nakoniec przypomniał sobie, że w sieniach czekają rewizorowie z jakimś dziadem pojmanym. Otworzył drzwi z pompatyczną powagą i skinął na czekających.

Do pokoju weszło dwóch rewizorów w zielonych mundurach, a z nimi dziad w łachmanach, w którym na pierwszy rzut oka

poznajemy naszego znajomego z wąwozu i Jewdoszynej chaty.

— A co tam? — zapitał pan respicyent z całym zasobem swej urzędowej powagi.

Starszy wiekiem rewizor wysunął się naprzód.

— M e l d u j e m pokornie — ozwał się wyprostowany w całej postawie, — ten dziad meldował, że ma coś meldować panu respicyentowi.

Wysłuchawszy tego „meldowania," pan respicyent bystro i przenikliwie wpatrzył się na chcącego „meldować" żebraka.

— Co ty za jeden? — zapytał.

Żebrak podniósł głowę i wyszczerzył zęby do pytającego.

— Wielmożny pan mnie nie poznaje? — przemówił podsuwając się bliżej.

Pan Schabengauch von Saperdepiks postąpił o krok zdziwiony i bacznie wpatrzył się w żebraka, który ciągle uśmiechał się jak do dobrego znajomego.

— Ah! — zawołał nagle pan respicyent i poskoczył jeszcze o krok naprzód.

— K r e u z d o n n e r w e t t e r ! to ty?

— A ja, wielmożny panie!

— I cóż ty tu robisz?

Żebrak westchnął ciężko i głowę pochylił na piersi.

— Skuczniło mi się za górami, wielmożny panie, nie mogłem wytrzymać i wróciłem, niech się dzieje co chce!

Tu góral podniósł głowę, a w szczerości tego wyznania zatarł się prawie ten szpetny i odpychający wyraz jego twarzy.

Pan Schabengauch von Saperdepiks z impetem chwycił się za największą brodawkę swego nosa.

— I nie bałeś się! — wykrzyknął.

Żebrak wzruszył ramionami.

— Ha cóż było robić, — odpowiedział, — kiedy mię coś jak kleszczami ciągnie nazad w góry. Nam urodzonym w górach strasznie ciężko umrzeć na tych szerokich, smutnych dołach.

Pan respicyent machnął ręką jak człowiek, który czego nie może pojąć zgoła, i w wielkiem wzburzeniu przeszedł się raz wzdłuż pokoju.

— I cóż mi masz meldować?—zapytał nagle.

Żebrak spojrzał z ukosa po obu rewizorach.

— Jabym miał coś powiedzieć, ale tylko samemu wielmożnemu panu, — wycedził

z niejakiem wachaniem.

Pan respicyent dał peremptoryczny znak rewizorom, aby wyszli z pokoju.

— No Kreuzdonnerwetter! — wykrzyknął potem, — to ty Łysy Pańko!

Łysy Pańko uśmiechnął się z boleśnym uśmiechem.

— Przed ośmnastą laty wydałem wielmożnemu panu Maksyma Borbę...

— Aha, — mruknął respicyent.

— A przed czterema latami, — ciągnął dalej zwolna były bakuniarz, — tośmy byli razem, tam na Ma......

Nie dokończył, bo pan respicyent skoczył jak oparzony na przekór swemu bohaterskiemu przodkowi Habakukowi, który jak opiewają kroniki i po utracie swej sześciocalowej ozdoby twarzy nie wypadł z flegmy zwyczajnej.

— Dureń jest!—bąknął gromowym głosem na przestraszonego górala,—czego chcesz?

Łysy Pańko ukłonił się do nóg pana respicyenta.

— Wielmożny pan pamięta, — przemówił po chwili, — że kiedym wtedy pokazał ścieżkę, to i Maksym Borba zginął i ten ma-

ły chłopczyna gdzieś szczezł jak kamień w wodę.

— No, no, i cóż z tego?

— No to i ja sam musiałem uciekać, bo Wargaty Jurko i inni bakuniarze chcieli mię zabić.

Pan Pamfiliusz Schabengauch von Saperdepiks wzruszył ramionami.

— Oni i mnie obiecali bić, — mruknął.

Góral uśmiechnął się niby z pokorą ale widocznie z szyderstwem.

— Wielmożny pan nie siedzi w górach, ale ja co innego...

— No, ale do czego to wszystko idzie?

— O d ż e wielmożny panie, jabym koniecznie chciał umrzeć w górach, ale Wargaty Jurko mnie pozna.

— No to cóż?

— To jabym chciał, żeby wielmożny pan jego złapał...

— B a r d z o dobrze, ja jego z l a p i m, — podchwycił respicyent skwapliwie, — ale tylko mi go daj!

Łysy Pańko kiwnął głową i chytrze łysnął oczyma.

— Wielmożny panie, ja ich dzisiaj podszedł w górach, i wielmożny pan może wszy-

stkich bakuniarzy złapać na jeden raz.

Tu już pan respicyent wypadł zupełnie z natury swego protoplasty Habakuka, z takim ferworem niepohamowanym rzucił się ku mówiącemu.

— Kreuzdonnerwetter! gadaj co ty słyszał!

Łysy Pańko uśmiechnął się przebiegle.

— Słyszałem, że tej nocy wybierają się w całej bandzie do Węgier.

— Którędy?

Łysy Pańko znowu chytrze łypnął oczyma.

— Niewiem, ale wielmożny pan może się dowiedzieć, — dodał prędko.

— Jak?

— W parowie koło Borowej debry siedzi Jolko z końmi kradzionemi.

— Siedzi! — wykrzyknął pan respicyent, oburącz chwytając się za nos zawiesisty.

Łysy Pańko ciągnął dalej:

— Czeka na noc, aby kradzione konie przeprowadzić do Lutowisk, jak go wielmożny pan złapie a przyciśnie, to on wyspowiada manowce, a ja już potem dobrze poprowadzę rewizorów.

Pan respicyent był już za drzwiami i już

krzyczał na rewizorów.

I nie minął kwadrans, a Łysy Pańko z dwoma rewizorami pomknął ku znanemu nam z ranniejszej sceny parowowi.

Pan Schabengauch von Saperdepiks zamaszystemi krokami przechadzał się tymczasem po pokoju i wymachywał rękami na wszystkie strony, a twarz w dziwne wykrzywiał grymasy.

Nagle spojrzał na zegarek i aż wstrząsł się z przestrachu.

— Blisko piąta! — krzyknął, — a ja jeszcze nie przespał się po objedzie, ja tego będę odchorować.

I co tchu odpasał szablę, zrzucił mundur i jak długi rozciągnął się na sofie.

Drzemka poobjednia nalażeła do niezbędnych funkcyi życia poczciwego respicyenta i od czasu przeniesienia się do cywilnej służby, raz tylko szczególny odmówił sobie tej lubej nawyczki. Ale to wtedy miał wielką „nieprzyjemność," jak mówił, najmłodsza córka „padła" mu na szkarlatynę.

Dzień dzisiejszy miał być niemniej fatalny dla niego. Poczciwiec choć z całej siły zaciskał powieki i sapał jak miech rozdęty, nie mógł żadną miarą zdrzemać na prawdę.

Ten młody doktór węgierski stał mu ciągle przed oczyma, a ta jego kresa przez czoło tak się jakoś szerzyła, przeciągała, rozwierała, jakby uśmiechała się szyderczo z koralowego nosa i przedrzyźniała złośliwie urzędowej powadze pana respicyenta.

— On jest doktor, powiada, — mruknął przez zęby pan Schabengauch von Saperdepiks, obracając się to z prawej na lewą to z lewej na prawą stronę, — hm, hm! ja jestem poczciwy, b a r d z o poczciwy, ale ja mój a m t pilnuję.

Widocznie jakaś ciężka myśl zagnieździła się w mózgownicę respicyenta i wstrząsła jego urzędowem sumieniem. Sapał niespokojnie, kurczył nos na wszystkie strony i kręcił w garści ucho z kolczykiem, co u niego było zawsze znakiem niepospolitego wytężenia umysłowego.

Tymczasem chwila upływała po chwili, a niebawem zrobił się głośny ruch na dziedzińcu, a u drzwi respicyenta ozwało służbowe pukanie. Łysy Pańko nie zawiódł w swem doniesieniu. Poprowadzeni przez niego rewizory przydybali w samej rzeczy żyda Jolka z trzema końmi ukradzionemi.

Pan Schabengauch von Saperdepiks zer·

wał się na równe nogi, przywdział napowrót swój mundur zielony i ułożył swą twarz trędowatą we wszystkie fałdy i rysy swej zwyczajnej powagi.

Pojmany wspólnik bakuniarzy, żyd Jolko, wszedł pod strażą drżący jak liść, a bielszy od śmiertelnej koszuli, jaką w sądny dzień widział na barkach samego rabina.

— Wielmożny panie arcy-komisarz, — dzwonił w przestrachu zębami, — ja niczego nie winien! ja biedny żydek, ja handluję sobie uczciwie, ja zawsze był z rządem, ja nie należał do żadnej gwardyi!... Wielmożny panie arcy-komisarz, co te wielmożne rewizory odemnie chcą, ja im n i c z e g o nic nie zrobił.

— H a l t ' s M a u l V e r f l u c h t e r ! — zagrzmiał pan respicyent i w imponującej pozycyi wspiął się na palce jak ś. p. Jowisz, gdy nieboszczykom bogom ciął kapituły.

Umilknął żyd przestraszony, a pan Habakuk z rękami w kieszeniach mierzonym krokiem przeszedł się po pokoju, a potem siadł przy stoliku, na którym leżały przygotowane wszelkie potrzeby i przybory do pisania.

Pan respicyent zaciągnął naprzód skórzany futerał na prawy rękaw munduru, potem pióro pochwycił do ręki i otarłszy o włosy, oblizał w gębie i przejrzał starannie rozkłuty koniec. Nareszcie dobył arkusz siwego papieru, przełamał w pół systematycznie, i ośliniwszy sumienie brzegi i rogi, rozłożył przed sobą nawzdłuż. Teraz napowrót pochwycił pióro, zamachał się niem kilka razy w powietrzu, a nareszcie z głośnem skrzypieniem i głośniejszem jeszcze sapaniem szurgnął po papierze.

Żyd zadrzał instynktową grozą. Na samej górze siwego arkusza stanął w kunsztownych zakrętach trzysylabowy wyraz...

Pan respicyent uśmiechnął się do niego z lubością, łypnął oczyma, wydął policzki, cmoknął językiem i wymówił go głośno z naciskiem i emfazą:

— Protokoll!!!

XII.

KRYZIS PRZEWIDYWANA.

Już znacznie chyliło się ku zachodowi.

Słońce tonęło za ścianą gór, a tylko jeden ostatni pęk gasnących promieni prześliz-

giwał się przez wyższe wierzchołki i jakby na jakieś smętne i tęskne pożegnanie zazierał do pokoiku Leoni.

Zastajemy młodą dziewczynę znowu samą jedną. Gasnące promienie przedzierają się przez kwiaty i firanki i na ścianach i posadzce, jakby magiczne rysują smugi i cienia.

Leonia przechadza się po pokoju, a tylko od chwili do chwili to przystanie, to usiędzie na moment i znowu zrywa się prędko i chodzi dalej w jakiemś dziwnem zamyśleniu.

Znać ta poufna rozmowa z matką, w której pozostawiliśmy ją w poprzednim rozdziale, jakieś niespodzianie silne wywarła na niej wrażenie i serce jej czy umysl poruszyła do głębi, bo od owego momentu nie może się uspokoić młoda dziewczyna,

Prześliczną twarzyczkę jej okrywa żywy rumieniec, oko płonie jakimś gorączkowym blaskiem, a widać po ciągłem wzdymaniu się muślinkowej sukni na przecudnie zaokrąglonych piersiach, że i tam wewnątrz niespokojne i niezwyczajne ocknęły się prądy.

Na białych przezroczystych skroniach wystąpiły wyraźniej drobne żyłki niebieskawe, a poznać po ich wzdęciu i wyprężeniu, że krew pulsuje w nich szybciej niż zazwyczaj. I poza

alabastrową skórą czoła mkną jakieś chmurki jakby drobne pyłki eteryczne, goniące prześcigające się wzajem.

Młoda dziewczyna podniesie czasem rękę i muśnie po czole i skroniach, jakby przemocą chciała przytłumić wszelkie niewczesne prądy, ale i ta ręka jej biała jak szata anioła drży widocznie i zamiast uśmierzać pulsa, podnieca raczej ich gwałtowność.

Cóż się dzieje z młodą dziewczyną? Oczywiście coś strasznego, okropnego, coś takiego, co było silniejszem od jej natury i mąciło równowagę jej uczuć i myśli.

Kilka poufnych słów matki wywołało w tem niewinnem, anielskiem łonie jakąś burzę szczególną, otworzyło pole jakieś walce przemożnej.

Dziwna rzecz, przed kilkunastą dniami uczuwała Leonia ze strachem i przerażeniem jakąś zagadkową czczość duszy, jakąś niewytłumaczoną próżnię serca, słowem jakiś brak, jakieś nieuzupełnienie całej swej istoty, a teraz po tej nie dawnej rozmowie z matką uderzyło w nią jak gromem zupełnie przeciwnie zjawisko.

W tej chwili taki nawał uczuć rospierał jej serce, że pierś wzdymała się do pęknięcia, a o-

wa osobliwsza czczość duszy ustąpiła przed natłokiem jakichś nowych, potężnych władz, które przepełniły ją całą do nieokreślenia.

Zkądże jednak wzięło się wszystko to tak nagle, i jakiegoż rodzaju była ta niedawna rozmowa z matką, że tak magiczny wywarła wpływ?

Rzecz bardzo prosta!

Te przelewające się uczucia, te nowe tajemnicze władze duszy nie zrodziły się nagle i znienacka, ale powstały, gromadziły się i ustalały powoli, stopniowo, jak to widzieliśmy w poprzednich rozdziałach. Dzisiejsze przeobrażenie gwałtowne nie wypłynęło od razu, ale postępowało krok za krokiem.

Nie widziała i nie poznała tego młoda dziewczyna, bo przyjmowała ten powolny napływ nowych wrażeń i uczuć, nie mając świadomości o ich prawdziwej istocie i doniosłości.

Jest to ogólny rys natury ludzkiej, że wtedy tylko uczuwa prawdziwą doniosłość i istotne znaczenie otrzymanych wrażeń lub wsiąkniętych w siebie wpływów, kiedy jakiś wypadek zewnętrzny, jakiś nacisk obcy zwrócił na nią należytą uwagę.

Leonia widziała się w tej chwili jakby porwaną jakimś prądem gwałtownym i zawieszoną w powietrzu między niebem a ziemią. Do nieba rwało jakieś nieprzezwyciężone pragnienie, jakaś tęsknota nieukojona; do ziemi przykuwały jakieś przykre a silne więzy. Jeden lub drugi pociąg musiał zwyciężyć! Potrzeba tylko albo stłumić wszelkie niewczesne porywy duszy i tętna serca, albo przyznać się stanowczo i wyraźnie do wielkiego uczucia, wypowiedzieć śmiało wielkie i potężne słowo: „kocham!"

Na którąż stronę przechylała się szala?

Nie wiedzieć.

Leonia ciągle pasowała się z sobą i drżąca jak liść osiki wnet bladła, wnet jakimś gorączkowym kraśniała rumieńcem.

Nareszcie usiadła na kanapie i obie dłonie przyłożyła do twarzy. Ciężkie westchnienie gdzieś od najgłębszego dna serca wyrwało się z jej ust, a za niem nastąpiło jakby łkanie przytłumione.

Boże mój, Boże! — szepnęła ledwie zrozumiałym głosem.

Umilkła, jakby skamieniała. W tem jedną rękę opuściła bezwładnie na dół, a na drugiej wsparła głowę. Twarz jej wydaje się

już spokojna choć strasznie blada, około ustek zarysował się lekki uśmiech przezwyciężonego bolu czy osiągniętej rezygnacyi, na pół przymrużone oczka miały jakiś wyraz senny, marzący, nieprzytomny.

Znać zwalczyła tę krizis fatalną, czy też może jakiś chwilowy rozejm zaszedł w przykrej walce, bo dusza młodej dziewczyny w jakichś dziwnych, uroczych błąkała się widziadłach.

Nad jej głową zawisła jakaś kopuła tęczowa, a takie jakieś cudowne blaski i barwy padały z tej kopuły, taka niebiańska wiała z niej atmosfera, taka nadziemska zapełniała ją dokoła harmonia, że dusza w niewysłowionej tonęła rozkoszy, a olśnione zmysły zapomniały o ziemskiem otoczeniu.

Ale pod tą kopułą cudowną nie była Leonia sama. Tuż koło niej rysowała się jakaś druga promienna niebiańskiem przemienieniem postać. Oboje patrzeli w siebie, i spojrzenia ich spłonęły w jeden cudowny promień, dusze zlały się w jedną myśl świetlaną, serca zbiegły w jedno uderzenie, ręce splotły w jeden ucisk.

Kto była ta postać, poznała Leonia od pierwszego wejrzenia, a nieczuła ani siły, a-

ni woli oderwać się od jej boku. Jakieś magiczne koło skrępowało ją urokiem nieprzełamanym.

Wśród tysh cudownych rojeń nie spostrzegła biedna dziewczyna, że drzwi odchyliły się przed chwilą i w progu stanęła cicho jakby wachając się czegoś Ołena.

Patrzała na pannę i jakby odgadując jej cudowne ułudy, nie śmiała postąpić dalej.

Nareszcie krząknęła głośuo i posunęła naprzód.

— Proszę panny, — ozwała się półgłosem.

Leonia wstrzęsła się ocucona z swego snu cudownego i przestraszona spojrzała na młodą góralkę.

Ołena miała w tej chwili jakąś niezwykłą fizyognomię. Wyglądała blada i pomięszana, oko jej biegało niespokojnie, a w całej postaci przebijało się coś tajemniczego.

Leonia instynktowo domysliła się czegoś złego i przerażona porwała się z kanapki.

— Co tobie, Ołeno? — zawołała.

Młoda góralka wróciła do drzwi i zamknęła je starannie za sobą, potem ostrożnie obejrzała się dokoła i przysunęła się do samej panny.

— Cóż tobie? — powtórzyła Leonia, a serce jej zaczęło bić niemiłosiernie.

— Mam pannie coś ważnego powiedzieć, — szepnęła Ołena.

— Przestraszasz mnie!

— O niech się panna nie boi, — poderwała prędko uspokajającym tonem góralka, — to nie jest nic tak bardzo złego, jednakowo trzeba temu zapobiedz.

— Czemu?

Ołena zniżyła jeszcze więcej głos i ozwała się tajemniczo:

— Musiała panna wiedzieć, że do tego naszego respicyenta czy komisarza całe przedpołudnie jakieś podejrzane przywlekały się osoby. Naprzód przyszedł jakiś dziad z takiemi oczyma, że aż febra bierze, jak spojrzy na człowieka.

— Widziałam go, — mruknęła Leonia.

— Po tym dziadzie, — ciągnęła dalej Ołena, — przyprowadzono jakiegoś żyda chudego i strasznego jak śmierć!...

— Odprowadzono go podobno do aresztu do sędziego.

— Nie wiem już tego, ale to mniejsza wszystko, proszę panny, ja nie o nich

chciałam mówić, przyszłam do panny, z czemś innem zupełnie.

Nie masz nic na świecie, coby było samo w sobie dobrem lub złem, dopiero świadomość sumienia robi je jednem lub drugiem — powiedział nieprześcigniony znawca natury ludzkiej, Szekspir.

Człowiek może nieraz z najspokojniejszem sumieniem brnąć coraz głębiej w najszpetniejsze narowy, a niepoczuje ich ohydy, aż za natchnieniem jakiejś chwili szczęśliwej, lub za jakąś obcą podnietą przyjdzie do tego, że je będzie mógł sformułować i nazwać po imieniu. Dopiero wtedy wzdrygnie się przerażony i nieczuwszy żadnej walki sumienia przed uczynkiem, będzie czuł gorzkie wyrzuty po jego spełnieniu.

Nieraz nagromadzi się w nas znaczna już suma obcych wpływów i wrażeń, a jeszcze zupełniej nie mamy o niej świadomości; niezbędna przy wszelkich wewnętrznych przeobrażeniach walka rozpoczyna się dopiero wtedy, kiedy poznamy sami jasno i wyraźnie, o co chodzi.

Leonia wiedziała od kilka dni bardzo dobrze, że nie jest taką, jaką była niedawno, wszakże nie umiała sobie sformułować, na

czem polega nagła jej zmiana. Zdawało jej się ciągle, że ma jakiś ważny sekret na sumieniu, ale nie potrafiłaby odpowiedzieć sama sobie, na czem zasadza się ten sekret.

Widzieliśmy w jakim stanie psychicznym znajdowała się młoda dziewczyna na początku naszej powieści, łatwo więc pojąć, o ile niebezpiecznem dla jej rozpalonej wyobraźni musiało być to nagle, dziwne pojawienie się dorodnego i wykształconego młodzieńca, osłoniętego cieniem tajemnicy, a opromienionego pewną aureolą bohaterstwa.

Nowe doraźne, nieznane, a nawet nie odgadywane przedtem marzenia spadały jak grad na bujny umysł dziewczyny, wszakże były one tak silne, tak powabne, że poddawała im się bez oporu, nie zastanowiwszy się, zkąd właściwie powstają, na czem się zasadzają i do czego mierzą.

Zagadnienie to przypadło pierwej bacznej matce. Jej oko dostrzegło z przestrachem, że sercem i umysłem córki nowo przeczne zawładnęły potęgi. Z początku jeszcze pomniejszała sobie właściwie niebezpieczeństwo. Zdało jej się, że w tak krótkim czasie nie mogło się stać nic na prawdę strasznego, ale po wytrwalszym namyśle, przyszła do inne-

go przekonania. Nie darmo mówi przypowieść gminna, „że miłość rodzi się za pierwszem wejrzeniem.“ Przypowieść tę znaną u wszystkich narodów, ubrali Indyanie w bardzo poetyczne szaty.

Dusza ludzka — mówi jedno z ich podań mitycznych — ma kształt brzoskwini, ale pewna dobroczynna bogini rozkrawuje ją zawsze na dwoje, i jedną połową obdarza mężczyznę, drugą kobietę. Rozbiegają się w świecie te dwie połowy i nieraz nie zdybią się nigdy: najczęściej muszą się łączyć z innemi obcemi, mniej więcej tylko do siebie przystającemi połowami. Gdzie się jednak spotkają, tam poznają się od razu, od pierwszego momentu spotkania, i wówczas biada obojgu, jeżeli jakaś nieprzezwyciężona zapora stanie w drodze ich połączenia. Albo obie muszą zeschnąć i zamrzeć, albo się połączą na wieki.

Czyż dusze Lajosa i Leoni nie mógły być także podobnemi uzupełniającemi się tylko wzajem połowami?

Przestraszona taką myślą matka postanowiła coprędzej wdać się w tę sprawę. Innem okiem patrzała ona na młodego wychodźcę, jako na człowieka obojętnego, ina-

czej zaś musiała się zapatrywać na kogoś, kto miał zawładnąć najdroższym dla niej skarbem, jej córką jedyną.

Jako taki niemógł nieznany zupełnie młodzieniec odpowiadać zgoła widokom i marzeniom troskliwej matki.

Z całą więc zręcznością i oględnością na jaką się mogła tylko zdobyć, postanowiła kilką słowy przestrogi i zimnego zastanowienia ochłodzić rozbujałą fantazyę posuwającej się za daleko córki. To było przedmiotem rozmowy, jaką zaraz po objedzie, po wyściu respicyenta, wszczęła z poczynającą się oszołomiać jedynaczką.

Czy rozmowa ta osiągnęła pożądany skutek, nie możemy odgadnąć od razu, ale to pewna, że otworzyła oczy młodej dziewczynie na wewnętrzny stan jej duszy.

Leonia wytrzymała z heroiczną siłą upomnienia matki, a dopiero powróciwszy do swego pokoiku, pozwoliła rozpasać się walce wewnętrznej.

Młoda dziewczyna znajdowała się więc w tym okropnym stanie przesilenia, który między uczuciem i rozsądkiem miał stanowczo zwichnąć szale, a który nie mógł trwać dłu-

go, lubo stargał najszlachetniejsze siły serca i duszy.

— To mów że raz.

Ołena skwapliwie zaczęła dalej:

— Jak tego żyda wyprowadzili miałam zapytać się pana respicyenta, czy nie będzie pił kawę, ale kiedy stanęłam pode drzwiami, chciałam się przekonać, czy już pan respicyent sam w pokoju. Zajrzałam więc przez dziurkę od klucza...

— I cóż? zapytała żywo Leonia, której niespokój wzrastał z każdą chwilą, lubo nie mogła jeszcze odgadnąć jego powodu.

Ten pan respicyent nie był sam, został się jeden z rewizorów, ten niby starszy, i obadwaj radzili coś w sekrecie...

Tu Ołena urwała nagle i spuściła w dół oczy.

— Kończ-że! — wykrzyknęła Leonia niecierpliwie.

— Panna mi zakazuje zawsze podsłuchiwać pod drzwiami, — ciągła po krótkiem wahaniu, — ale tym razem to taka jakaś dziwna zdjęła ciekawość, żem przyłożyła ucho do drzwi...

— I podsłuchiwałaś?...

— Tak panno. Nie będzie się jednak

panna gniewać, jak się dowie, com słyszała.

— Cóż takiego?

Ołena obejrzała się mimowolnie i jeszcze do cichszego szeptu zniżyła swój głos przytłumiony.

— Oto ten pan Saperdepiks, czy jak się tam nazywa, dowodził temu rewizorowi, że ten nasz młody doktor z oficyn jest tym sławnym rozbójnikiem węgierskim, co to tak dużo pieniędzy naznaczyli na jego głowę.

— Rozsza Sandor! — bąknęła Leonia, wzruszając ramionami.

— Tak, tak podobno.

I cóż dalej? — pytała Leonia, a ten mimowolny nieświadomy niepokój ustąpił znacznie z jej twarzy.

— Ten rewizor jakoś nie dowierzał, mówił że ten doktor za młody na takiego rozbójnika. Ale pan respicyent obstawał przy swojem. Mówił, że on się tylko z a d a ł młodym, jak jego żona, która się zawsze za daje młodą, choć starsza od niego. Naraz zaś zawołał groźniej, jakby rozgniewany, że mu rewizor nie wierzy: — Jeśli to nie jest Rozsza Sandor, to pewno jakiś inny ptaszek niebezpieczny, rebelizant, którego nie można wypuścić z rąk.

Leonia zbladła nagle jak ściana i uczuła, że zimny dreszcz przeszedł ją od stóp do głowy. Pochwyciła gwałtownie za ramię młodą góralkę i wlepiając w nią bystro oczy, zapytała natarczywie:

— Cóż dalej, cóż dalej? mów prędko!

— Otóż pan respicyent rozkazał, — przejęła prędko Ołena — aby trzech rewizorów zasiadło jutro przed świtem pod samym dworem i jak tylko się ten młody pan pokaże, mają go złapać, okuć w kajdany i prostą drogą zawieść do cyrkułu do Sambora, a tam się już pokaże, kto on jest.

Opowiadanie to przejmowało piekelnym przestrachem Leonię, bo cała drzała coraz mocniej.

— To być nie może! — zawołała, — pan Schabengauch poczciwy człowiek.

Ołena uśmiechnęła się szyderczo.

— Słyszałam jak mówił do rewizora: — Jegoby można tu złapać we dworze, ale ja jestem poczciwy, ja na to nie pozwolę, musicie go chwycić po za dworem i odstawić do cyrkułu w taki sposób, aby ja o tem niby nic nie wiedział, bo ja jestem poczciwy i ja bardzo kocham szlachtę.

Leonia zacisnęła zęby i szybkim krokiem

zaczęła przechadzać się po pokoju.

Twarz jej nie była już bladą jak przedtem, ale płomieniła żywym rumieńcem, a około ust i w oczach roziskrzonych wybił się jakiś osobliwszy wyraz energii i odwagi. Dziwny to był kontrast od tej sennej, rozmarzonej, samą słodyczą i łagodnością tchnącej dziewicy, jak ją na wstępnie zastała Ołena.

Leonia była Polką prawdziwą, a stara przypowieść, że Polki w potrzebie stają się z gołębic orlicami.

Niebezpieczeństwo Lajosa wstrzęsło do głębi młodą dziewczynę, ale zamiast bezsilnem przygnieść ją współczuciem i przestrachem, rozbudziło w niej odwagę i energię, jakiej się nikt nie spodziewał przy anielskiej słodyczy jej charakteru.

— Nie wiesz, gdzie jest teraz pan doktor, Ołeno? — zapytała żywo.

— Zdaje mi się że właśnie co wrócił z gór i zasiadł w altanie w ogrodzie.

— Pójdź-że i zawołaj go tu zaraz.

— Tu do panny pokoju? — zapytała Ołena.

— Tutaj, tutaj! tylko prędko, spiesz

się, — zawołała żywo popychając naprzód Ołenę.

I znowu szybko zaczęła przechadzać się po pokoiku, a obie ręce przycisnęła do piersi, jakby przemocą chciała powstrzymać gwałtowne serca bicie.

— Ja go wyratuję, wyratuję! — szepnęła z trudną do opisania mocą i stanowczością.

Nagle uderzyła się w czoło i postąpiła ku drzwiom.

— Potrzeba uprzedzić mamę, — szepnęła.

A w tej właśnie chwili matka jak zawołana ukazała się w progu. Leonia poskoczyła ku niej z szalonym pospiechem, i chwytając ją konwulsyjnie za rękę, wykrzyknęła jednym tchem:

— Mamo, mamo, musimy go ratować! On zdradzony, chcą go uwięzić, nastawili zasadzkę.

Pani Zbąska drgnęła i twarz jej w przykry skrzywiła się wyraz. Ten gorączkowy ferwor córki tknął ją do żywego, a te wyrazy „on,” „go” jakoś dziwnie niemile zabrzmiały jej w uchu.

— Ależ Leonio, cóż to znaczy, zapomi-

nasz się! — zawołała żywo, a w głosie i oczach jej przebijała się jakaś niezwyczajna surowość.

— Mamo droga, ty niewiesz o niczem! Ołena podsłuchała respicyenta....

Matka przerwała jej nagłym giestem.

— Wiem, wiem o wszystkiem, — podjęła prędko. — Przypuszczony do tajemnicy rewizor przestrzegł Hałajkiewicza.

— A więc nie mamy czasu do stracenia, musimy go ratować! — zawołała Leonia, wstrząsając gwałtownie ręką matki.

Leonio, ty szalejesz, — ozwała się matka z surowem upomnieniem. — Niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie, — dodała łagodząc głos cokolwiek, — zamiast jutro ze świtem, niech tylko dziś z mierzchem wydali się pan Lengyel, a ujdzie wszystkiego.

Jednocześnie z temi ostatniemi wyrazami pani Zbąskiej wszedł Lajos do pokoju. Stanął w progu, a widząc obie kobiety w tak dziwnem usposobieniu, zadrżał nieświadomym jakimś przestrachem i ozwał się nieśmiało:

— Panie rozkazały...

— Tak, tak wołałyśmy pana! — zawołała Leonia z febrycznym pospiechem, ale urwała nagle, bo w dalszych pokojach dał

się słyszeć brzęk szabli i ostróg respicyenta.

Pani Zbąska skrzywiła się jeszcze więcej i ręką potarła gwałtownie po czole, jakby się czegoś wahała. Naraz wstrzęsła zlekka głową i jakby jakąś niemiłą chwytając decyzyę rzekła prędko:

— Leonio oświeć pana o wszystkiem, ja tymczasem postaram się pozbyć respicyenta i wrócę zaraz.

Po tych słowach wybiegła szybko z pokoju.

Lajos i Leonia zostali sami...

XIII.

SAM NA SAM.

Grobowe milczenie nastało w pierwszej chwili.

Po raz pierwszy-to ujrzeli się młodzi ludzie bez świadków, sam na sam.

Do tego spotkania wzdychają zawsze zakochani, ale gdy się w niem znajdą niespodziewanie, to zazwyczaj nie umieją zliczyć pięciu i radziby się skryć pod ziemię.

Jak tylko drzwi zamknęły się za matką, wypadła Leonia z całego toku swej roli, i

drząc cała jak listek, nie śmiała ani spojrzeć na młodzieńca.

A i on wlepił w ziemię oczy i stał zakłopotany, przestraszony, jak żak szkolny przed surowem obliczem rozgniewanego nauczyciela.

Milczeli oboje jak zaklęci, ale za to słychać było głośno przyspieszone bicie ich serc rozkołysanych i żywsze tchnienia ich płonącego oddechu.

Nareszcie zwyciężyło szczęśliwsze położenie Leoni. Ona pierwsza podniosła oczy i przypominając sobie, co miała na sercu przed chwilą, odzyskała przytomność zupełnie.

— Panie! — panie, zawołała żywo, — nie mamy ani chwili do stracenia! Wielkie nie bezpieczeństwo wisi nad pańską głową.

Lajos podniósł w górę oczy, i więcej z wewnętrznem zakłopotaniem i zdziwieniem niż przestrachem wpatrzył się na młodą dziewczynę.

Leonia z wzrastającą żywością ciągnęła dalej:

— Respicyent zwrócił na pana uwagę, wziął pana za Rozszę Sandora.

Lajos rzucił sobą zdziwiony, i po posę-

pnej twarzy jego przeleciał jak błyskawica uśmiech blady.

— Mnie wziął za Rozszę Sandora! — zawołał jakby niedowierzając.

— Tak, za Rozszę Sandora, lub kogoś niemniej niebezpiecznego.

— Z jakich-że powodów?

— Nie wiem, pewna jednak, że nastawił na pana zasadzkę, że jutro masz być przytrzymany i uwięziony...

Lajos wzruszył ramiomami.

— Niepodobna, to jakieś nieporozumienie! — szepnął.

— Zaręczam panu, że wszystko co mówię, jest prawdą niezawodną.

Lajos chciał coś prędko odpowiedzieć, ale się nagle zachwiał. Widocznie jakaś myśl nagła strzeliła mu do głowy i w porę powstrzymała wymykające się już na wierzch słowo. Zadrzał zlekka, powiódł ręką po czole i zacisnął usta, jakby się utwierdzał w jakiemś przedsięwzięciu wewnętrznem.

Leonia nie pojmowała zgoła znaczenia tych gestów, patrzyła drżąca, niespokojna w twarz młodzieńca, i czekała jego odpowiedzi.

Lajos milczał.

— Pan się nie obawiasz? — ozwała się Leonia.

— Mniemam, że jeśli się tak niebezpiecznym wydaję respicyentowi, nie będę już mógł ujść zasadzki.

— Owszem, respicyent, któremu należy na dobrej reputacyi u szlachty, nie chce pana aresztować w naszym domu, masz być przytrzymany dopiero jutro... w drodze.

— W takim razie nie pozostaje mi jak tylko wydalić się prędzej! — zawołał żywo, i w ręku ścisnął kapelusz, jakby w tej chwili gotował się do ucieczki.

Leoni czegoś mocno ścisnęło się serce.

— Czy sądzisz pan, — przemówiła po chwili niepewnym głosem, — że ujdziesz tym sposobem niebezpieczeństwa? Tej nocy ma być obława na bakuniarzy, wszystkie przesmyki będą zapewne obsadzone.

— Nie lękam się tego, ucieknę się pod opiekę Czarnego Matwija, on zna każdą ścieżkę, każdy manowiec w górach, i jestem pewien, że mię przeprowadzi szczęśliwie.

Leonia nie wiedziała, co już na to odpowiedzieć, ale jakoś coraz cięższej robiło jej się na sercu. Rzeczy poszły nie po jej myśli. Ona widziała w najczarniejszych barwach nie-

bezpieczeństwo młodzieńca i myślała, nie bez pewnych samolubnych widoków, że chcąc przeszkodzić nieprzyjaznemu zamachowi, będzie musiała wysilać się na różne środki zaradcze i poświęcenia, i stanie się jego dobrodziejką i wybawicielką w całej doniosłości tych wyrazów.

Tymczasem cała rzecz układała się w bardzo prosty sposób.

Lajos przyjmował wiadomość o grożącem sobie niebezpieczeństwie z męskim spokojem i rezygnacyą, a ocalenie swe zdawał na ręce Czarnego Matwija, do którego Leonia jakąś nieświadomą czuła odrazę.

Młoda dziewczyna nie mogła zataić swych przykrych uczuć i łzy zakręciły się jej w oczach.

— Czyś pan tak pewny tego Czarnego Matwija? — ozwała się drżącym głosem.

— Nie wiem pani, czemu to przypisać, ale człowiek ten od pierwszej chwili jakieś tajemnicze czarodziejskie wzbudził we mnie zaufanie. Pewnego razu w napadzie jakiegoś dzikiego szaleństwa mało mię o śmierć nie przyprawił, jednakowoż czuję, że w każdej chwili powierzyłbym mu życie moje bez wahania.

Leonia nic nie odpowiedziała. Z myśli

jej usuwał się na nowo właściwy przedmiot rozmowy a rozbudzone w piersiach uczucia wrzały coraz gwałtowniej.

Ale i z Lajosem nie działo się lepiej. Jeżeli po swem dziwnem pomięszaniu, w jakiem widzieliśmy go na początku niniejszej sceny z Leonią, wpadł na pozór w tak spokojny i obojętny ton w dalszym toku rozmowy, to mogło to wypłynąć ztąd jedynie, że wszczęta rozmowa wypadła zupełnie z przewidywanego w myślach założenia, i że mógł ją prowadzić, odrywając się od obecnego stanu swej duszy. Wracając zaś w pierwotne swe położenie, musiał poddać się tymczasem wpływom, jakie nim wstrząsały do głębi, kiedy ujrzał się sam na sam z istotą ubóstwianą oddawna w najskrytszych marzeniach.

Silniejszy jednak wolą, umiał się poskromić jeszcze, i milczący, nieruchomy, zdradzał się chyba tylko głośniejszem biciem serca i nerwowem drżeniem całej swej postaci.

Nie tak szczęśliwą była Leonia. Porwana wirem ockniętych na dnie serca uczuć, nie mogła oprzeć się przemożnemu prądowi, i tracąc niejako zupełnie przytomność i pewność siebie, z łzawem okiem i zżymającem łonem postąpiła naprzód, i bezwiednie i mi-

mowolnie kładąc rękę na ramieniu młodzieńca, szepnęła z niepodobnym do opisania wyrazem:

— Więc pan odchodzisz na zawsze...

Lajos wstrząsł i zachwiał się jakby uderzony jakimś silnym prądem elektrycznym. Ręka ta, lekka jak drobny puszek łabędzi, spadła mu ciężko nie na ramię ale na serce, które pod jej dotknięciem na chwilę zatrzymało się w biegu.

— Na wieki! — powtórzył, a głos mu drżał jak potrącona struna, a w dźwięku jego przebijała się boleść nieukojona.

— Jakież-to okropne słowo, — szepnęła dziewczyna, nie odrywając ręki od ramienia młodzieńca, lubo i sama przez to dotknięcie jakiś elektrycznych doznawała wstrząśnień.

W oczach Lajosa ponury zamigotał ogień.

Napół nieświadomy zerwał rękę Leoni z swych ramion i ścisnął ją w swej rozpalonej dłoni.

— O, pani! to więcej jak okropne, to zabójcze słowo! — wykrzyknął zlewając ostatnie słowo z ciężkiem westchnieniem.

Leonia nie usuwała swej ręki z dłoni Lajosa, a łzawych swych oczu nie mogła mi-

mo chęci wyrwać z pod uroku roziskrzonych spojrzeń młodzieńca.

— Panie Ludwiku, — szepnęła polszcząc madziarskie jego imię, — pan żegnasz nas na wieki i nie masz dla nas ani słowa zaufania...

Lajos patrzył w mówiącą z niewysłowionym zachwytem, z czcią bez granic, a nie zdawał się pojmować jej wyrazów.

Leonia pozwalała ciągle ściskać rękę swą i ciągnęła szeptem, który posłyszeć i rozumieć mógł jeden tylko kochanek:

— Nie mówisz nam pan, dla czego z takim naciskiem używasz tego słowa „na wieki!“ Czyż już na prawdę nie mamy nigdy a nigdy obaczyć się po raz drugi?...

Twarz Lajosa wykrzywiła się boleśnie.

— O nigdy, nigdy pani! — wykrzyknął z rozdzierającą rozpaczą.

Leonia wstrzęsła się gwałtownie na całem ciele i próbowała usunąć swą ręką równie bezwiednie, jak bezwiednie ją pierwej położyła na ramieniu.

Lajos ciągnął dalej z jakimś niepowstrzymanym a wzrastającym wybuchem dzikiej rozpaczy:

— Są ludzie przeklęci tu na ziemi, któ-

rym los jedynie dla tego da poznać kroplę słodyczy, aby ich poić później krużami trucizny i goryczy. O, to okropne, piekielne szyderstwo losu! Dla czegoż ciemny z urodzenia nie ma już pozostać ciemnym do śmierci, ale musi przejrzeć na jedną krótką chwilę, aby olśnić się cudami barw i blasków i zapaść napowrót w noc wiekuistą! To krótkie chwilowe przejrzenie, to stokroć cięższe przekleństwo niż samo kalectwo srogie i nieuleczone!...

— Dla Boga, cóż pan mówisz! — więcej wytchnęła oddechem niż wyszepnęła słowy dziewczyna.

Lajos westchnął ciężko, jakby z umysłu chciał do pęknięcia rozsadzić pierś falującą i zawołał dalej:

— O tak pani! ja sam jestem tym ciemnym z urodzenia, przejrzałem na chwilę, aby zabrnąć na powrót w ciemność bez końca i pożerać się świadomością utraconego raju.

Leonia czuła, że wzruszenie jej wzmaga się do niepowstrzymanego wybuchu, a z najdalszej głębi serca cisną się łzy rojem do oczu.

— Mówisz pan straszne rzeczy! — szeptała — dla czegoż jednak ta zagadka prze-

demną, czujesz-że mię pan niegodną swej tajemnicy?

Westchnienie, jakie się w tej chwili wydobyło z piersi Lajosa, miało coś naprawdę okropnego, przerażającego. Chwilkę zdawało się, że stoi bez przytomności przed kochanką i nie wie zgoła co odpowiedzieć. Nagle przycisnął rękę jej do swej piersi, która płonęła jak w ogniu, a istnym cudem zdawała się tylko wytrzymywać gwałtowne poskoki serca.

— Tajemnica, tajemnica przed panią! — wykrzyknął głosem, który jakiś długo tłumiony zwiastował wybuch, — nie, nie, przed panią nie mogę ukryć nawet tego, co radbym kosztem życia osłonić wiecznem milczeniem. Rozedrzej me serce zakrwawione, znajdziesz w niem najcięższą moja tajemnicę, skazaną na śmierć nieprzebłaganą: że cię kocham pani bez granic, do istnego szaleństwa!...

Zaledwie skończył. Ostatnie jego słowa pomięszały się już z kurczowem łkaniem, a łzy piekące jak ogień spłynęły gradem po drżącej ręce Leoni.

Młoda dziewczyna wydała głośny, niepodobny do opisania wykrzyk, wolną rękę kon-

wulsyjnie przycisnęła do piersi, zachwiała się na nogach, i bezsilna zatoczyła się w tył, na krzesło stojące na szczęście w pobliżu.

Wyznanie to, acz tak łatwe do odgadnięcia po tym wstępie całym, uderzyło w nią jak grom. A grom ten nie tylko zwichnął jej przytomność, ale olśnił ją jakimś blaskiem nieokreślonym.. Zdawało jej się, że w magiczne płomienie zapalił całą otaczającą ją atmosferę.

Lajos nie wypuścił jej ręki z dłoni, cisnął ją do ust jak szalony, i rzucił się na oba kolana przed upadającą.

— Przebacz mi Pani! — jęknął bez wyrazu z dźwięku, — przebacz konającemu, że oddając duszę mękom niewysłowionym, nie potrafił ustrzedz się rozdzierającego jęku w przesilenia chwili!

Leonia słyszała te słowa. Żar gorących pocałunków, spadających gradem na jej rękę, zdawał się ją ocucać do przytomności. Roztworzyla oczy i bezsilnie, bezwiednie, jakby tylko jakąś magiczną pociągana siłą nachyliła swą głowę do głowy kochanka.

Oboje uczuli w tej chwili płomienny ogień swych oddechów, i te łzy boleści i rozpaczy przed chwilą, jakby cudem przemieni-

ły się nagle w łzy rozkoszy i zachwytu niewysłowionego, te miotające niemi uczucia boleści i jakiejś grozy tajemniczej zlały się w jedno poczucie rajskiej słodyczy.

Ziemia usunęła się z pod nóg kochanków. Oboje ujrzeli się nagle w jakiejś niepojętej wyżynie niebiańskiego błękitu... cudowne blaski jakby promienie z otulającej ich szaty Boga, owionęły ich dokoła... niewysłowionego uroku i siły harmonia z samych tchnień i szeptów aniołów odrywała zmysły do reszty...

....

Jedno tylko mgnienie oka, krótkie jak myśli błyskawica, trwał ten stan nadziemskiej ułudy, ale dla niego jednego możnaby się bez żalu zrzec wszelkich słodyczy i rozkoszy wiekowego życia, dla niego jedynie możnaby się pogodzić z wszelkiemi cierpieniami i grudami ziemskiej pielgrzymki, pod jego wspomnieniem możnaby znosić bez szemrania od mąk piekielnych brzemię cierpień tuczesnych...

Dla czegóż jednak niepowrotna ta w życiu chwila trwa tak krótko?

....

W najszczytniejszym momencie tego na-

dziemskiego upojenia przymięszał się do cudownej harmonii wzajemnych serc bijących jakiś ton cierpki, przerażający nad wszelki wyraz.

Był to jakiś śmiech dziki, nieludzki, jak bezduszny ryk bydlęcia lub szydercze chrypienie szatana, urągającego anielskim rozkoszom w niebie.

. . . .

Leonia krzyknęła przeraźliwie i postradała przytomność...

Lajos zerwał się na równe nogi i obrócił się nagle...

Tuż koło obojga, nieprzytomnych w rajskiej ułudze kochanków, stała blada jak trup nieruchoma jak głaz matka, a za nią w progu bezmyślnem okiem patrzył na scenę całą nieszczęśliwy idyota, rozwiewając szalonym swym śmiechem spazmodycznym mgły najcudniejszego na ziemi i w niebie uroku.

Pani Zbąska nie mogła się tak prędko pozbyć respicyenta jak się spodziewała. Zatrzymana jego jałową rozmową, powróciła do pokoju córki właśnie w chwili nieszczęsnej eksplozyi. Stanęła jak wryta na razie, a nieprzygotowana wcale na taki widok, nie wiedziała zgoła jak sobie postąpić. Pierwszy

co ją cokolwiek przywrócił był nagły bezduszny śmiech męża za plecyma.

Zgłodniały pan Erazm nie mógł wytrzymać w swym pokoju, szukając swej karmicielki, trafił szczególnym przypadkiem na całą tę scenę, a jego spazmodyczny, bydlęcy śmiech miał w tej chwili pewne szczególne znaczenie, wyglądał niejako na umyślne ostrzeżenie przypadku, że w chwilach podobnej ułudy jednym krokiem można z najwyższych wyżyn niebiańskich zstąpić bezpośrednio na najgłębsze niziny ziemi, gdzie kończą się rozkosze ducha, a występują w szranki ogólne, zwierzęce namiętności.

Nagły widok pani Zbąskiej w tak przerażającej postawie, rozwiał ostatnie resztki różanej mgły z przed oczu porwanego szalonym prądem uczuć młodzieńca. I on stanął jak wryty na miejscu, a w poczuciu swego zapomnienia się, nie śmiał ani spojrzeć w surowy wzrok matki, ani też odezwać się z słówkiem uniewinnienia.

Niemniej trudno było znaleźć słów i pani Zbąskiej samej. Miotana gniewem, oburzeniem, przestrachem i jakąś instynktową boleścią srogą, a nadto widząc córkę mdleją-

cą, nie czuła się w sile przemówienia w pierwszym momencie.

Dopiero po ciężkiem odetchnieniu zrobiła nagły gest gwałtowny, i wyciągając rękę ku drzwiom, rzekła głosem ciężko i chropawo wymykającym się z piersi ściśnionych:

— W oficynach czeka pana Hałajkiewicz... wtajemniczony we wszystko .. przeprowadzi pana bezpiecznie..

Chciała coś jeszcze mówić, ale czy ją zawiodła krtań nieposłuszna, czy inny jaki odezwał się powód, dość, że urwała nagle i tylko wyciągniętą ku drzwiom ręką zrobiła gest rozkazujący, jakby do niezwłocznego naglila wyjścia.

Trudno po wiedieć czy chciał się z czem odezwać Lajos, usta poruszyły mu się wprawdzie kurczowo, lecz nie słychać było głosu, a ten gest dobitny znalazł go posłusznym od razu.

Rzucił tylko jeszcze raz płomieniejącem miłością i uwielbieniem okiem na omdlałą kochankę, westchnął z najdalszej głębi piersi, i opuszczając głowę bezwładnie na piersi, chwiejącym i powolnym krokiem wyszedł z pokoju.

Szedł dalej zupełnie oszołomiony jakby

w jakim letargu gorączkowym lub śnie lunatycznym, a ciągle tylko prześladował go ten fatalny, bezduszny śmiech ojca idyoty...

Pani Zbąska tymczasem z jękiem rozpaczy poskoczyła do córki omdlałej, a i z jej oczu trysnęły łzy gorące.....

Tak rozstawał się nieznajomy młodzieniec z mieszkańcami gościnnego dworu...

....

W jego pokojach w oficynach czekał już pan Hałajkiewicz.

Zacny ekonom krużoskalski miał minę siarczyście ważną i uroczystą. Poznać zaraz, że czuje się panem niepospolitej tajemnicy i pojmuje doniosłość swego zlecenia. Kręcił wąsy i szczerzył brwi z pewnym rodzajem niecierpliwości, a pod pachą miał jakieś spore zawiniątko.

Nagle wszedł Lajos.

Poczciwy ekonom skinął głową na znak tajemnego porozumienia, i miał już swe P a m do nóg pańskich na ustach, kiedy wtem rozdziawił gębę niemiłosiernie i mimowolnie cofnął się o dwa kroki w tył.

Lajosa można się było przestraszyć na prawdę. Był bledszy od ściany, twarz mu drgała jak w kurczach, a z zaćmionych łzami o-

czu bił żar istnego obłąkania.

Wpadł nagle do swego pokoju i nie spostrzegając nawet wyprężonego w uroczystej postawie ekonoma, powalił się bezsilnie na sofkę i pokrywając oczy obiema dłoniami, zaczął łkać tak gwałtownie, że pierś mu aż w wyraźny wzdymała się kabiąk.

Hałajkiewicz z pewnem niezadowoleniem pokiwał głową.

— Ma djabelnego piotra nieborak, skarż mię Boże, — mruknął przez zęby i krzaczaste swe wąsy.

I chwilkę stał cierpliwie na miejscu, a potem krząknął z całej siły i parę razy hm, hm, hum, hum, i humha mruknął donośnie.

Lajos go nie słyszał i nie podniósł głowy.

Zacny ekonom z impetem potarł czuba, huknął swoje hm, hm, jeszcze donośniej, a nareszcie ozwał się wyraźnie:

— Panie malarzu dobrodzieju, już czas, skarż mię Boże.

Wszystko to przeszło znowu bez skutku.

Pan Bartłomiej zaczął się niecierpliwić.

— Zwaryował tem respicyencisko, że go wziął za tego Rożę Szambdora, — szepnął sobie półgłośno, — prr! fain byłby mi to

rozbójnik! co naprzykład płacze jak baba, skarż mię Boże.

I ośmielony zupełnie swą uwagą, postąpił bliżej ku nieszczęśliwemu młodzieńcowi, i szarpnął go zlekka za nogę.

— Panie malarzu dobrodzieju, komu w drogę, temu czas.

Lajos podniósł głowę i wpatrzył się na ekonoma bezmyślnym wzrokiem, potem zerwał się nagle, i cisnąc obie pięści do czoła, szybkim krokiem jął przechadzać się po pokoju.

Ekonom znowu pokiwał głową i śledząc oczyma dziwnej przechadzki młodzieńca, mruknął jak wprzódy:

— K i e g o d j a b ł a on tak m e n d y t u j e i m e n d y t u j e!

I zniecierpliwiony widocznie musnął całą dłonią po zawiesistym wąsie, i podnosząc głos ze skali zwyczajnego swego konwencyonalnego barytonu do urzędowego basu ekonomskiego, rzekł:

— At panie malarzu dobrodzieju, co tam sobie łamać głowę, indyk myślał i zdechł naprzykład, a my tu nie mamy czasu.

Lajos zatrzymał się w chodzie i pytająco wypatrzył się na mówiącego.

— Czegoż pan chcesz? — ozwał się nareszcie.

Ekonom w bardzo kunsztowny sposób klasnął językiem o podniebienie.

Czego chce, czego chce, skarż mię Boże, — mruknął, — wielmożna pani nakazała mi odstawić pana bezpiecznie w góry, na drogę do Czarnego Matwija, abyś jegomość mógł uciec przed tym Paperdesupiksem.

— Aha! — mruknął Lajos i z tym samym gorączkowym pospiechem zaczął się przechadzać dalej.

Hałajkiewicz już z wierutną indygnacyą wzruszył ramionami.

— Czy sobie golnął n a k u r a ż, — poszepnął w duchu, — czy też...

Tu zacny ekonom szurgnął palcem po czole na znak jakiegoś mankamentu w głowie.

Widząc jednak, że nieszczęśliwy młodzieniec nie wychodzi bynajmniej ze swego zagadkowego stanu, zaszedł mu śmiało drogę, i ozwał się na pół pobłażliwym, na pół sztrofującym tonem:

— Aha! tu nie chodzi o aha! ale czas nagli, skarż mię Boże. Zaraz się tu jak kruki zlecą rewizory do Paperdesupiksa, a

potem h o n y H r y c i u p o z a c h r e s t! — zakończył ruskiem przysłowiem.

Lajos przystanął i westchnął tak ciężko, tak boleśnie, że samemu ekonomowi coś jak dreszcz przeszedł po za skórę. Nagle ręką posunął po czole i wstrząsnąwszy sobą z gwałtownym impetem, zawołał żywo:

Dobrze panie, pójdziemy!

Chwycił za kapelusz i był gotów do podróży.

Ekonom znowu z niesmakiem klasnął językiem.

— Et także, — mruknął, — najpierw weź pan swoje zawiniątko, co już widzę spakowane, a potem wdziej jegomość na siebie tę siermięgę, — dodał rozwijając trzymany pod pachą zwitek.

— A to na co?

Bartłomiej Hałajkiewicz nadął się do całej powagi swego obecnego stanowiska.

— Na mojej głowie jest pana wyprowadzić ztąd szczęśliwie, otóż ja niby z dwoma parobkami tej nocy pojadę na folwark do Uwiśny. Jednym z tych parobków będziesz jegomość, panie malarzu. Jak dojedziemy do tej kępy, co prowadzi do Wilczej szczęki, to my się wrócimy, a jegomość sobie dmuchniesz,

het do Czarnego Matwija, skarż mię Boże.

Lajos słuchał go z widocznem natężeniem.

Znajdował się w tej chwili w tak okropnym stanie duszy, że musiał skupić wszystkie siły i sprężyny, aby posłyszeć i pojąć najprostsze wyrazy.

Zrozumiał nareszcie o co chodzi, i biorąc siermięgę i barankową czapkę z rąk ekonoma, zaczął ją przywdziewać na swój ubior zwyczajny.

Hałajkiewicz z dumą pokręcił wąsa.

— Przecieżem mu trafił jakoś do rozumu, — poszepnął do siebie.

— Wielkiego figla spłatał nam ten pan Paperdesupiks, — przemówił po chwili tonem już czysto konwersacyjnym, — ja pana malarza naraił gromadzie, i właśnie dziś miał przyjść diak na zgodę do pana, wedle tego nosa, co się zamazał na obrazie świętego Mikołaja. Była ta i o tem mowa, żeby djabłowi na ołtarzu świętego Michała podreperować ogon, bo go nie znać ani kapki. Ja nawet radziłem, żeby i samemu świętemu Michałowi więcej włosów przydać na głowie, bo nieprzymierzając wygląda zanadto ostrzyżony, skarż mię Boże.

Lajos z febrycznym pospiechem kończył swe przebranie i przymocowywał zawiniątko na plecach, nie myśląc ani o nosie św. Mikołaja, ani o ogonie pokonanego djabła, ani o kusej czuprynie św. Michała.

Hałajkiewicz przestał mówić, jeno machnął ręką jakby chciał powiedzieć:

— Żal się Boże! szkoda czasu i atłasu!

Nareszcie zebrał się całkowicie Lajos.

— Pójdźmy! — zawołał żywo, nagląc teraz z swej strony.

Hałajkiewicz postąpił naprzód.

— Pójdziemy na gumno, — odparł ekonom, — tam już Waśko czeka z końmi dla nas. A nie bój się niczego, panie malarzu, choćbyś Bóg wie co zmalował tam na Węgrach, to już moja w tem głowa, że Paperdesupiks cię nie złapie. Tylko ostrożnie za mną, żebyśmy się w sieniach nie spotkali z nim samym.

Wyszli obadwaj na palcach, w sieni było już ciemno, że oczy wykol. Hałajkiewicz szedł ostrożnie naprzód, a choć stąpał jak tylko mógł najciszej, to za to poczciwiec sapał jak mógł najgłośniej.

Kiedy już mieli wychodzić na dwór, uczuł napół nieprzytomny Lajos, że jakaś po-

stać zbliżyła się ku niemu i żywo chwyciła go za rękę.

Od panny na pamiątkę, — szepnął głos Ołeny.

Wszystka krew ścięła się na chwilę w żyłach młodzieńca, aby potem z podwójną zaszaleć gwałtownością...

W ręce swej uczuł pierścionek, pierścionek z palca Leoni!...

Wydał wykrzyk przytłumiomy i cisnął zimny pierścionek do ust, jakby chciał na wskróś przeszyć sobie wargi i postępował machinalnie za prowadzącym go po ciemku ekonomem.

. . . .

W tej samej chwili ruszyła bryczka z pod ganku, jechała do Turki po doktora, bo jak mówiła Ołena Andruchowi, furmanowi, panna zasłabła nagle.

XIV.

PAN SAPERDEPIKS W TARAPATACH.

W niespełna dwie godziny wrócił Hałajkiewicz do Drużoskala. Powiodła mu się szczęśliwie wyprawa, Lajos dotarł bez prze-

szkody na manowiec Wilczej szczęki, a z tem wszystkiem zacny ekonom był w złym humorze i bardzo siarczystą przywiózł z sobą minę. Jużto nie mało ciężył mu na sercu ten niedosztukowany nos św. Mikołaja, ta kusa czupryna św. Michała i ów urwany ogon Belzebuba, ale więcej jeszcze gniewało i obrażało jego dumę, że ten „ratowany“ przez niego malarz nie przemówił całą drogę ani słowa, a zagadnięty albo wcale nic nie odpowiadał, albo plótł coś ni w pięć ni w dziewięć.

— Widocznie jakiś arystokrata, skarż mię Boże, — mruknął do siebie, zamykając cały szereg niekorzystnych uwag o mniemanym malarzu.

Zacny ekonom miał swój własny sposób zapatrywania się na arystokracyą. Największym u niego pod słońcem arystokratą był landsdragon K r a k s e l h u b e r, co mu się dwa razy nie ukłonił, i pan Kruciałkiewicz, komisarz dóbr pobliskich, co go raz zagadnął przez aspan.

Klnąc i teraz w duchu na arystokracyę, która w jego prostodusznych pojęciach nie była niczem innem jak tylko prostym synoninem niegrzeczności, zajechał pan Hałajkie-

wicz na dziedziniec.

We dworze, w oknach panny, i w oficynach świeciło się jeszcze. Hałajkiewicz zsiadł z konia i poszedł najpierw z raportem do dworu. Na ganku spotkał się z Ołeną, a dowiedziawszy się od niej, że pani zajęta przy chorej pannie, nie może dziś już wysłuchać jego sprawozdania, skręcił ku oficynom, mimo których prowadziła ścieżka na folwark.

W oknach respicyenta świeciło się ciągle.

— Co też on robi ten Paperdrepiks? — szepnął ekonom, — na obławę sam nie poszedł, ale tu bezpiecznie pod pierzyną, to różne koncepuje sobie historye.

I pan Hałajkiewicz zamyślił się czegoś, a widać było nawet, że waha się nad jakiemś postanowieniem.

Naraz obejrzał się ostrożnie na wszystkie strony, i milczkiem na palcach posunął ku oświetlonemu oknu.

Pan Pamfiliusz Schabengauch von Saperdepiks po trudach i znojach całodziennego urzędowania, zabierał się właśnie do miłego spoczynku. Ze zmierzchem wysłał ostatnie instrukcye wysłanym na obławę rewizorom, a do niedawna pisał szeroką relacyę o przydybanym we dworze nieznajomym, które-

mu politycznie podejrzany stało niejako napisane na czole.

W tej zaś chwili, kiedy ciekawy ekonom posunął się pod okno, zdejmował właśnie pan respicyent przy pomocy swego furmana, Johanna, resztki znamion swej urzędowej godności i żółtą wełnianą szlafmycę zaciągał na uszy. Ukończywszy ostatnią operacyę, postąpił ku łóżku, a tu nowy ciekawy rozpoczynał się proceder.

Czcigodny potomek Habakuka Saperdepiksa był wielkim przyjacielem wielkich wygód i wygódek i zawsze natężał swój umysł niepospolity, aby ile możności umilić sobie egzystencyę na tym nędznym padole płaczu.

Jedną z najważniejszych funkcyi życia takiej jak Saperdepiks osobistości jest niezaprzeczenie nocny odpoczynek.

Pan respicyent zaciekał się kilka lat głęboko, jakby ten ważny moment zrobić sobie ile możności najprzyjemniejszym.

Już to odrazu przyszedł na to, że najlepiej spać na pierzynie i przykrywać się pierzyną, ale z tem tylko niemógł sobie dać rady, że wierzchniej pierzynie przy lada śnie niespokojniejszym zbija się pierze w jeden głównie punkt, a przez to na czcigodne człon-

ki rozchodzi się nierówny rozmiar wagi i ciepła. Nieraz musiał szanowny respicyent pod taką zwyczajną pierzyną pocić się w nogach, a ziębnąć w brzuch lub pod szyją i przeciwnie.

Trapiony tem doświadczeniem, zwrócił Schabengauch od lat kilku już całą swą uwagę, aby zaradzić tej niedogodności.

Zacieka się Kopernik nad swoją rotacyą ciał niebieskich, Newton nad swem prawem grawitacyi, Hegel nad swym systemem filozofyi, ale ani się żaden z nich nie umył do mozolnych zagłębiań się pana Saperdepiksa.

Kilka lat odmawiał sobie snu i spoczynku, nim nareszcie wpadł na nieoszacowany wynalazek, że pierzynę należy konstruować w kształcie ciasnego worka, w który wlazłszy po uszy i obwiązawszy się pod szyją, można spać wygodnie jak dziecię w powijaczu, mając i miękką z pod spodu pościółkę i ciepłe z wierzchu nakrycie.

Przyszedłszy na ten koncept jenialny pan Schabengauch von Saperdepiks w ten moment kazał sobie sporządzić tego rodzaju pierzynę, i już od lat dziesięciu z okładem nie rozłączał się od niej ani w domu, ani w podróży.

Wstępując do łóżka, właził w swój powijacz kunsztowny, a śpiący zawsze z nim razem lub w przedpokoju Johann, furman i lokaj w jednej osobie, obwiązywał go krajką pod szyją, rozwiązywał rano lub kiedykolwiek pan respicyent uznał potrzebę wyleźć z łóżka.

Toż i teraz odbywała się właśnie taka operacya, a patrząc na nią Hałajkiewicz, niemiłosiernie rozdziawił gębę i wybałuszył oczy. Nie wiedzieć, czy mu się ten wynalazek tak podobał, czy go tak zadziwiał, ale nagle oburącz chwycił się za głowę i krzyknął głośno:

— A niech cię wszyscy djabli wezmą! Co za szelma! skarż mię Boże.

I jakaś dziwna myśl łysnęła nagle przez ekonomowską mózgownicę, bo zaczął śmiać się na całe gardło i zacierał ręce jak szalony.

— Aż to byłby figiel nie lada! — mówił sam do siebie. — krocset djabłów, cóżby to było śmiechu! skarż mię Boże.

Sparł się o mur plecyma i zaczął coś rozbierać na seryo.

— Dalibóg wartoby spłatać jaką sztuczkę temu Paperdrepiksowi, — mruknął znowu sam do siebie, — przez niego musiał u-

ciekać malarz, przez niego święty Michał musi wyglądać nieprzymierzając ostrzyżony jak łysy, a Belzebub na śmiech ludzki jak nie miał tak nie ma ogona! Niech się dzieje co chce, ja mu t a k i puszczę fimfę w nos.

Ale w tem zawahał się znowu.

— Mogliby się przestraszyć we dworze, — szepnął pilnie przemierzając oczyma dystancyę między dworem a oficynami.

— Jakoś to będzie, skarż mię Boże, — ozwał się półgłosem i z wielkim impetem pokręcił wąsa, co u niego było zawsze znakiem, że jakieś stanowcze powziął postanowienie.

Zajrzał jeszcze raz przez okno.

Pan Schabengauch von Saperdepiks spoczywał już w swym powijaczu, a Johann zgasił świecę i na palcach wychodził do przedpokoju, gdzie dla siebie przygotował posłanie.

Hałajkiewicz zatarł ręce i śmiało i stanowczo posunął do okna przedpokoju.

— Panie Johann! — zawołał zcicha, dzwoniąc o szybę.

W oknie z świecą w ręku pojawił się Johann, a jego nos czerwony wydał się aż fioletowy w tem oświetleniu.

Pan Bartłomiej zadowolony klasnął ję-

zykiem o podniebienie.

— F a i n ! ten nos mi ręczy za niego, skarż mie Boże, poszepnął zcicha.

A przykładając usta do samych szyb okien, odezwał się cicho:

— Panie Johann, właśnie co wróciłem z drugiego folwarku i radbym się pokrzepić trochę, a samotnie człowiekowi nie smakuje. Ej, panie Johann, skarż mie Boże, mam dobrą wódeczkę i kiełbasę co się zowie! Gdyby była łaska.

Johann oblizał się aż po same nozdrza. Ta gratyska przed samym spoczynkiem spadła nań jak manna z nieba.

— Dobrą mają wódeczkę, — bąknął z czeska po polsku.

— Kapitał! panie Johann!

Johann jeszcze raz się oblizał i już nie tracił czasu. Chwycił za czapkę, zdmuchnął świecę i milczkiem wymknął się do poczciwego ekonoma.

— Kiedy wam samym nie smakowało, to ja s e m wam z r o b i m tę przysługę.

Hałajkiewicz wziął go za ramię, jakby się chciał dobrze upewnić jego osoby i poprowadził go z sobą na folwark.

Szli obadwaj w zupełnej poufałości jeden obok drugiego.

Johann cmokał ciągle językiem i poruszał nozdrzami, jakby zdaleka już chciał zwietrzyć woń zachwalanej wódeczki.

Hałajkiewicz myślał ciągle nad jakimś planem tajemniczym, czasami tylko z pewnym niespokojem pokręcił się za ucho.

— Żeby tylko, skarż mię Boże, nie przystąpiło jakie licho do Małgosi, — poszepnął zawsze w takim razie.

Nareszcie dotarli obadwaj do folwarku i weszli do małego domku, który służył za mieszkanie ekonomskiego stadła.

Jaka była ta zachwalana wódeczka i kiełbasa, i czy w istocie nie przystąpiło co do Małgosi Hałajkiewiczowej, trudnoby powiedzieć z historyczną ścisłością. Dość, że nie minęła godzina, a czcigodny Johann wracał z folwarku do oficyn, ale nie sam jeden, za jedno ramię prowadził go fornal Waśko, za drugie sam ekonom.

Johann zwiesił głowę na piersiach, mimo silnych podpór po bokach zakręcał jakieś dziwne kabłąki nogami, a bełkotał ciągle przez sen niezrozumiale:

— Mocna, sem bardzo mocna! ale dobra

sem, bardzo dobra!

Hałajkiewicz śmiał się pod wąsami, choć sam także niezwyczajnie gęstą miał minę.

— Nie spostrzegł się szelma, — mruczał ciągle do Waśka, — ja piłem rozpuszczoną, a on samą czystą okowitę.

— Ależ się ściął niecnota, — przemówił fornal Waśko, a nie mógł sobie odmówić przyjemności od czasu do czasu potraktować pijanego potężnym szturchańcem w bok.

Przyjmował to nieprzytomny zupełnie Johann i za każdem otrzymanym razem bełkotał tylko:

— Ż ę k u j ę p o k o r n i e, mocna, bardzo mocna!

Nakoniec przywlekli go jakoś do oficyn i biorąc zupełnie za ręce, na palcach wniešli do przedpokoju i rzucili na przygotowane posłanie.

Johann całą drogę miał już oczy sklejone, toż rzucony bez przytomności na posłanie, wybełkotał jeszcze kilka słów niezrozumiale i zachrapnął zaraz snem kamiennym.

Ekonom i Waśko czekali jeszcze chwil kilka, słuchając czy nie obudzi i nie odezwie się respicyent, uspokojeni jednak głośnem nie-

przerwanem chrapaniem, wymkli się chyłkiem za drzwi.

Na dworze przystanął Hałajkiewicz i szepnął do ucha Waśkowi:

— Biegnij naprzód, pobudź tymczasem parobków, a ja zaraz przyjdę i powiem co robić.

Waśko pomknął jak strzała ku folwarkowi, a ekonom z zadowoleniem zatarł ręce i mruknął do siebie:

— Śmiechuż to będzie śmiechu, skarż mię Boże!

I choć trochę za ciężkim, ale zawsze dość pewnym krokiem pospieszył za swym wysłannikiem.

Pan Pamfiliusz Schabengauch von Saperdepiks spał snem sprawiedliwych, chrapał tylko poczciwiec, jakby z trąbą nieboszczyka Jozuego próbował iść w zawody. Eks-bóg Morfeusz samemi przyjaznemi łudził go snami.

Zacny respicyent widział się w jakąż cudowną przeniesiony sferę.

Na jego mundurze błyszczał kołnierz złocisty, na piersiach wisiało tuzin orderów, a coś jak E k s c e l l e n c łechtało mu uszy.

W tem, wpośród najcudowniejszych uro-

jeń, ocknął się nagle i krzyknął jak opętany.

Nad jego głową rozlegał się jakiś odgłos kroków ludzkich, pomięszany z łoskotem belek trzeszczących, z okien biło jasne światło jakby odblask bliskiego pożaru, a tuż odedrzwi rozlegał się jakiś przytłumiony, ale donośny jakby z pod ziemi wychodzący głos:

— Opryszki napadli na dwór, palą, rabują, mordują, ratuj się pan!

Pan Saperdepiks w jednej chwili skąpał się cały w zimnym pocie, włosy stanęły mu na głowie jak kolce u jeża, a zęby zaczęły dzwonić w takt jak bęben, kiedy wzywa do rejtyrady.

— Johann! — wrzasnął nieszczęśliwy respicyent wytężając wszystkie siły, — Johann! — powtórzył jeszcze okropniejszym głosem, kiedy już zaczynał mu się rwać w krtani.

Johann ani się odezwał...

A tymczasem coraz wyraźniej trzeszczały belki nad głową, coraz jaśniejszy blask bił z okien.

Przerażona nad wszelki wyraz wyobraźnia pana respicyenta, przechodząc tak nagle z najcudowniejszych rojeń do najokro-

pniejszych wrażeń, rozszalała w najbujniejszą przesadę.

Nieszczęśliwy potomek Habakuka von Saperdepiksa widział już płomienne języki wciskające się przez okna, słyszał łamanie się sufitu nad głową, czuł zabójczy gąszcz dymu, piekł się jak pieczenia na rożnie w swym wygodnym powijaczu. A tu okropność nad okropnościami! skrępowany w pierzynie, nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą.

— Johann! — wrzasnął z ostatniem wysileniem, bo głos mu już odmawiał posłuszeństwa.

Na to wszystko odezwało się tylko okropne chrapanie z przedpokoju, które zdjęty piekielną grozą respicyent wziął za łomot pękających murów.

Nieborak jeszcze raz ostatnich wytężył sił, podrzucił się jak mógł najwyżej w górę i próbował rozszarpać nieszczęsne więzy.

Ale wszystko napróżno! padł bezsilniejszy na dawne miejsce, członki strętwiały mu jak drewno, głos zamarł w krtani, uszy mało niepękły od jakieś okrutnej urojonej wrzawy. A nad to wszystko, dziwny jakiś w tej piekielnej chwili grozy z samą jego postacią odbywał sią proceder.

Widział wyraźnie, że wszystkie brodawki jedna podrugiej zaczęły mu tańczyć po nosie i rozbiegać się po całej twarzy, a nawet jak pająki zaczęły latać po wszystkich ścianach w około.

To już było nad jego siły, zabełkotał jeszcze coś jak: — Johann! ratunku! — i stracił przytomność.

Kilka chwil przepędził w takim stanie, aż nagle okropnie ściśnięty za nos, otworzył oczy.

Przed łóżkiem z latarnią w ręku stał Hałajkiewicz z dwoma fornalami.

Respicyent parę minut obłąkanem okiem wodził po całym pokoju.

Zupełna już cisza panowała dokoła, za oknami było ciemno jak w podziemnym lochu.

— Co to jest, co to znaczy, gwałtu! ratunku! — wykrzyknął, nie mogąc się jeszcze opamiętać.

Na to czcigodny ekonom wyciągnął swą szeroką dłoń i chwytając go całą siłą za nos, zaczął nim kręcić na wszystkie strony jak kutasem od czapki.

— Trzeba kręcić, — mówił głośno do fornali, — niech przyjdzie do siebie.

Respicyent tarzał i rzucał się w swym

worku jak oparzony.

— Ratujcie! — wołał, — wody! ogień!

Potrzeba było kilka minut, nim wreszcie o tyle odzyskał przytomność, że mógł zrozumieć słowa pana Hałajkiewicza.

Zacny ekonom tłumaczył mu, że ten cały pożar i napad opryszków musiał być tylko sennem złudzeniem.

— Co, mnie się to śniło s z y c k o?!... — zawołał respicyent odurzony.

— No juści, — odbąknął ekonom, — my aż na folwark słyszeli, jak pan krzyczał okrutnie, toż przybiegliśmy na pomoc, skarż mię Boże. Gdybym był pana wczas nie pokręcił dobrze za nos, to kto wie, czybyś pan już kiedy przyszedł do siebie.

Respicyent kilka chwil słuchał wszystkiego z wybałuszonemi oczyma jak człowiek, co żadną miarą nie może wyjść z odurzenia.

Tłumaczenie ekonoma wydało mu się zupełnie prawdopodobne.

Zdawało mu się przecież, że się pokój wali, że płomień bucha przez okno, że go dym dusi w gardle, że mu brodawki uciekły z nosa, a to wszystko okazywało się złudzeniem wierutnem.

Długą jeszcze chwilę zbierał swe myśli

nieborak, nim ochłonąwszy do jakiej takiej przytomności, mógł kazać się rozwinąć z swego powijacza i zapytał o Johanna.

— Johann śpi jak zabity w przedpokoju, — odpowiedział fornal Waśko.

— Śpi! — wrzasnął respicyent i jak opętany wyskoczył z swej pierzyny.

Niepodobna opisać w jakim on ztamtąd wyskoczył stanie, to tylko można powiedzieć, że przyzwoitość nie powinna mu była pozwolić przedstawić się ludziom w takiem nieszczęściu.

Ale szanowny respicyent nie zważał na nic, jak przed chwilą odchodził od zmysłów z przestrachu, tak teraz wściekał się ze złości, że nieszczęśliwy Johann nie ocknął się na jego krzyk rozpaczy. Jak szalony zaczął latać po pokoju i wyrwawszy nagle sporą laskę sękatą fornalowi, poskoczył do przedpokoju.

Johann chrapał w najlepsze, a śniło mu się właśnie, że wracając do domu, spotkał na schodach landsdragona Krakselhubera, którego zdawna o jakieś zanadto poufne konszachty z żoną miał w podejrzeniu.

Tuż w tym momencie ciężkie, bolesne ra-

zy sypnęły się gęstym gradem na jego grzbiet i ramiona.

W poczuciu tak okropnej podwójnej krzywdy, zerwał się Johann jak wściekły i nie mając nawet czasu przetrzeć oczu, wrzasnął tylko z a t r a c e n a m e r c h a! i w jednej chwili jak dwa strzały pistoletowe rozległy się odgłosy dwóch siarczystych policzków.

Pan Schabengauch von Saperdepiks jak długi powalił się na ziemię.

Hałajkiewicz co tchu zgasił świeczkę w latarni i wymykając się za drzwi z swymi adjutantami, mruknął przez zęby:

— Pomściłem się za nos świętego Mikołaja i włosy świętego Michała.

XV.

NIE SYMPATYCZNA.

Hałajkiewicz odprowadził Lajosa tylko do manowca, co ode wsi prowadził do Wilczej szczęki. Na samą widownię czarodziejskich praktyk nie odważyłby się puścić czcigodny ekonom za nic w świecie o tej porze.

Dalszą podróż musiał Lajos odbywać sam.

Noc była ciemna, chłodna, ponura, prawdziwa noc późnej jesieni, co jak to mówią, zwiastuje zimę za drzwiami. Ani jedno blade światełko nie przebijało się przez czarną powłokę nieba, mroźny wiatr dął od północy i od pory do pory wył i łamał się z dzikim hukiem w dalszych wąwozach i przesmykach skał.

Ponury ten moment natury odpowiadał zupełnie wewnętrznemu stanowi podróżującego samotnie młodzieńca. Jego duszę zalegała ponura noc smutku, rozpaczy, zwątpienia, a zamiast dzikiego wycia wichru, szalała w niej boleść sroga.

Lajos z rozdartem sercem opuszczał na zawsze dwór krużoskalski, a na domiar męki unosił i to przekonanie, że napróżno rozdarł i drugie serce, które mu było stokroć droższe, niż to biedne serce własne.

Czując swój własny stan okrutny nad wszelki wyraz, odchodził od zmysłów na myśl, że na takie same męki naraził anielską duszę dziewczyny.

— Ona mię kocha! — powtórzył sobie w głębi duszy, a przeświadczenie to zamiast

go pokrzepić, podnosić, przepełniać szczęściem i radością, dobijało go ogromem niewysłowionej boleści.

Lajos nie miał najmniejszej nadziei, aby ta miłość wzajemna, tak silna i gorąca, mogła kiedykolwiek doczekać się jaśniejszej chwili, upadał więc pod ciężarem podwójnej boleścią i rozpaczy: za własne i kochanki serce.

Utrzymują niektórzy poeci i filozofowie, że miłość wzajemna bez nadziei jest właśnie jedyną niebiańską miłością na ziemi, czystą i wzniosłą nad wszelkie ziemskie pociągi i skłonności. Na takiem pojęciu opiera się i właściwa istota tak zwanej miłości platonicznej.

Nie chcemy im przeczyć bynajmniej: miłość bez nadziei niech będzie największem, najwznioślejszem uczuciem na ziemi, ale biada, trzykroć biada temu, kto ją zaszczepił w swem sercu. Męki jakie sprawia, przechodzą stokroć jej urok moralny.

Gdyby tylko w tej chwili zajrzeć w serce młodzieńca i z niego powziąć wyobrażenie także o stanie dziewczyny, a możnaby ją przekląć na wieki i pokuszać się raczej o wszystkie ognie i męki piekielne, niż o jej ideal-

ne, wyrozumowane rozkosze.

Niech się kochają bez nadziei ludzie, których uczucia i namiętności dają się więzić i spowijać w pajęczych pętach, tkanych i zarzucanych przez rozum: ale gdzie namiętność silniejsza od orkanu na wiatr rozwiewa takie więzy i wrząca jak lawa ognistym potokiem gotowaby zalać świat cały, tam z daleka od tej wyrozumowanej doskonałości ziemskiej!

Lajos biegł znaną sobie ścieżką w zwyż stromej góry, jakby gnany niewidzialnemi furyami. Noc była ciemna, że oczy wykol, ale dla niego to było jedno, co jasność słoneczna, postępował naprzód bezwiednie, machinalnie. Wszystkie władze duszy wrzały w walce zaciekłej, a tylko ślepy instynkt czy jakiś tajemny zmysł oderwany prowadził go naprzód do zamierzonego kresu.

Po długiej, zmudnej i ciężkiej wędrowce dotarł nareszcie do szczytu góry.

Wiatr wył okropnie w załomie pieczary Wilczej szczęki, a z taką gwałtownością przemykał pojedyńczemi, oderwanemi prądami po szczycie, jakby lada chwila miał porwać całą zagrodę Czarnego Matwija i jak piłkę rzucić ją na dół między dzikie urwiska skał, na dno wąskiego strumyka, którego srebrzy-

ste tło nawet zatarło się wśród ogólnej ciemności.

W chacie samotnego mieszkańca Wilczej szczęki migotało blade światełko. Uderzyło ono nagle w oczy Lajosa i to był pierwszy przedmiot, na który zwrócił uwagę, odkąd opuścił dziedziniec krużoskalskiego dworu.

Chciał odsapnąć na szczycie, ale jęknął tylko głucho i pospieszył spiesznie naprzód ku zagrodzie.

Jak jakiś przelotny promyk światła wśród czarnych cieniów nocy przemknęła się przez głowę jego jakaś myśl nagła.

Lajos uczuł jakieś dziwne tajemnicze pokrzepienie w tej myśli, że stanie niebawem przed Czarnym Matwijem.

Osobliwsza rzecz! ten dziwny odźwięk sympatyczny, jaki się w sercu jego odbił na pierwszy dźwięk głosu mieszkańca Wilczej szczęki, ta dziwna sympatya jaka się w nim odezwała na pierwszy jego widok, utrzymywała się dotąd. I w tej ciężkiej nad wszelki wyraz chwili zadrgała ta szczególna nić sympatyczna, jaką młodzieniec mniemał się związanym z tajemniczym lekarzem górskim.

Doznał nawet jakiegoś rodzaju ulgi na razie, jakby czuł, że będzie mógł przed kimś

wylać swe cierpienia, wywnętrzyć okropny stan swej duszy.

Poskoczył też szybko ku drzwiom chaty i rozwarł je na oścież z dziką gwałtownością.

Czarny Matwij siedział na postawionej na sztorc kłodzie drzewa przed ogniskiem, na którem słaby migotał płomyk. Trzymał w ręku szerokie liście łopucha, i zawijał jakieś drobne, oschłe ziele, zapewne jedno z owych wysławionych między ludem górskim leków.

Twarz jego była dzika, ponura, zamyślona jak zawsze.

Ta cała postać potworna, ta twarz odrażająco szpetna, te gęste włosy najeżone jak kolce, wydawały się przy tym białym połysku światła dwójnasób straszniejsze niż zazwyczaj.

W tej chwili można go było wziąć na prawdę raczej za jakiegoś władczego ducha Beskidu niż za rzeczywistego człowieka z krwią i ciałem.

Nagle wejście czyjeś w tej ciemnej ponurej nocy sprawiło nań niejakie wrażenie. Zdawało się nawet że drgnął z lekka na łoskot drzwi rozwartych gwałtownie.

Obrócił się szybko ku wchodzącemu i

teraz można było powiedzieć z pewnością, że drgnął na całem ciele.

Mimo przebrania w chłopskie szaty, poznał Matwij swego niedawnego gościa od razu, a straszny wyraz jego fizyognomii przeraził i jego na pozór twardą jak głaz naturę, bo zerwał się prędko i opuszczając liść łopuchy z ręki, zawołał żywo.

— Dla Boga, cóż-to wam paniczu?

Trudnoby uwierzyć, ale tak było istocie: twarz ponurego odludka złagodniała w jakiś serdeczny wyraz, w głosie jego przebijał się jakiś niezwykły dźwięk przestraszonego współczucia.

A Lajos, jakimś nieświadomym instynktowym porwany prądem, rzucił się obcesem ku niemu, i upadając niejako na jego pierś szeroką, wybuchł w głośne łkanie.

Czarny Matwij znowu wyraźnie zadrżał od stóp do głowy.

— Paniczu! — zawołał z jakimś osobliwszym u siebie wyrazem pieszczoty i udziału, — cóż-to wam takiego?

I oderwał głowę młodzieńca od swych piersi i wypatrzył się na niego takiemi oczyma, jakby mimowolne łzy zaćmiły ich blask.

Ta dziwna nić sympatyczna, do któ-

rej poczuwał się młodzieniec, zaczepiała widocznie drugim swym końcem i o serce dzikiego cdludka z Wilczej szczęki.

Lajos opamiętał się po niejakiej chwili, tylko ten spazmatyczny wybuch łkania nie mógł ustąpić od razu.

— Ocaliliście mi już raz życie Matwiju, — ozwał się nareszcie przynajmniej zrozumiale, — musicie mi zrobić i teraz niemniejszą przysługę.

Czarny Matwij słuchał spokojnie słów młodzieńca, a ten wyraz współczucia nie zacierał się bynajmniej w jego oczach i twarzy.

— Mówcie czego chcecie, — przemówił nagle, jakby pragnąc tylko ośmielić młodzieńca.

Lajos ciągnął dalej:

— Dziś jeszcze muszę być po drugiej stronie granicy.

— Dziś, — powtórzył Matwij i z pewnem ukrytem znaczeniem pokiwał głową.

Młodzieniec żywo prawił dalej:

— Na was Matwiju moja cała nadzieja, wy musicie mię przeprowadzić.

Czarny Matwij zamyślił się czegoś i głowę pochylił na piersi.

— Dzisiejsza noc... to rocznica, — szepnął przez zaciśnięte zęby nie kończąc.

— Co mówicie? — zapytał prędko Lajos, nie dosłyszawszy słów ostatnich.

Matwij wstrząsł głową i brwi głęboko ściągnął na oczy. Złagodniała na chwilę jakiemś ukrytem współczuciem jego twarz szpetna, przybrała swój zwykły ponury i dziki wyraz.

— I czegoż-to wam tak pilno, paniczu? — zapytał i z pod oka spojrzał na młodzieńca.

Lajos westchnął ciężko i zawołał z gwałtowną żywością.

— O, pilno mi, bardzo pilno! ziemia pali mi się pod nogami, każda minuta po tej stronie gniecie mię jak grzech śmiertelny...

Urwał: ale Czarny Matwij patrzył ciągle na niego, jakby dalszego czekał wyjaśnienia.

Lajos milczał chwilę, widząc zaś nieme oczekiwanie swego gospodarza, poderwał prędko:

— Respicyent Saperdepiks zwrócił na mnie uwagę... kazał mię łapać rewizorom... muszę uciekać nie tracąc ani chwili..

Czarny Matwij z lekceważeniem machnął ręką.

— Nie bój się paniczu, — rzekł, — rewizory cię tu nie znajdą... U mnie możesz zostać i tydzień cały.

Lajos poskoczył jak oparzony.

— O, nie, nie, ani chwili, ani jednej sekundy! — wykrzyknął skwapliwie, — byłaby to śmierć dla mnie!

Rozstawszy się na zawsze z kochanką, chciał biedny być zaraz za górami i lasami w jak największem oddaleniu. Trząsł nim istny paroksyzm febryczny na samą myśl, że dłużej może zabawić w jej pobliżu. Jemu się zdawało że im dalej będzie od niej, tem pewniejszy będzie siebie i tem większą ulgę przyniesie jej samej.

Czarny Matwij spozierał nań ciągle z ukosa, a nagle wstrząsł głową.

— Nie o to wam idzie, — przemówił pow li — coś innego leży wam na sercu i pędzi was z tych stron.

Lajos ujrzał się odgadnionym, westchnął ciężko, zakrył twarz rękami i nic nie odpowiedział.

Twarz Czarnego Matwija zaczęła na nowo łagodnieć stopniowo, i ten poprzedni wy-

raz współczucia przebijał się napowrót w oczach.

Lajos oderwał nagle ręce od twarzy i zawołał stanowczo:

— Tak, mówicie prawdę! — zawołał, — są jeszcze inne rzeczy, które mi zatruwają powietrze, które mi nie dają spocząć ani jednej chwili po tej stronie gór Matwiju, musimy iść zaraz, wy mi nie odmówicie...

I młodzieniec pochwycił za rękę swego przewodnika i silił się go pociągnąć za sobą.

Matwij z żalem czy pobłażliwością pokiwał głową, jakby odgadywał na wskróś młodzieńca.

— Czy myślicie, że wam lżej będzie po tamtej stronie? — przemówił nagle.

— O lżej, znacznie lżej! — wykrzyknął Lajos żywo, — wyjdę przynajmniej z tego zaczarowanego koła.

Matwij uśmiechnął się zlekka.

— Nie do rzeczy mówicie paniczu, — ozwał się po chwili. poważnym i uroczystym tonem, — jeśli się boicie Saperdepiksa i jego rewizorów, to ujdziecie bezpiecznie, ja wam za to ręczę, ale jeżeli uciekacie przed waszemi myślami, to wszystko daremnie, czy tu czy tam myśli te będą zawsze przed wami i

w was, przed niemi nie ukryjecie się i na dno piekła.

Domawiając ostatnich słów, Czarny Matwij zachmurzył się ponuro i ciężkie westchnienie wydarło się z jego piersi.

— O myśli, myśli te, — mruknął ciszej przez zęby zaciśnięte, — przed niemi nie masz schronienia, od nich nie opędzisz się i pod ziemią.

Zwiesił głowę na piersi i szybko przeszedł się kilka razy po chacie.

Lajos uznał trafność tego powiedzenia. On nie uchodził przed Saperdepiksem, ale przed własnemi swemi myślami. Wszakże zdało mu się, że im prędzej umknie z tych stron, tem pewniejszą znajdzie ulgę. Tutaj ziemia naprawdę paliła mu się pod stopami, a atmosfera przygniatała go ołowianym ciężarem.

— O, nie, nie, tam będzie mi lżej! — zawołał, — tu nie do wytrzymania!

Matwij ocknął się z swej zadumy i wpatrzył bystro na bladą twarz młodzieńca. Nie mówił nic, ale widocznie starał się czytać w głębi jego duszy skołatanej.

Wytrzymał to chwilkę Lajos, nagle je-

dnak rzucił się znowu naprzód, i chwycił Matwija za rękę.

— Pójdźmy, pójdźmy Matwiju! — zawołał z gwałtownym pospiechem, — na drodze wszystko wam powiem.

Biedny młodzieniec miał rzeczywiście szczery zamiar wyspowiadać się przed Matwijem, ale trawiony swym paroksyzmem febrycznym, radby prędzej tylko wybrać się w podróż.

Matwij dał się pociągnąć o kilka kroków, ale nagle się zatrzymał.

— Na chorych jak wy paniczu nie ma lekarstwa, — odezwał się, — was trawi wewnętrzny niepokój, i ten wam nie daje spocząć na miejscu i rwie was naprzód na oślep.

— Poprowadzicie mię więc! — wykrzyknął żywo młodzieniec.

Czarny Matwij zrobił jakiś dziwny gest głową i przystąpił do okna. Patrzył długo w milczeniu w nieprzebitą ciemność nocy, a wargi mu się ruszały jakby szeptał coś sam ze sobą.

Trzęsący się z niespokoju młodzieniec nie dał mu rozmyślać spokojnie.

— Pójdźmy! — powtórzył po raz już któryś.

Czarny Matwij obrócił się. Zmieniająca się dziś pokilkakrotnie twarz jego miała znowu inny wyraz. Był groźny i ponury jak w swych najczarniejszych chwilach, a oczy błysły mu jakimś złowrogim ogniem.

— We dworze niebezpieczne powietrze, — szepnął z szczególnym naciskiem, — jam was przestrzegał paniczu.

Lajos westchnął ciężko i nic nie odpowiedział.

Czarny Matwij zaśmiał się dziko.

— Patrzyliście zanadto w oczy tej panny jasnowłosej i w jej oczach utopiliście serce i duszę...

Znowu zaśmiał się dziko i ręką powiódł gwałtownie po pomarszczonem czole.

— Ja wam gadałem do rozumu paniczu, a wyście mię widzę nie słuchali...

Lajos wstrząsł się jak w febrze.

— Dajcie pokój temu, — przerwał żywo, — uratowaliście mi raz życie, dokończcie waszego dobrego dzieła i przeprowadźcie mię za granicę.

Czarny Matwij wpatrzył się w dziwny sposób na młodzieńca, a potem przystąpił bliżej do niego i wstrząsł go silnie za ramię.

— Wyratowałem wam życie, ale lepiej

żebyście byli zginęli wtedy, boście się sami zawikłali w stokroć cięższe nieszczęście niż śmierć sama. Ja znam wasz stan i ja was żałuję.

Lajos chwycił się skwapliwie tych słów ostatnich.

— Znacie mój stan! — zawołał! - a więc nie traćcie czasu, wyprowadźcie mię ztąd, albo strąćcie gdzie ze skały na złamanie karku.

Ponury odludek znowu w ten swój szczególny wybuchł śmiech.

— Chcecie kark złamać chłopcze! — zawołał tym samym dzikim chropawym tonem, jakim owej pamiętnej nocy opisywał wizyę szczególniejszą, — czy myślisz, żeby to ci się przydało na co, że wycisnęłoby choć jedną łzę z tego oka, które cię zepchnęło w przepaść na wieki?

Śmiech pomięszany z temi ostatniemi słowami zatrząsł gwałtownie młodzieńcem. Zelektryzowany cały podniósł śmiało głowę w górę, a z oczu jego jasna wymknęła się błyskawica.

— Przestańcie! — zawołał żywo, a pół się zapominając, — ona mię kocha także!

Słowa te dziwny jakiś wpływ wywarły

na Czarnym Matwiju.

Poskoczył też gwałtownie i chwytając młodzieńca po raz drugi silnie za ramię, wykrzyknął z dzikim pospiechem:

— Ona cię kocha, mówisz?

— Niestety!

Czarny Matwij trząsł nim coraz gwałtowniej.

— Ona cię kocha, ona ci to sama powiedziała? — pytał dalej z niewytłumaczoną skwapliwością.

Lajos wstrząsł głową.

— O, nie, nie, ona mi nic nie powiedziała, — szepnął, — ale drzała tak samo jak ja drżałem, serce jej biło tak głośno jak moje, takie same gorące łzy płynęły z jej oczu, jakie toczyły się piekąc po moich jagodach ..

— I ty wierzysz wszystkiemu temu, ty się nie mylisz? — ciągnął dalej Matwij z tą samą niepojętą natarczywością.

— O, gdybym mógł nie wierzyć, gdybym się milił naprawdę! — wykrzyknął Lajos, — odchodziłbym z piekłem w sercu i duszy, ale miałbym to przynajmiej pocieszenie, że sam jeden znoszę ból i męki, a ona zostaje spokojną, szczęśliwą jak była.

Czarny Matwij z gorączkową chciwością chwytał każde słowo, a widocznie jakaś coraz gwałtowniejsza miotała nim wewnątrz burza.

Puścił ramię młodzieńca i jedną rękę silnie przycisnął do czoła.

— Córka dziedzica kocha go, będzie usychać z bolu, płaczu, z nocy bezsennych...

Tu oczy jego jakiś dziki i straszny przybrały wyraz

— On pójdzie, a ona zostanie z piekłem w sercu! — zawołał i zaśmiał się, że aż włosy stawały na głowie.

Mimo całego swego wewnętrznego rozstroju nie mógł Lajos nie spostrzedz dziwnego stanu swego gospodarza. Przypomniał sobie mimowolnie ową chwilę, kiedy tajemniczy odludek jakimś strasznem porwany wspomnieniem, wpadł w rodzaj obłąkania i w napadzie srogich przewidzeń omal nie udusił go w swych uściskach.

W tej chwili miał Czarny Matwij zupełnie ten sam wyraz fizyognomii, taki sam dziki żar majaczył mu w oczach, taka sama złowroga ponurość czyniła twarz jego szpetniejszą i straszniejszą jeszcze niż była rzeczywiście.

Spostrzeżenie to niepokoiło wielce Lajosa, nie obawiał się tyle podobnej jak wówczas przygody, co opóźnienia swej podróży.

Przystąpił więc szybko do Matwija i wstrząsając go za ramię, jakby chcąc go przywrócić do przytomności, zawołał żywo:

— Nie traćmy czasu, Matwiju!

Matwij go nie słyszał, stał z oczyma w słup obroconemi, jakby dla tego jedynie miał przytomność co się dzieje w jego wnętrzu.

— Córka jego będzie boleć, rozpaczać, — mruczał z osobliwszym przyciskiem.

W tem wstrząsnął się od stóp do głowy i zatoczył w tył o kilka kroków,

— I cóż mi z tego? — szepnął ciszej, — kiedy on nie będzie tego widział, nie będzie czuł...

I znowu pięść jednę przycisnął do czoła i raz jeden szybkim krokiem przeszedł się po chacie...

— On już dziś umarły na wszystko, — mruknął tak cicho, że młody lekarz nie mógł dosłyszeć ani jednego słowa.

Nagle zerwał się jak opętany i cisnął pięść do czoła, jakby próbował sobie załamać czaszkę.

— On sobie spokojny... — ciągnął da-

lej dziki mieszkaniec Wilczej szczęki, — szczęśliwy... umarły na wszystko... nic nie widzi... nie pamięta... nie czuje... a ja... ja żyję... ja pamiętam wszystko... Przeklęta niech będzie taka sprawiedliwość!...

I po tych słowach zatoczył się pod sam kąt ściany i upadł na drzewnianą ławę, zakrywając twarz obiema dłońmi.

Lajos wpatrzył się nań przerażony i jakiemś nowem, przykrem uczuciem ścisnęło mu się serce.

Dziwna rzecz!

Cała powierzchowność Czarnego Matwija miała dlań coś nienaturalnego, jego dzikie zagadkowe momenta przejmowały go jakąś grozą nieświadomą, a z tem wszystkim jakiś węzeł tajemniczy pociągał go niewymowną siłą do niego.

Lajos nie mógł sam sobie zdać sprawy, ale czuł, że jakieś silne uczucie porusza się w nim na sam widok tego człowieka, w którego rysach samych malowały się tak wyraźnie ślady jakichś ubiegłych dzikich walk namiętności, i którego przyszłość osłaniał cień jakiejś ponurej, strasznej tajemnicy.

Nie pomyliłby się jednak wcale, gdyby taką samą niewytłumaczoną sympatyę do sie-

bie przypuszczał u Czarnego Matwija.

I od pierwszego wejrzenia jakiś osobliwszy pociąg czuł do nieznajomego młodzieńca i lubo tak troskliwie stronił od wszelkiego zetknięcia się z ludźmi, dał mu na kilka dni przytułek i schronienie u siebie.

Obecny dziwny i złowrogi, jak się zdawało, stan Czarnego Matwija zaniepokoił Lajosa mimo tego wewnętrznego rozdarcia, które dotąd pozbawiało go przytomności na wszystko.

Było to bardzo dobrze dla niego, bo niepokój ten paraliżował w drobnej części ten paroksyzm srogi, jaki odbywał się w jego sercu i duszy.

Do tej chwili Lajos w rzeczywistości nie przyszedł jeszcze do siebie po owej fatalnej scenie w pokoiku Leoni, trwał ciągle w jakimś napół nieprzytomnym stanie omroku i gorączkowego niepokoju. Przy najsroższej boleści, najdzikszej rozpaczy, musi jednak przyjść chwila opamiętania się.

W tym momencie uzyskał Lajos tyle przytomności, że mógł już zastanowić się nad niebezpieczeństwem, jakieby mu groziło, gdyby Czarny Matwij wpadł w takie same dzikie obłąkanie, jakiego był świadkiem powró-

ciwszy z pierwszej swej wycieczki z krużoskalskiego dworu.

Przerażony tą myślą, a złamany swym stanem wewnętrznym, nie wiedział jak sobie poradzić na taki wybuch powtórny.

W tem nagle podniósł się Czarny Matwij z ławy, twarz jego była smutna i ponura ale już zimna i spokojna.

Widać, że w tem potwornem ciele dziś jeszcze potworne budziły się namiętności i rozkiełzywały się w szalone walki wewnętrzne.

Spokojny i milczący postąpił tajemniczy odludek ku przeciwnej ścianie, zdjął kapelusz i gunię z kołka i mruknął z cicha ale z naciskiem:

— Pójdziemy!

XVI.

WSPOMNIENIA.

Za chwilę byli już obadwaj gotowi do podróży.

Czarny Matwij przezwyciężył zupełnie swą dziwną walkę wewnętrzną, musiał być je-

dnak bardzo silny paroksyzm, bo teraz jeszcze drgały mu wargi i policzki jak w kurczach.

Lajos wpatrywał się nań z boku z jakimś trudnym do opisania wyrazem współczucia i trwogi, i w niemem milczeniu postępował za jego wezwaniem.

Na progu sieni zatrzymał się Czarny Matwij. Wsparty ramieniem o ścianę, wypatrzył się w dal, jakby pragnął przedrzeć okiem ciemność nieprzebitą.

— Ciężka będzie przeprawa, — mruknął sam do siebie, — rewizory robią dziś obławę na bakuniarzy i trudno puszczać się zwyczajnemi manowcami. Nie pozostaje jak tylko Czartowska debra.

Wzniósł oczy do góry i wypatrzył się pilnie w czarne jak węgiel niebo.

— Po północy powinien się pokazać księżyc, — szepnął znowu.

— Zakryły go chmury podobno, — przemówił Łajos.

Matwij wstrząsł głową.

— Chmury rozstąpią się przed wiatrem.

A po chwili namysłu dodał:

— Musimy dojść pociemku do Czarto-

wskiej debry, a tam poczekamy aż zejdzie księżyc.

Postąpił o krok naprzód, i znowu się zatrzymując, potarł ręką po czole i szepnął ledwie zrozumiałym głosem:

— Dwadzieścia lat temu taka sama była noc... w ten sam dzień wychodziłem z chaty...

Lajos zaniepokoił się tem powtórnem zatrzymaniem się Matwija. Lękał się, aby nie wrócił do tego swego dziwnego stanu, w jakim widział go już po dwakroć.

— Dajcie pokój tym wspomnieniom z minionych czasów, — poderwał spiesznie, — co się raz stało nie odstanie się więcej...

— I nie powtórzy się po raz drugi, — dodał Matwij i westchnął ciężko.

— Ruszajmy więc.

Matwij pokiwał głową i zaciśniętą pięścią powiódł kilka razy po swem czole.

— Dziś właśnie dwadzieścia lat... a jak teraz wśród ciemnej nocy opuszczałem moją chatę...

— Znowu te przypomnienia..

Matwij nie zważał na przerwę.

— Po raz ostatni wychodziłem z domu ze spokojem w sercu... odchodziłem szczęście,

którego nie miałem już zastać za powrotem.

Jęknął tak głucho, że dreszcz przeszedł od stóp do głowy Lajosa.

Potem wpadł znowu w nieme, ponure zamyślenie, lecz zamyślenie to było innego rodzaju, niż przed chwilą w chacie. Wtedy jakieś dzikie, sprzeczne pasowały się w jego łonie uczucia i namiętności, w tej chwili same tylko jakieś przykre rozbudziły się wspomnienia.

— Czuję, że i dziś mię coś spotka nadzwyczajnego, — przemówił nie ruszając się z miejsca, — bo tak samo jak dziś ze strachem i trwogą opuszczałem wówczas chatę.

W tym momencie wiatr zawył dziko, zakręcił się w szalony wir na szczycie Wilczej szczęki, a potem powiał w dół, i z hukiem i świstem mknąc przez wąwóz przyległy i gubiąc się gdzieś w oddali, zajęczał tak przeraźliwie, tak okropnie, jakby dusza potępiona wpadająca na wieki w otchłań piekielną.

Matwij wzdrygnął się na całem ciele i chwycił młodzieńca gwałtownie za ramię.

— Słyszysz! — zawołał.

Lajos zadrżał także i mruknął jakby dla uspokojenia towarzysza:

— Prąd wiatru zgubił się gdzieś w przesmyku skał...

W tem nowy na Wilczej szczęce porwał się prąd, znowu zachuczał przeraźliwie i pomknął szalonym pędem w dal i z jeszcze okropniejszym jękiem skonał gdzieś jak pierwszy. Ucichło na krótką chwilę, ale tuż zaraz ozwał się niemniej przeraźliwy i przejmujący pisk, głos przerażonego puhacza leśnego w samej pieczarze Wilczej szczęki.

Czarny Matwij drżał jak w febrze i trzymał się całą siłą ramienia Lajosa, jakby się lękał być sam w tej chwili.

— Ten sam puhacz, dałbym sobie szyję uciąć!... — wybełkotał bez związku.

Lajos w swym okropnym rozstroju wewnętrznym, ujrzał się zmuszonym uspakajać kogoś innego.

— Bredzicie od rzeczy, — ozwał się.

Czarny Matwij wstrząsł się gwałtownie i nie dał mu kończyć.

— O ja znam go dobrze tego puhacza... ochrypił mu głos, tak często wrzeszczy na mnie... On mnie nie opuścił jeszcze ani na chwilę od lat dwudziestu... przebiegłem nie mało kraju... on był wszędzie za mną... i nie dał mi spokoju nigdy... osiadłem tutaj... a on

zaraz osadowił się w sąsiedztwie, w pieczarze Wilczej szczęki... to ten sam, ten sam z nastrzępionemi uszyma, z burem, terchatem piórem i czarnem jak ta noc gardłem...

Z ostatniemi słowy pomięszał się znowu ten okropny wrzask puhacza, ale tak jakoś przeciągły i łamiący się w swych tonach, że podobny był do jakiegoś szatańskiego śmiechu.

Matwij zatrząsł na nowo ramieniem młodzieńca i szepnął jak mógł najciszej:

— Słyszysz?

Lajos zachwiał się.

Potem rzucił sobą, jakby jakieś doraźne chwytał postanowienie.

— Jeśli wam tak przykro wychodzić tej nocy, — przemówił, — to zostańcie, wskażcie mi tylko najbliższy manowiec, a może sobie jakoś sam dam radę.

— O, nie, nie, poprowadzę was! — zawołał żywo Matwij, — ja się nie lękam niczego... dziwna mi tylko, że ta noc zupełnie taka sama jak tamta przed dwudziestą laty... a wówczas to była noc okropna... ostatnia noc mego spokoju ... mego nieszczęścia... mego życia...

— Podobieństwo to przywiduje się wam tylko.

Matwij uśmiechnął się gorzko.

— Ciężko mi było tak jak dzisiaj ruszyć się z miejsca...

Urwał drżący jak w febrze.

Lajos chciał coś mówić, ale zaledwie pierwszy wydobył z siebie ton, pocisnął go Matwij silnie za ramię, i przerywając tym sposobem zaczętą mowę, chwycił prędko:

— Chata moja nie była taką jak dzisiaj... o i ja sam nie byłem taki... odchodząc zostawiłem...

Nie wiedzieć czy dokończył tego sensu, bo ten przeklęty wrzask puhacza odezwał się na nowo i pomięszał się zaraz z dzikim świstem wichru, któryby najgłośniejsze przygłuszył słowa.

Czarny Matwij drgnął, potem wstrząsł głową jakby zrzucał z siebie jakiś ciężar nie potrzebny i zasunąwszy kapelusz głębiej na oczy, chwycił młodzieńca mocno pod ramię i przemówił silnym i zupełnie zdecydowanym tonem:

— Trzymajcie się mnie dobrze... zboczycie z ścieżki w tej ciemności...

Zatrzasnął za sobą drzwi od sieni, i nie zważając już ani na poświst wiatru, ani na nieustający wrzask puhacza, pomknął spiesznie na dół po tej znanej nam ścieżce, co prowadziła do gęstego boru, ocieniającego stopy Wilczej szczęki.

Lajos nie wyrzekł już ani słowa, posłuszny ślepo swemu przewodnikowi, biegł raźnie obok niego, siląc się dotrzymać mu kroku.

Przeszło godzinę pędzili razem bez wytchnienia jak owej nie mniej ponurej nocy, kiedy Czarny Matwij ocaliwszy Lajosa z rąk rozjątrzonych bakuniarzy, prowadził go do swej chaty.

Szybki bieg zdawał się zupełnie przyprowadzać do siebie tajemniczego odludka, bo ani dalszy poświst wiatru, ani ponawiający się złowrogi krzyk puhacza nie zdawały się najmniejszego wywierać nań wpływu.

Trzymając ciągle Lajosa za ramię, przeprowadził go jakąś krótką ścieżką przez bór gęsty, przerżnął się dalej w wąwóz głęboki i przebył dwie strome góry.

Wspierając się na jego ramieniu, mógł mu Lajos dotrzymać kroku, i mimo tak utrudzającego biegu, nie czuł bynajmniej po-

trzeby odpocząć, kiedy nagle Matwij spuściwszy się w wąski, gęstwiną jałowcu zarosły parów, powstrzymał się w pędzie i odsapnąwszy z pełnej piersi, powalił się na ziemię.

Lajos zaniepokoił się na razie.

— Czy słychać jakie kroki? zapytał?

— Nie, — odparł Czarny Matwij spokojnie, — ale na Czartowską debrę nie możemy się puszczać wśród takiej ciemnicy...

— Czy nie znacie drogi dobrze.

— Znam każdy jej zakręt, ale wy jej nie znacie i jednem poruszeniem niezręcznem moglibyście mnie i siebie potrącić w przepaść okrutną, że chyba tylko wiatr pozbierałby nasze kości.

Lajos umilkł i za przykładem swego przewodnika rzucił się na ziemię.

Wiatr rozłamywał się o ściany gór i nie wpadał do parowu, odpoczynek w tem miejscu był dość jeszcze wygodny.

Obadwaj nocni wędrowcy leżeli w milczeniu obok siebie, oddani tylko swym myślom ponurym.

Nieprzebita ciemność nie pozwalała rozróżnić ich rysów, możnaby jednak śmiało przypuszczać, że nie kontrastowały z tą ponurą chwilą natury.

Milczeli obadwaj, ale z piersi Lajosa wydobywało się od pory do pory ciężkie, bolesne westchnienie.

Matwij nie wydawał żadnego z siebie tonu, zdawało się jednak, że te odbijające się o jego uszy westchnienia jakieś przykre sprawiały na nim wrażenie, bo nagle podniósł głowę i przemówił głosem, który widocznie silił się być łagodnym ile możności:

— Odgońcie złe myśli paniczu, rana w młodym wieku choćby jak najgłębsza zasklepia się zawsze..

Lajos powtórzył swe westchnienie i odrzekł głucho:

— Moja nie zasklepi się nigdy.

Czarny Matwij zamilczał na chwilę

— Nie wmawiajcie w siebie paniczu, — ciągnął powoli dalej, — wyście wychowani między innymi ludźmi, dla was świat szeroki otworem, dla was znajdzie się ulga i lekarstwo na wszystko...

Przerwał sobie ciężkiem westchnieniem i prawił dalej tonem głębokiego rozmyślania:

— Co innego u nas paniczu... my wychowanki gór przywykliśmy do burz, błyskawic i piorunów w około siebie, i takie same burze, błyskawice i pioruny odzywają się nie-

raz w naszej piersi... Dla nas nie tak szeroko na świecie... serce nasze nie rozdrabia się na mnogie części... mało mamy rzeczy, do których się przywiązujemy... toż biada nam, jeśli w nas trafi takie nieszczęście, jeśli my musimy się zrzec czegoś, co kochamy nad życie...

Przy tych ostatnich słowach drżał znacznie głos Matwija, a tak się jakoś zmienił w tem rozrzewnieniu, że trudnoby go nawet poznać.

Lajos słuchał bacznie wszystkiego. Uderzyły go te słowa proste, ale pełne głębokiej rozwagi, przechodzącej zakres pojęć prostego chłopa.

Lubo młody lekarz w tak ciężkiem znajdował się przygnębieniu, słowa te potrąciły jakąż dawną obudzoną w nim ciekawość i wprowadziły go w pomimowolne zamyślenie.

Wyciągnął nagle rękę i kładąc ją na ramieniu Matwija, przemówił głosem pełnym współczucia:

— Matwiju, wyście nie szczerzy ze mną. Ukrywacie pilnie waszę tajemnicę, ale ja odgadłem ją...

Matwij zerwał się do połowy i mimo ciemności nocy mógł dostrzedz Lajos dzi-

wnego jakiegoś żaru w jego oczach.

— Odgadliście moją tajemnicę! — wykrzyknął, a głos jego chwiał się jakoś w swym dźwięku.

— Tak, odgadłem przyczynę waszego smutku nieukojonego... waszego stronienia od ludzi...

Czarny Matwij nic nie mówił, ale oczy jego lśniły jak dwa żarzące węgle wśród ciemności.

Lajos ciągnął dalej:

— Was dotknęło takie same nieszczęście, pod jakiem ja upadam w tej chwili... Wy macie także serce rozdarte i duszę pognębioną na wieki...

Matwij odetchnął.

Zdawałoby się, że jakiegoś innego obawiał się odkrycia.

— I cóż? odgadłem was? — ozwał się Lajos na zakończenie.

Czarny Matwij zamiast odpowiedzi, zapytał żywo młodzieńca:

— I wy na prawdę kochacie tę jasnowłosę pannę we dworze?

Lajosem dziwne poruszyły uczucia. Nieodgadniony ów pociąg sympatyczny, jaki go od pierwszej chwili zbliżał do Czarnego Ma-

twija, owładnął go zupełnie w tym momencie. Serce jego, przepełnione goryczą i boleścią bez miary, uczuło potrzebę wywnętrzyć się z swych cierpień i szukać ulgi w szczerej spowiedzi.

Prosty chłop z tak dziką naturą, o tak szpetnej i odrażającej powierzchowności i przy tak znacznej różnicy wieku, nie patrzał wcale na stosownego powiernika młodzieńczych uniesień miłośnych, jednakowoż wewnętrzny ów pociąg tajemniczy parł na młodzieńca z osobliwszą siłą. Nie zważając na nic, postanowił całą swą walkę wewnętrzną wylać przed tajemniczym towarzyszem, choć w duchu nie mógł nie uznawać niestosowności tego zwierzenia.

— Posłuchajcie! — zawołał, — opowiem wam wszystko, wszystko do najdrobniejszych szczegółów!

I porwany szalonym wirem swych uczuć, roztoczył przed milczącym odludkiem świeże dzieje swego rozdartego serca. Przebiegł cały peryod swej namiętnej miłości i zakończył słowy najczarniejszej rozpaczy, najzupełniejszego zwątpienia.

Czarny Matwij słuchał całego opowiadania w ponurem milczeniu, nie przerywając a-

ni pół słowem. Nie odezwał się także gdy Lajos skończył, zdawało się, że zapadł w jakieś głębokie zamyślenie.

Nareszcie westchnął ciężko i przemówił głosem zmienionym do niepoznania:

— Ciężka sprawa, panie. Bóg widzę nie dał i wam serce, coby prędko zranione, prędzej się jeszcze goiło...

Matwij westchnął znowu i po chwili milczenia prawił dalej:

— Wolałby się nie rodzić człowiek, któremu przekazano raz tylko kochać w swem życiu, a i to nieszczęśliwie...

— Wy do tych ludzi należycie, paniczu, — dodał po krótkiej pauzie.

Słowa te podobnie jak poprzednie uderzyły wielce nieszczęśliwego młodzieńca, utwierdzając go w myśli, że tajemniczy odludek jest ofiarą jakiejś okrutnej srogości losu, i bądź przez same swe nieszczęsne doświadczenia, bądź przez rozleglejszą znajomość ludzi wzniósł się umysłem nad swój stan.

Zdawało się Lajosowi, że zwierzenie swe zrobił tylko przed jakimś towarzyszem równej niedoli, jakby dla własnego pokrzepienia pragnął usłyszeć podobną spowiedź z jego ust.

Dziwny rys niezdarnej natury ludzkiej! Słysząc o większych cierpieniach bliźniego, człowiek znajduje zawsze pewną ulgę w swych własnych.

— Mówicie z taką znajomością o sercach rozdartych, — ozwał się zaraz, — jakbyście o własnym prawili losie. Mówiłem wam już Matwiju, że się domyślam, co was w taki przykry potrąciło stan.

Czarny Matwij nic nie odpowiedział, zdawał się nawet nie słyszeć tych słów. Opowiadanie młodzieńca jakieś przykre nad wyraz musiało w nim rozbudzić przypomnienie, a oddany im na pastwę, siedział kilka chwil niemy i martwy jak głaz.

Lajos nie śmiał jakoś ponowić swego zapytania i milczał także.

Naraz gwałtownie rzucił sobą Matwij i zerwał się na równe nogi.

— Głupi chłopcze! — wykrzyknął nagle dzikim głosem, jak gdyby wracał do tych swych peryodycznych napadów szaleństwa, — ty się chcesz równać ze mną!

I zaśmiał się tak przeraźliwie, że aż echo zajęczało gdzieś w drugim końcu parowu.

— Ty znasz boleść serca, ale czy wiesz

ty, co to jest, kiedy robak toczy sumienie? — wrzasnął tym samym dzikim głosem.

— I ja kochałem kobietę! — wykrzyknął po krótkiej pauzie, — ale nie tak jak wam się zdaje, wam, co może nie wierzycie w serce chłopa. Byłem sam jeden na świecie, ta kobieta była mi wszystkiem, światem całym... Moja dusza przykuła się tak do jej duszy, że piekło same nie mogłoby jej oderwać. Mogłem zgrzeszyć przeciwko Bogu... ale nigdy przeciwko niej... jam ją kochał więcej jak Boga...

Zakrztusił się nagle, jakby dalsze słowa o jakąś zaporę utykały w krtani.

— I cóż? — wykrzyknął Lajos mimowolnie, — ta kobieta was zdradziła?...

Czarny Matwij ryknął jak szalony i chwycił całą siłą za ramię młodzieńca.

— Ty wiesz o tem, ty wiesz o tem? — wrzasnął z dzikim impetem.

— Domyślam się tylko, — poszepnął prędko młodzieniec, przestraszony tym gwałtownym wybuchem.

Matwij opamiętał się i puścił ramię Lajosa.

— Zdradziła, — szepnął zcicha przez szczelnie zaciśnięte zęby z przytłumioną wcie-

kłością i rozpaczą, — zdradziła choć mi przysięgła przed Bogiem...

— Więc to była żona wasza? — przemówił Lajos znowu mimowolnie.

— Żona! żona! — dzwonił Matwij w straszny sposób zębami: potem jęknął głucho, zakrył twarz oboma rękami i wykrzyknął rozdzierającym tonem:

— Byłem mężem i ojcem!...

Bełkotał coś jeszcze przez zaciśnięte zęby ale Lajos nie mógł tego słyszeć zgoła, bo w tej chwili odezwał się znowu ów złowrogi, przenikliwy pisk puhacza.

Matwij zaśmiał się jak poprzednio.

— Słyszysz, słyszysz, — przemówił, — nie mówiłem ci, że ten puchacz nie odstępuje mię nigdy,.. gdzie się ruszę, on za mną...

Lajos chciał go uspokoić, ale Matwij nie pozwolił sobie przerywać.

— O ja znam dobrze jego głos, — ciągnął dalej, — wiem kiedy co oznacza. Dawno już nie wrzeszczał tak jak dzisiaj... dziś mię zaskoczy coś nadzwyczajnego...

Wszystko to mówił coraz spokojniej, coraz pewniejszym tonem.

Pod wpływem tych refleksyi złowrogich uśmierzała się powoli sroga burza, która się

już dziś pokilkakroć zrywała i uciszała w jego łonie.

Lajosem bardzo przykre jednak zawładnęły uczucia, to ciągłe odwoływanie się do złych wróżb przejęło go jakąś obawą zabobonną. Przeląkł się na prawdę, aby nie stał się przyczyną jakiego nieszczęścia dla swego przewodnika, do którego jak wiemy tak szczególną czuł sympatyę.

— Macie widzę jakieś złe przeczucie, — ozwał się naraz,— wróćcie zatem do domu... przeczekam zejścia księżyca i trafię jakoś sam na drogę...

Czarny Matwij nic nie odpowiedział, zdawało się jednak, że coś szemrze sam do siebie.

. . . .

W tem nagle rozdarła się od zachodu w wąską szczelinę czarna zasłona nieba i skąpy pęk promieni księżyca spłynął na ziemię.

Jaśniej zaraz zrobiło się dokoła.

Czarny Matwij oderwał ręce od twarzy i przechodząc znowu w ten swój zwyczajny ton surowy i ponury, rzekł:

— Możemy się już puścić na Czartowską debrę!

XVII.

CZARTOWSKA DEBRA.

Chcąc dostać się do Czartowskiej debry, było tylko iść wzwyż strumyka, co mknął u stóp Wilczej szczęki, a wytryskał na najdalszych grzbietach Beskidu, w samem rozgraniczu między naszym krajem a Węgrami.

O niespełna pół mili za Wilczą szczęką piętrzyły się do równej niemal wysokości dwie olbrzymie góry, położone tak blisko i tak równolegle obok siebie, że zdawały się raczej jedną kolosalną bryłą, rozłupioną w samej połowie od szczytu aż do głębi stóp.

Prostopadłe, strome ściany zwróconych do siebie stron i strumyk płynący środkiem między niemi, nadawały niejakiego prawdopodobieństwa temu przypuszczeniu.

Zdawałoby się, drobny ten strumyczek długie, długie lata wiercił sobie przesmyk w łonie góry, i tak w końcu przemulił jej wnętrzności, że przy jakiemś silniejszem wstrząśnieniu natury rozłupała się na dwoje i utworzyła straszną przepaść w swym środku, której dno niezmordowany strumyk powoli uwolnił z rumowisk i ośrebrzył swą wstęgą szemrzącą.

Zawsze jednak sterczały na dnie ogromne bryły, opierały się prądowi strumyka, bądź świeżo kiedyś poodrywały się z stromych ścian.

Bujna wyobraźnia ludu górskiego inną jednak do powstania Czartowskiej debry przywiązywała tradycyę.

Według niej — to ten djabeł niecnota z Wilczej szczęki, sprawca wszystkiego złego w górach, główny gospodarz czarodziejskich harców na Łysej górze i udzielny zwierzchnik wszelkich praktyk nieczystych w Beskidzie, on to utworzył tę dziką przepaść i od niego też przybrała swe miano.

Czarny Fed'ko przewodniczył jakiemuś czarnoksięskiemu zebraniu w Węgrzech i przed zapianiem koguta wracał do swego zwykłego schronienia w pieczarze Wilczej szczęki. Znużony długą jazdą nadpowietrzną, przysiadł na szczycie góry i chciał odsapnąć trochę, kiedy tuż obił się o jego uszy głos piejącego w Krużoskalu koguta. Wściekły gniew zatrząsł szatanem, zgrzytnął tak okropnie zębami, że się aż poruszyły krużoskalskie dzwony, lasy zaszumiały jak przy trzęsieniu ziemi, a potem z taką siłą palnął ogonem po grzbiecie góry, że jakby nożem, przeciął ją

aż do najdalszej głębi, którędy sączyło się zródło.

Tak powstała Czartowska debra, ztąd się wziął ów drobny strumyk na dnie rozpadliny.

Po dziśdzień lubuje się beskidzki djabeł swą kreacyą, i nieraz nocą przesiaduje na jednym z dwóch szczytów, a swój wyciągający się do stumilowej długości ogon spuszcza w dół i pluszcze po strumyku.

Nie jeden wilk i niedźwiedź, co po takiej kąpieli djabelskiego ogona chciał chlipnąć wody, sparzył sobie mordę, że tygodnie całe wył i skomlił jak opętany...

Czartowska debra ma tak ważną rolę odegrać w naszej powieści, że koniecznie wypada nam zatrzymać się przy niej nieco dłużej.

Jeżeli jednak pod jej ogólną nazwę wliczymy i przepaść samą i oba szczyty gór, to właściwie chodzić nam może tylko o jedną jej część, to jest o ścianę po lewej stronie przepaści.

Ściana ta osobliwszy przedstawia widok: stroma jak mur najprostszy, pnie się do znacznej wysokości, lecz nagle mniej więcej na dwa sążnie przed samym szczytem cofa się o

jakie dwie lub trzy stopy w tył, i tworzy tym sposobem wzdłuż całej ściany rodzaj wąskiego rusztowania.

Po tem szczególnem wygięciu czy rusztowaniu ciągnęła się ścieżka, po której można było pojedyńczo przejść wygodnie po nad przepaścią i dotrzeć do gęstych borów, co ciągnęły się już jednym nieprzerwanym szlakiem na milę przeszło po za węgierską granicę.

Trzy na ten niebezpieczny przesmyk prowadziły ścieżki, lecz jeden tylko pozostawał wychód. Na Czartowską debrę można było zajść z dołu od Wilczej szczęki, albo z boku stromą ścieżką od przepaści, lub nieco dalej można było spuścić się ostrożnie z samego szczytu.

Wszakże znalazłszy się raz na szczycie Czartowskiej debry, potrzeba było iść aż do spadzistego parowu, który przerzynał drogę od boru, a chcieć spiąć się do góry na sam szczyt lub spuścić się na dół ku strumykowi znaczyło to samo, co na nieochybnę rzucać się śmierć.

Strumyk mknął o kilkadziesiąt sążni w dole, a jak istny wąż srebrzysty wił się między mnóstwo oderwanych brył, jedne omija-

jąc starannie, drugie podrywając spodem, trzecie opasując z obu stron pluszczącemi falkami.

W dawnych czasach, kiedy istniała jeszcze granica celna od Węgier, odgrywała Czartowska debra niepospolitą rolę w wyprawach bakuniarzy. Jej manowcem prowadziła najkrótsza droga przez granicę, bo byle ją przemytnik przebył szczęśliwie i przedarł się przez parów — a zgubił się zaraz w gęstym borze, w którym najlepszą mógł zmylić pogoń.

W innych przesmykach musiał bakuniarz co chwila obawiać się zasadzki, z za każdej góry, z każdego wąwozu mogli wypaść czatujący rewizory. Czartowską zaś debrą można było od razu przejrzeć okiem, a jeżeli tylko na wstępie i u wychodu nie groziła zasadzka, można było czuć się bezpiecznym jak na murowanym gościńcu.

Z tem wszystkiem tylko w nadzwyczajnie ważnych wypadkach służyła Czartowska debra za przesmyk bakuniarzom lub zasadzkę rewizorom. Obie strony czuły równy jakiś wstręt do tej drogi.

Bakuniarzy straszyło, że nie mogli iść kupami ale gąsiorem musieli wlec się jeden

za drugim w ciągłem niebezpieczeństwie, tak, że jeden rewizor stojąc u wyjścia, mógł na tej napowietrznej niejako ścieżce zatrzymać całą bandę.

U rewizorów te same przemawiały względy, a nadto musiało ich niepokoić, że można było snadnie wpaść między dwie bandy. Co jednak najwięcej straszyło i jednych i drugich, to to, że wszelkie spotkania się na Czartowskiej debrze najokropniejszemi groziło następstwami. Przeciwnicy nie potrzebowali używać żadnej broni, niechby tylko czołami uderzyli o siebie wzajem, a mogli razem runąć w przepaść bez ratunku.

Kilka takich przypadków przechowywało się w pamięci beskidzkiego ludu.

Raz w ciemnej nocy pięciu bakuniarzy zetknęło się w samym środku debry z trzema rewizorami, a nazajutrz rano ośmiu trupów znaleziono na dnie strumyka, wszystkie z roztrzaskanemi o bryły skał głowami.

Innym razem bakuniarze uciekali przed goniącymi rewizorami przez Czartowską debrę, a w pospiechu ucieczki i pogoni dwom bakuniarzom i jednemu rewizorowi powinęła się noga, i wszyscy trzej spadli trupami na dół.

Dwa czy trzy razy spotkali się rewizorzy na Czartowskiej debrze z bakuniarzami i obie strony czując wzajemne niebezpieczeństwo, zawierały rozejmy i krok za krokiem cofały się wstecz bez wszelkich wzajemnych nagabywań.

Najpamiętniejszą jednak stała się Czartowska debra przez śmierć Maksyma Bordy, najsłynniejszego na całym Beskidzie bakuniarza.

W tem miejscu przed dwudziestą laty wpadł Maksym przez niecną zdradę w zasadzkę rewizorów. Łysy Pańko miał trzymać straż u parowu za Czartowską debrą, lecz sam sprowadził zasadzkę.

Maksym Borda ujrzał się nagle z liczną bandą odcięty z zaplecza,a zagrożony strzałami od strony parowu. Banda jego choć z kilkunastu złożona ludzi, nie mogła w swym gąsiorowym szyku stawić silnego oporu, lecz Maksym rzucił się jak lew naprzód i próbował przebić się przez kupę strażników.

Rewizorzy znając zapalczywość i zuchwałą odwagę bakuniarza, dali ognia, a Maksym Borda ugodzony kilką jak się zdawało kulami, potoczył się w przepaść Czartowskiej debry, która od Topielcowego źródła do paro-

wu nie wiedzieć dla czego zwała się także Sołtysim wąwozem.

W pospiechu opisu o mało jednak nie pominęliśmy największej osobliwości Czartowskiej debry — tak zwanego Topielcowego źródła.

Ten mały strumyk, co mknie na dnie przepaści, tylko w czasie nagłej ulewy wzbierał do znacznej głębokości, zwyczajnie zaś ledwie mógł przykryć dno swego koryta. W czasie pogody wydawał się jak istna wstęga przejrzysta, przez której delikatną tkaninę można było rozróżnić każde ziarnko piasku u spodu.

W jednem tylko miejscu, już nieco bliżej parowu, gdzie właśnie najstraszniejsza z góry wydawała się przepaść, robił pod tym względem wyjątek.

Nie wiedzieć jakim sposobem, czy przez gwałtowny wir w czasie wezbrania strumyka, czy z nacisku silnego źródła z głębi, utworzyła się tu nagła wyrwa czyli jama na sążen przeszło długa, a na pół szeroka, o której głębokości bajeczne między ludem obiegały wieści.

Drobny strumyk utonął niejako w tej

jamie, i dopiero napełniwszy ją do wierzchu, mógł wymknąć się do dalszego biegu. Oczywiście, że przez to musiał utworzyć rodzaj wiru, który wiecznie pienił się i szumiał głośno.

Dla zabobonnego ludu, który wszystkie niezwyczajniejsze zjawiska natury z swemi przesądnemi wiąże wyobrażeniami, miała i ta wyrwa swą właściwą nazwę i swe właściwe znaczenie.

Było to jak mówiono siedlisko strasznego topielca, to jest złego ducha, który powstał z człowieka, co w nurtach wody szukał samobójczej śmierci. Topielec taki czuje największą rozkosz utopić jakiego żyjącego człowieka, ponieważ jednak władza jego rozciąga się tylko w pewnym ścisle ograniczonym obszarze, więc różnemi sposobami sili się przywabić do siebie człowieka. Wnet jęczy i kwili jak dziecię podrzucone, wnet charcze i stęka jakby jakiś zaskoczony chorobą przechodzeń, wnet śmieje się tak powabnie i nęcąco, że każdemu wydaje się jak śmiech swawolnej dziewczyny.

Ale biada kto usłucha zwodniczego głosu! przepadł na wieki, gdy się tylko zbliży do topielcowej kryjówki!

Znają się już poczciwi górale na tych wszystkich wabikach topielca, i nie łatwo da który złowić się w jego objęcia. Najgorzej jednak, gdy topielec połączy się z obłędem, innym osławionym duchem, którego największą rozrywką omamiać zmysły podróżnych i sprowadzać ich na błędne drogi.

Obłęd sam o sobie nie wiele złego zrobi człowiekowi, najwięcej że go całą noc będzie wodził po najdzikszych ostępach i wertepach, a nad samym rankiem postawi w tem samem miejscu, zkąd go wziął pod swe niewidome przewodnictwo.

Biada jednak jeżeli obłęd połączy się z topielcem lub innym jakim złym duchem, wtedy omamiając zmysły nieszczęśliwego wędrowca, zawiedzie go wprost w ramiona zguby nieochybnej.

Topielec z Czartowskiej debry miał to dobrego do siebie, że lubo mnóstwo obłędów przesiaduje na Beskidzie, z żadnym jakoś czy nie mógł czy nie chciał zawrzeć sojuszu wzajemnej pomocy i musiał na własne ograniczać się siły. Przez to jednak nie był tak strasznym, bo Czartowską debrą mało kto przechodził, a i ten komu tamtędy szła droga,

miał się dobrze na baczności przed ponętami topielca, zresztą i nieco za trudno przyszłoby mu złazić z stromej ściany do jego siedliska.

Toż krótko mówiąc, topielec Czartowskiej debry nie był wcale tak straszuym i niebezpiecznym jak inni jego bracia i koledzy. Być może, że już zbytnia starość osłabiła jego zapalczywość na życie ludzkie, lub może władca piekieł dał mu już chleb łaskawy i pozwolił siedzieć spokojnie w tym dzikim ostępie.

Wiedziano wprawdzie na całym Beskidzie o jego siedlisku w Czartowskiej debrze, ale nikt sobie nie przypominał, aby stał się sprawcą jakiego nieszczęścia.

Najwięcej, że go ktoś posłyszał jak się pluskał w jamie i czasem sam do siebie gadał po cudzoziemsku.

Od tego topielczego źródła czy gniazda aż po parów przybierala przepaść Czartowskiej debry nazwę Sołtysiego wąwozu.

Od czego właściwie wyprowadzała się ta nazwa nie wiedział nikt w okolicy, istniała jednak od niepamiętnych czasów.

Do Sołtysiego wąwozu runął jak wiemy z pierwszych rozdziałów trup Maksyma Borby. Przystęp do wąwozu był niezmiernie

trudny nawet od tego poprzecznego parowu, toż dopiero ze świtem nazajutrz mogli rewizory spuścić się w dół i szukać ciała.

Nie znaleźli go jednak nigdzie: prócz wielkiej kałuży krwi na jednem miejscu, nie pozostał żaden inny ślad po Maksymie.

Różne ztąd urosły domniemania. Zdawało się wszystkim istnem niepodobieństwem, aby Maksym przeszyty kulami i powalony w taką przepaść okrutną mógł ocaleć jakim sposobem, chodziło tylko o to, gdzie się podział trup.

Jedni twierdzili, że tej samej nocy jeszcze musiały do parowu zlecieć się wilki i rozwlekły ciało i kości nieszczęśliwego na wszystkie strony, inni składali zniknięcie trupa na karb piekielnego mieszkańca Wilczej szczęki, inni wreszcie przebąkiwali o topielcu.

Lecz koniec końców trup się nie znalazł nigdzie, a i sławny bakuniarz Maksym Borba nie pojawił się nigdy więcej.

Lecz nie sam tylko on jeden zniknął owej nocy. Wraz z nim zniknął jeszcze ktoś inny, o którym dotąd może nawet z ujmą artystycznej strony powieści wszelkiej wystrzegaliś-

my się wzmianki, aby przedwcześnie nie osłabić interesu dla opowiadania.

Zbliżamy się jednak szybko do rozstrzygającej chwili i ta ukrywana dotąd troskliwie tajemnica rozsłoni się niebawem przed naszemi oczyma.

Od strasznego zgonu Maksyma Bordy większy jeszcze przestrach wiał od Czartowskiej debry i miejsce to jeszcze rzadziej niż pierwej ściągało ku sobie wędrowców...

XVIII.

SALTO MORTALE.

W tej chwili szybkim krokiem zbliżali się ku Czartowskiej debrze nasi dwaj nocni podróżni, Czarny Matwij i Lajos.

Chmury na niebie rozwiały się do reszty. Księżyc jasno oświecał dziką okolicę, oba olbrzymie szczyty Czartowskiej debry jeżyły się już wyraźnie przed oczyma.

Obaj wędrowcy mają przebyć jeszcze szeroką kępę zarosłą jałowcem, nim dotrą do

ścieżki, co do znanego nam prowadzi przejścia nad przepaścią i Sołtysim wąwozem.

Czarny Matwij szedł milczący w ponurem zamyśleniu, a i Lajos nie miał już znać ochoty do dalszych zwierzeń, bo z zwieszoną na piersi głową postępował oniemiały z swym przewodnikiem.

Uszli dobrą staję, gdy w tem Matwij przystanął i pilnie nadstawił uszy.

Lajos podniósł głowę zaniepokojony.

— Cóż-to? — zapytał.

Czarny Matwij skinął nań ręką, jakby się dalszej obawiał przerwy i dobrą jeszcze chwilę słuchał nieruchomie.

— Zdawało mi się, — przemówił, wyciągając rękę ku lewej stronie, — że jakieś głosy zalatują od wądołu.

Lajos nadstawił także uszu, ale nie słyszał nic zgoła.

— Przywiduje wam się, — mruknął.

Matwij uśmiechnął się.

— Mam ja inne uszy paniczu, — mruknął.

I postąpiwszy krok, znowu przystanął i znowu dobrą chwilę w dawnej wytrwał postawie.

— Mniejsza o to,— ozwał się nagle, — choćby i w samej rzeczy był kto w wądole, to będzie za nami. Nie mamy się czego obawiać na Czartowskiej debrze.

Lajos nic nie odpowiedział — on pierwszą i drugą razą pilnie nadstawił uszu, a żadnego nie posłyszał głosu.

Czarny Matwij przyspieszył kroku i szybko przerzynał się między jałowcowe zarośle, torując niejako drogę towarzyszowi.

Naraz stanęli u brzegu strumyka, który z wesołym pluskiem wymykał się rączo z Czartowskiej debry, i omijając jałowcową kępę, płynął rączo w niezliczonych zakrętach ku Wilczej szczęce.

— Otóż i Czartowska debra, — bąknął ponury przewodnik Lajosa, a w głosie jego przebijało się jakby lekkie drżenie.

Lajos wytężył oczy i dziwna rzecz, widok tych dwóch gór bliźniaczych, przerzniętych przepaścią prądem strumyka, osobliwsze jakieś sprawiał na nim wrażenie.

Zatrzymał nagle krok i chwytając za ramię Matwija, zapytał z zadziwiającym pospiechem:

— Jakto? to jest Czartowska debra?

Czarny Matwij spojrzał na młodzieńca zdumionemi oczyma.

— A to, — mruknął.

— I tędy dawniej przeprawiali się bakuniarze? — pytał Lajos natarczywie dalej.

— A tędy, — odparł Matwij i twarz jego przybrała ten ponury, odstraszający wyraz, jaki wybijał się na niej już pokilkakroć tego wieczora.

— Dla czegoż jednak tak chciwie się o to dopytujecie? — zapytał po chwili młodzieńca, widząc, że z gorączkowem zajęciem rozpatruje się dokoła.

Lajos nic nie odpowiedział na razie, tarł tylko czoło i błądził oczyma, jakby jakieś dziwne zbierał wrażenia.

— Czyście słyszeli co o Czartowskiej debrze albo Sołtysim wąwozie? — przemówił znowu Matwij, którego dziwne zajęcie młodzieńca zdawało się czegoś intrygować niepospolicie.

— Sołtysi wąwóz? — wykrzyknął żywo Lajos, — w nim zginął Maksym Borba!

Matwij odskoczył o krok i wpatrzył się w towarzysza, jakby go chciał przeszyć na wskroś swemi płomieniejącemi oczyma i zawołał nawet nieco zmienionym głosem:

— A zkądże wy wiecie o tem?

Lajos nie przestawał śledzić oczyma całej okolicy, oświetlonej blademi promieniami księżyca.

— Opowiadał mi o tem cygan Jańcza, — odezwał się po chwili, i nie ruszając się z miejsca, wpadł w jakieś głębokie zamyślenie.

Czarny Matwij patrzył nań chwilę z badawczą uwagą, potem głową kiwnął z jakimś sobie tylko wiadomem znaczeniem i ruszył naprzód.

— Pójdźcie, pójdźcie paniczu, — rzekł, — do ścieżki jeszcze kawał za strumykiem, a i po niej dobrze przyjdzie drapać się do góry.

Lajos ocknął się z zadumy, mruknął coś niezrozumiale przez zęby i postąpił za przewodnikiem, który zwolna spuszczał się z brzegu strumyka.

Po drugiej stronie strumyka powstrzymał się znowu i obracając się ku Lajosowi, wyciągnął rękę ku wądołowi.

— A teraz słyszycie? — zawołał.

W samej rzeczy w tej chwili zaleciał z boku jakby jakiś głos przytłumiony.

—Może jakie zwierzę,—przebąknął Lajos.

Czarny Matwij wstrząsł głową.

— O, nie, nie, dałbym gardło, że to rewizory w zasadzce! — ozwał się żywo, — respicyent nie nadarmo zjechał do dworu.

— A więc wróćmy! — wykrzyknął Lajos za pierwszym impulsem.

— O nie oni nam tu nic zrobią, — mruknął przewodnik Lajosa, — lecz co u licha oni robią w tym wądole?...

Zadumiał się i w milczeniu pokiwał głową.

— Wargaty Jurko ma dziś z swoją bandą wracać z Węgier, — mruczał więcej sam do siebie, — lecz pocóż oni zasadzili się w wądole... tamtędy żaden nie prowadzi manowiec.

— A może oni obsadzili i Czartowską debrę, — ozwał się Lajos.

Matwij wstrząsł głową.

— Od śmierci Maksyma Borby, — mruknął, — żaden jeszcze bakuniarz i żaden rewizor nie stanął nogą po tym manowcu...

Przy ostatnich słowach wzdrygnął się czegoś.

— Żeby nie to dziwne przeczucie, co mię dziś trapi, — bąknął.

— Trwożycie się ciągle tem przeczuciem! — zawołał Lajos, — otóż najlepiej będzie jeśli mnie usłuchacie. Powiedźcie mi tylko jak się trzymać przebywszy Czartowską debrę, a sami wróćcie do domu.

Matwij zaśmiał się.

— Wam się zdaje, — odezwał się, — że jak człowieka ma dotknąć coś nadzwyczajnego, to potrzebuje tylko wleźć za piec, aby się ochronić od wszystkiego złego.

Wybuchł znowu głośnym śmiechem, a potem pokiwał głową i mruknął jak przedtem, więcej do siebie samego:

— Trzecia to noc w życiu, która mię taką przejmuje trwogą. Tamte dwie były okropne... mogę więc naprzód wiedzieć, jaka i ta trzecia...

Głos jego drżał widocznie, a znamionował takie jakieś silne fatalistyczne przekonanie, że Lajos nie mógł się lekkiego ustrzedz drżenia.

— Zamykacie wasze zmartwienia szczelnie w waszych piersiach, — ozwał się głosem współczucia, — nie szukacie ulgi i pociechy w wywnętrzeniu się przed jakiem sercem przyjaźnem, więc też wszystko co bierzecie za

przeczucie przyszłych nieszczęść, jest tylko żywszem ocknięciem się dawnych boleści.

Czarny Matwij nie słuchał, a może nawet nie rozumiał tych słów ukajających.

Widocznie był on cały czarny wieczór dzisiejszy w jakiemś osobliwszem usposobieniu. Te wszystkie przejścia od jakichś gwałtownych wybuchów dzikości i rozpaczy do spokoju ponurej rezygnacyi, ten dreszcz przechodzący go od stóp do głowy i inne mniej uderzające symptomata świadczyły najwyraźniej, że całym jego organizmem jakieś nadzwyczajne wstrząsały wpływy.

Stał teraz na miejscu niemy i nieruchomy i oczy tylko wytężył ku Czartowskiej debrze, jakby jakieś napół uśpione zbierał przypomnienia.

Rzecz szczególna. I Lajos wpatrzył się czegoś chciwie w Czartowską debrę, a nawet co szczególniejsza i w jego duszy rodziła się na widok tego dzikiego ostępu jakaś dziwna obawa, z której nie mógłby sobie zdać sprawy.

Zdawało się, że i w nim jakieś przykre budzi się przeczucie: przynajmniej sam nie wiedział dla czego ta Czartowska debra przej-

mowała go pewną trwogą nieświadomą.

Podobnie jak i Matwij wpatrzył się w nią w niemem zamyśleniu, naraz ocknął się:

— Ha, cóż będziemy stali tu napróżno Matwiju, — ozwał się, — albo skręćmy gdzie na inny manowiec, albo puśćmy się raz naprzód.

— Pójdźmy, — rzekł Matwij stanowczo.

Po krótkiej zaś chwili dodał z niejakiem wahaniem:

— Kiedyś i wy mój paniczu poznacie, że są na świecie przeczucia, które nam naprzód zapowiadają jakieś nieszczęście, jakąś przygodę niespodziewaną a nadzwyczajną. Dałby Bóg abyście do tego przekonania nie przyszli zaraz od dzisiejszej nocy.

Łajos wstrząsł się.

— Stan wasz zaraźliwy,— przemówił po chwili, — słuchając ciągle waszych wróżb niepomyślnych i ja uczuwam jakąś trwogę nieświadomą.

— Tem gorzej, — mruknął Matwij, — nie skrupi się wszystko na mnie jednym...

Nagle poprawił lepiej kapelusz na głowie i posunął naprzód, a za nim Łajos.

Przebyli prędko przestrzeń między strumykiem a ścieżką, co prowadziła już wprost na znany nam manowiec.

Matwij obrócił się do Lajosa i podał mu koniec swej laski z toporkiem.

Oba szczyty Czartowskiej debry sąsiadowały z sobą tylko o kilkadziesiąt sążni, ale łączyły się z przeszło ćwierćmilowym połamanym i coraz wyżej piętrzącym się garbem, po którym trza się było dostawić w górę.

Nasi podróżni wstępowali właśnie na ścieżkę garbu.

Czartowska debra leżała właściwie tuż przed nimi, i tylko te nieustanne zakręty spadania i wznoszenia się ścieżki robiły, jak napomknęliśmy, około ćwierć mili drogi.

Obaj wędrowcy u-zli spory kawał w milczeniu, a oddaleni znaczniej od owego wądołu w boku, nie mogli się już trwożyć zalatującemi ztamtąd głosami.

Wszakże zaledwie ruszyli z miejsca i zginęli w zakrętach ścieżki, ozwały się z wądołu nie już głosy przytłumione, ale jakieś kroki wyraźne, posuwające się wprost ku Czartowskiej debrze.

Tymczasem Matwij i Lajos spieszyli bez

wytchnienia ku szczytowi.

Obadwaj nic nie mówili, ale rzecz dziwna, im więcej zbliżali się do owego fatalnego miejsca, tem bardziej wzrastał w nich ten niepokój tajemniczy.

Matwija przechodził dreszcz od chwili do chwili, a Lajos z osobliwszym, trudnym do wytłumaczenia wyrazem oczu rozpatrywał się dokoła, a kiedy niekiedy gwałtownie potarł czoło i zrobił gest szczególny, który godził się zupełnie z wyrazem oczu.

Do szczytu Czartowskiej debry niepozostawało już jak kilkadziesiąt kroków; ztamtąd wzdłuż Sołtysiego wąwozu aż do poprzecznego parowu był dobry jeszcze kawał, który jak wiemy, trzeba było przebywać po wąskiej ścieżce, jakby po wąskiem rusztowaniu, przybitem do jakiegoś gmachu nad bezdenną przepaścią.

Ścieżka, po której stąpali podróżni, załamywała się już po raz ostatni i odtąd prosto sznurkiem prowadziła do niebezpiecznego przesmyku u szczytu.

Na niebie tymczasem prawdziwie jak w jesieni nowa zaczęła zachodzić zmiana.

Niedawno tak chmurne i posępne rozjaśniło się było zupełnie przed chwilą, księżyc

wiecił w najsilniejszym swym blasku, a jedna gwiazda po drugiej wychylała się z za mgły.

Lecz nagle na wschodzie jakaś czarna jak węgiel wystąpiła smuga, a rosnąc i olbrzymiejąc co chwila, zalewała coraz większy obszar nieba. Mnóstwo gniazdek znikło już pod jej nieprzebitym kirem, a sam księżyc i reszta gwiazd bladły na jej zbliżenie jakby ze strachu.

Matwij podniósł głowę do góry i z niezadowoleniem pokiwał głową.

— Ledwie będziem mieli czas przejść przez debrę, — mruknął, — znowu się chmurzy.

A i ten wiatr przeraźliwy, co z takim dzikim hukiem mknął pomiędzy wąwozy, kiedy obadwaj wędrowcy schodzili z Wilczej szczęki, zawył z podwójną siłą na nowo i z takim jakimś rozdzierającym ucho jękiem i piskiem zakręcił się tam dalej w Sołtysim wąwozie, że można go było wziąć naprawdę za jakąś muzykę czartowską.

Lajos zadrżał od stóp do głowy i z przestrachem wypatrzył się na swego towarzysza.

Matwij przystanął na miejscu i wyciągnął jeden palec w górę.

— Poczekajcie, — przemówił głucho, — zaraz się tu odezwie i mój puhacz towarzysz... On w takich chwilach nie braknie nigdy...

W milczeniu słuchali obadwaj.

Dziki poświst wiatru ustał na krótki moment, a tuż zaraz ozwał się ten przeraźliwy wrzask puhacza, który od samej Wilczej szczęki towarzyszył naszym wędrowcom.

Złowrogi wrzask puhacza ma w sobie coś przejmującego do głębi, kiedy go słyszymy w pogodną noc letnią w towarzystwie ludzi i wśród zaludnionych budynków, o ile straszniejszym musiał się wydać w tej odludnej ustroni, gdzie każdy ton w głośne i przeciągłe łamał się echa i niejako jeszcze straszniejszy wywoływał wtór.

Matwij zaśmiał się dziko.

— A co, nie mówiłem wam, — rzekł — mój towarzysz nie braknie nigdy... my znamy się dobrze... Wrzeszcz, wrzeszcz piekielny puhaczu!... tyś jeden wytrwał przy mnie lat kilkanaście...

Jakby zrozumiał te słowa puhacz, bo tuż zaraz zawrzeszczał jeszcze okropniej niż pierwszym razem, a ostatnie jego tony zmięszały się z poświstem nowego prądu wiatru,

który zda się powstawał na szczycie debry i z szalonym zamachem rzucał się w dół ku strumykowi.

Matwij przycisnął pięść do czoła i stał milczący, nieruchomy jak nieżywy.

Młody lekarz wzdrygnął się na całem ciele i z rodzajem zabobonnego przestrachu powiódł dokoła oczyma.

— To szczególna, to niepojęta, — mruknął sam do siebie.

A potem chwycił nagle za ramię swego przewodnika i zawołał:

— Pójdźmy, pójdźmy Matwiju, tu możnaby stracić zmysły... mnie jakiś dziwny omamił szał... zdaje mi się, że to miejsce... taką noc... taki sam wrzask puchacza poznałem już raz w życiu mojem i to tak niedawno... jakby wczoraj dopiero...

Matwij kiwnął głową i nic nie odpowiedział na razie, dopiero kiedy ten szalony prąd wiatru złamał i zgubił się gdzieś w Sołtysim wąwozie, obrócił się ku Lajosowi i wpatrzył się nań oczyma, w których wyraźnie malowało się wzruszenie.

— Wy tam macie na Węgrzech rodzinę? — przemówił.

Lajos uśmiechnął się z goryczą.

— Ja rodzinę! — odrzekł ponuro, — nie mam jej teraz i tak jakbym jej nie miał nigdy.

— Jakto?

— Wychowałem się i urosłem u obcych ludzi...

— Ale mieliście przecie rodzinę? — przemówił Matwij jakby nie pojmował dobrze słów młodzieńca.

Lajos z impetem potarł czoło i westchnął ciężko.

— Mówiłem wam przy pierwszem poznaniu, — rzekł — że urodziłem się po tej stronie gór.

— Tak, przypominam sobie, — wycedził Matwij w głębokiem zamyśleniu, jakby sobie dopiero starał przypomnieć to powiedzenie.

Lajos z jakimś febrycznym ferworem ciągnął dalej:

— Małem dzieckiem dostałem się dziwnym sposobem na tamtą stronę gór... Miałem może wtenczas pięć lub sześć lat, lecz wychowany w dzikich górach, umiałem zaledwie tyle tylko pojąć, że wiedziałem jak się nazywam... Wyrzucony osobliwszem zdarzeniem na obcą ziemię, szedłem na oślep, dopóki mi wystarczały siły i na pół nieżywy

przywlokłem się pod mury klasztoru, co stoi tu zaraz po drugiej stronie gór!...

— O znam ten klasztor! — wykrzyknął Czarny Matwij, wytężając gorączkową uwagę na opowiadanie młodzieńca, — stoi na wysokiej górze... dobry kawał ode wsi...

— Tak, — ciągnął Lajos prędko, — do tego klasztoru przybłąkałem się małe, na pół nieżywe z głodu, unużenia i przestrachu dziecię, umiejąc zaledwie wymienić moje imię chrzestne... Zkąd przybyłem, nie umiałem powiedzieć zgoła... Chciało szczęście osobliwsze, że w klastorze znajdował się stary mnich, Polak rodem,.. ten z szczególną troskliwością zajął się chłopięciem zbłąkanem... Cztery lata jeszcze przebyłem w klasztorze, wysługując się mnichowi za kawałek chleba, a dzięki ojcu Ambrożemu, Polakowi, nie zapomniałem ojczystego języka i nauczyłem się czytać i pisać za jego staraniem..,

Tu urwał na chwilę i dłonią potarł po oczach, jakby odganiał lub zacierał łzy napływające, i po chwili ciągnął dalej:

— On to mój dobrodziej prawdziwy odkrył we mnie do nauk pojętność i swojem wsparciem i wstawieniem się ułatwił mi środki do uczenia się... Po czterech latach opu-

ściłem klasztor i zacząłem uczęszczać do szkół w Munkaczu... Ztamtąd po kilku latach dostałem się do Pesztu...

— A dalej, dalej, — poderwał prędko Matwij, na którym to dorywcze opowiadanie młodzieńca jakieś nadzwyczaj silne sprawiało wrażenie.

Z gorączkową chciwością chwytał każde jego słowo i pożerał oczyma każdy jego gest i ruch.

— W Peszcie znalazłem kilku Polaków.. dzięki ich znajomości, nie zerwał się ten węzeł święty, jaki mnie łączył z właściwą ojczyzną moją... Urodzony na tej ziemi czułem się zawsze Polakiem, i chciwie chwytałem wszystko, co mi przypominało ziemię ojczystą...

— W tem,— zaczął po krótkiej pauzie, — na samem ukończeniu nauk zaskoczyła mię wojna... wziąłem w niej udział... dosłużyłem się zaszczytnej rangi... Raniony ciężko w jednej bitwie... nie mogłem do końca wytrwać w szeregach... a kiedy leczyłem się w lazarecie... skończyło się wszystko...

— I zapragnęliście nagle obaczyć swą ziemię ojczystą? — zapytał Matwij, znać przypominając sobie opowiadanie Lajosa przy pierwszem spotkaniu.

— Tak, nieprzyzwyciężony jakiś pociąg rwał mię w ojczyste strony...

— Lecz któreż-to strony nazywacie waszemi ojczystemi? — zapytał dalej Matwij, drżąc czegoś na całem ciele.

Lajos pochylił głowę na piersi i chwilkę milczał, potem podniósł oczy, obejrzał się dokoła i szepnął przytłumionym głosem:

— Wiecie, ze wszystko mi się zdaje, że się gdzieś urodziłem w tych stronach...

Matwij rzucił sobą gwałtownie, z szalonym impetem poskoczył do Lajosa i chwytając go za ramię, przysunął tak blisko swoją twarz do jego twarzy, że młodzieniec uczuł jego oddech płomieniejący i żar jego oczu roziskrzonych.

— Jakto? wy tutejszy! — zawołał urywanym głosem, — wy się ztąd zbłąkali na Węgry... przyszliście do klasztoru... byliście dzieckiem małem... potem dopiero uczyliście się i wyszliście na pana?... co? tak? prawda?...

— Już wam to wszystko opowiedziałem, — odparł Lajos przestraszony w pierwszej chwili gwałtownym impetem dzikiego towarzysza.

Matwij miał jakieś nowe zapytanie na ustach, ale w tem drgnął cały, a i Lajos od-

skoczył w bok zaniespokojony.

Z prądem wichru, który zawiał od dołu, zalatywał wyraźny odgłos kroków i jakieś głosy oddalone.

— Ktoś idzie za nami na Czartowską debrę! — zawołał Matwij.

Z nowym poświstem wiatru powtórzył się odgłos kroków jeszcze wyraźniej. Zdawało się jakby wraz z wiatrem jakaś liczna rzesza postępowała naprzód.

— Musimy biedz prędzej! — wykrzyknął Czarny Matwij.

— Mieliżby to rewizory pędzić za nami? — wykrzyknął Lajos.

— Nic nam tu nie zrobią! — uspakajał go Matwij, — przebiegniemy prędko do boru, a tam nas nie znajdą i z gończemi psami.

Ubiegli prędko kilkanaście kroków i teraz dopiero weszli na ten właściwy manowiec, co wisząc niejako nad straszną przepaścią, prowadził wzdłuż Topielcowego źródła i Sołtysiego wąwozu.

Ta czarna chmura od wschodu, co tak prędko olbrzymiała zaraz w pierwszych chwilach swego pojawienia się, osłoniła już nieprzejrzystym kirem jedną połowę nieba, a

ku drugiej opromienionej światłem księżyca i kilku gwiazd pobladłych wyciągała swe szerokie skrzydła.

— Spieszmy się! — zawołał Matwij, — ciemność nas zaskoczy przed Sołtysim wąwozem.

Lajos ścisnął mocniej podany sobie koniec kija i trzymając się starannie stromej ściany gór, postępował śmiałym i pewnym krokiem.

Raz tylko okiem rzucił w dół i wzdrygnął się przerażony.

W tem półświetle księżyca daleko stromiej niż zazwyczaj musiała się wydawać przepaść Czartowskiej debry. Zakryta ciemnością u spodu wydawała się bez dna i końca, tylko gdzieniegdzie odzwierciadlając księżyc lub gwiazdkę przebijało się jaśniejsze tło strumyka, którego szmer przygłuszał w tej chwili dziki poświst wiatru, co w tysiączne tony huczał i jęczał u spodu przepaści.

Dwaj podróżni mieli już tylko kilkanaście kroków do Topielcowego źródła.

Czarny Matwij szedł naprzód, ale strachby zebrał każdego, ktoby w tej chwili mógł widzieć jego fizyognomię.

Twarz mu drgała cała jak w kurczach,

zęby dzwoniły, a oczy zdawały się wyłazić z jam.

Kilka razy zdawało się, że chce stanąć, że nie może w żaden sposób powstrzymać jakiegoś pasującego się wewnątrz uczucia.

Ale raz jeden i drugi przezwyciężył jakoś te dziwne napady, wstrząsł sobą tylko jak w febrze i pięść cisnął całą siłą do zżymającej się piersi.

Nareszcie zdało się, że walka wewnętrzna przemogła, bo nagle jakby nie czuł już w sobie siły przezwyciężać się dłużej, przystanął na miejscu i obrócił się z taką gwałtownością, jakby przepomniał zupełnie, że stoi tuż w pobliżu Topielcowego źródła.

— Słuchajcie, — rzekł tak jakoś dziwnie trzęsącym i łamanym głosem, że z trudnością tylko można go było rozumieć, — wyście powiedzieli, żeście może tutejszy... żeście dzieckiem zbłąkali się do Węgier...

— A tak, — odbąknął Lajos, na którego twarzy także niepojęte jakieś malowało się wzruszenie.

Rzecz szczególna! Czartowska debra budziła w nim jakieś osobliwsze przypomnienie, zdawało mu się, że jakby przez sen poznaje

tę okolicę, przypomina sobie jakieś przywiązane do niej przygody.

Ocknięty z swej zadumy nagłem zagadnięciem Matwija, nie mógł zwrócić uwagi na dziwny dźwięk jego głosu i osobliwszy wyraz twarzy.

Matwij drżał w całej swej kolosalnej postaci jak listek kołysany wichrem najgwałtowniejszym.

— Słuchajcie, — dzwonił z trudnością zębami, — może sobie przypominacie co więcej jeszcze?... może pamiętacie ojca?...

Lajos teraz dopiero spostrzegł nową zmianę na twarzy Matwija, wszakże tyle razy zmieniała ona już barwę tego wieczora, że nie mógł się temu dziwić wcale.

— O, wiele rzeczy przypominam sobie dobrze, — a nawet zdaje mi się coraz pewniej, że i tę debrę Czartowską znałem w dziecinnych latach.

— Tę debrę! — wykrzyknął Matwij głosem, którego dźwięk nie da się porównać do niczego.

— Tak, te szczyty, ta przepaść, ten strumyk, wszystko to dziwnie wyraźnie staje mi naraz w pamięci.

— A wasz ojciec.. wasz ojciec? — py-

tał Matwij z szaloną natarczywością trzęsąc za ramię młodzieńca.

Lajos musiał aż chwycić się ściany góry, by nie stracić równowagi.

— Opamiętajcie się! — zawołał upominając.

— Wasz ojciec, wasz ojciec, jak się nazywał?... pamiętacie go?...

— Pamiętam, pamiętam dobrze ojca i matkę...

— I matkę! — powtórzył Matwij jakby obłąkany.

— O i matkę... pamiętam... choć ją znałem krócej niż ojca... Jeszczem rok prawie cały bawił w domu, kiedy matka gdzieś znikła jednego poranku... a ojciec zabronił mi o niej wspominać...

Przy tych słowach Czarny Matwij puścił ramię młodzieńca.

— Dalej, dalej! — mruknął ledwie zrozumiale przez zęby.

I w jednej chwili zupełna zaszła w nim zmiana. Nie trząsł się już tak okropnie, twarz mu nie drżała, zęby nie dzwoniły... Wpadł w jakąś ostateczność przeciwną. Stał na miejscu jak wryty, jak skamieniały... Zdawało się, że zaparł oddech w sobie, że

przytłumił bicie serca, aby nie stracić ani jednego słowa z opowiadania Lajosa.

Młodzieniec ciągnął dalej:

— Ojca mego przypominam sobie jak dzisiaj... był olbrzymiego wzrostu... miał długie białe włosy... często nocami nie było go w domu, przemycał bakun jak dzisiejsi bakuniarze. Nieraz jakby mu żal było zostawić mnie samego w d mu, brał mię z sobą...

Urwał w tem miejscu i chwycił za ramię Matwija, bo zdawało mu się, że stręt'ał na wieki.

Matwij nie rzekł ani słowa, tylko ręką skinął na znak, aby mówił dalej.

Lajosa jakaś dziwna fatalistyczna parła siła dokończyć swej powieści. Jakby mu coś mówiło, że opowiadanie to jakiś ważny pociągnie za sobą skutek.

— Otóż raz, — ozwał się na nowo, — nie wiem dla czego ojciec mój wysłał mię z jakimś obcym człowiekiem naprzód... przebyliśmy tę debrę i mieliśmy czekać w jakimś parowie... zapewne przeznaczeniżmy byli trzymać straż, aby znienacka nie zaskoczyli rewizory... Gdyśmy jednak stanęli w tem miejscu, byli już tam rewizory... Mój towarzysz zdawał się z nimi w dobrej zaży·

łości... zaczął z nimi coś szeptać, mnie zaś posadzano pod drzewo i zagrożono surowo, gdybym najmniejszy wydał z siebie głos.... I w tem nagle dały się słyszeć jakieś kroki zdala... rewizory porwali za karabiny... I tuż zaraz posłyszałem huk strzałów i głos ojca, ale taki jakiś okropny i przerażający, że jak opętany jąłem uciekać w głąb boru... i nie zatrzymałem się prawie aż pod murami owego klasz...

Nie mógł dokończyć słowa, bo Matwij wydał w tej chwili taki jakiś ryk szczególny, że trudnoby mu jakiekolwiek znaleźć porównanie.

— A twój ojciec zwał się? — zapytał zupełnie prawie niezrozumiale.

— Maksym! szepnął Lajos.

Matwij wydał znowu taki ryk jak pierwszy, ale ryk ten pomięszał się tym razem z czemś innem.

Obadwaj w zburzeniu nie posłyszeli odgłosu kroków, który się zbliżał już od kilku chwil a w tym momencie rozległ się wraz z łoskotem strzału od strony poprzecznego parowu za Sołtysim wąwozem.

Łoskot strzału i odgłos kroków od strony do której dążyli, uderzył w obudwóch jak

grom, a w tej samej chwili jakby w umówione hasło pierwszemu, rozległ się drugi strzał w zapleczu.

Obadwaj wędrowcy ujrzeli się nagle między dwoma ogniami.

Matwij odchodził prawie od zmysłów, nim rozległ się wystrzał, a teraz jakby się opamiętywał po troszę. Trząsł się jednak od stóp do głowy, z oczu sypały się same błyskawice.

Jednem ramieniem pochwycił z herkuliczną siłą młodzieńca i podniósł go całkiem w powietrze, drugą wywinął groźnie żelaznym toporem.

Oddalone kroki zbliżały się coraz bardziej, a w jednej chwili, jak szereg fantastycznych duchów, pojawił się wzdłuż ściany pojedyńczo pędzący rząd górali.

— O nie bój się! — wrzasnął dzikim głosem Matwij, — ja cię nie dam!... ja cię ocalę!...

Na ich czele biegł jak dziki zwierz postrzelony Wargaty Jurko, z nim przerastający go o głowę cygan Jańcza.

Jurko nie miał tym razem swej powiązanej sznurkami strzelby, w ręku jego błyszczał na długiej żerdzi topor żelazny.

W tyle od parowu rozlegał się strzał po strzale, zapewne rewizory na postrach dawali ognia za uciekającymi.

Matwij nieprzygotowany był na widok, on się spodziewał rewizorów. Spuścił topór ku ziemi, a lękając się gwałtownego zetknięcia z nimi, krzyknął zdaleka:

— Stójcie! i z tyłu są rewizory!

A jakby na potwierdzenie tych jego słów, rozległo się w tyle kilka strzałów naraz.

Wargaty Jurko wrzasnął jak wilk wściekły, i przystając na miejscu, powtrzymał pęd reszty towarzyszy.

— Zdrada! — wrzasnął Jańcza.

— Zdrada! — wydzwonił zębami Jurko.

I w tej chwili oczy jego padły na Lajosa, który pochwycony olbrzymiem ramieniem Matwija, wisiał niejako w powietrzu.

— Ha! — zgrzytnął zębami napół wściekły bakuniarz, — to ten pies rewizor przebrany!

Tu Wargaty Jurko podrzucił swój topor w górę i z całą siłą wymierzył śmiertelny cios nieszczęśliwemu młodzieńcowi.

Matwij rzucił się jak opętany naprzód i odbił zamierzony raz swym toporem, mimo

to dosiągł on jednak głowy Lajosa. Ciepła krew plusnęła na twarz Matwija.

Żaden dziki zwierz nie mógł wydać takiego głosu jak on w tej chwili, głos ten przygłuszył doniosłością swą huk strzałów, które z obudwu stron zaczęły się odzywać coraz bliżej.

W tej jednak chwili nie wiedzieć czy ugodzony morderczym razem młodzieniec całą siłą zaważył na dół, czy jemu samemu powinęła się noga, ale jednocześnie prawie z tym głosem i przerażającym łoskotem strzałów, zadudniło coś w dziwny sposób.

....

Matwij runął z Lajosem na dno przepaści.

....

Wargaty Jurko wypuścił topor z ręki i stanął skamieniały na miejscu, a czarna chmura na niebie w tej samej chwili osłoniła resztki światła księżyca.

I ciemno jak w rogu zrobiło się na Czartowskiej debrze...

XIX.

WE DWORZE.

Wśród niezwykłego ruchu i gwaru rozpoczął się nazajutrz dzień w krużoskalskim dworze.

Rewizory sprowadzili pojmanych przemytników do pozostałego we dworze zwierzchnika a pan respicyent mimo tak niefortunnych przygód nocnych musiał bardzo rano zerwać się z łóżka i rozpocząć urzędowanie. Fatalna pomyłka nieprzytomnego w rozespaniu Johanna nabawiła go niemiłosiernej influencyi po obu policzkach, lecz o wiele gorsze jeszcze skutki pociągnął za sobą oryginalny sposób cucenia praktycznego pana Hałajkiewicza. Nos pana Saperdepiksa nabrzmiał i rozrósł się jak dynia, a posiniał jak bez w najdojrzalszych swych jagodach.

Poobwijany jednak w chustki, szale i serwety, mógł pan respicyent jako tako ukrywać te mankamenta, a w gorliwości obowiązków niezrażony dotkliwym bólem, bardzo ściśle i sumiennnie toczył śledztwo z pojmanymi przestępcami.

U wielu z nich nie szło tyko o proste przemycanie bakunowych liści, ale o czynny udział w złodziejskich frymarkach żyda Jolka, tudzież o kilka dawniejszych gwałtów popełnionych na rewizorach.

Śledztwo rozpoczęło się oczywiście od mniej winnych, a główni winowajcy czekali pod strażą na dworze. Był pomiędzy nimi i żyd Jolko wyprowadzony z aresztu, i Wargaty Jurko, i cygan Jańcza, i tych dwóch podrzędniejszych rolę odgrywających górali, których poznaliśmy na początku powieści w załomie Kruczego dzióbu.

Najstraszniej ze wszystkich wyglądał Wargaty Jurko.

W kajdanach na nogach, z związanemi w tył rękami stał na pozór martwy i nieruchomy pod murem, ale na zsiniałej, nabrzmiałej trochę twarzy malował się straszny dramat wewnętrzny. Wydęte wargi drgały mu ustawicznie jak w kurczach, a po obu kątach żółtawą zachodziły pianą. W oczach majaczył się dziki żar, znamionujący zaciekłość bezsilną pomięszaną z jakąś energią szaloną.

Kilka razy zgrzytnął zębami, jakby je chciał zetrzeć na drobny pył, i jęknął tak

głucho i okropnie, że można to było raczej wziąć za ryk dzikiego zwierza niż ton ludzkiego głosu.

Zawsze zaś zatrząsł się od stóp do głowy jak w najgwałtowniejszych konwulsyach, ilekroć rzucił okiem na swych strażników i ukrytą za ich plecami postać Łysego Pańko, który stał zdala z tym wyrazem uległej pokory i chytrej przebiegłości na twarzy, jaki w pewnych razach stanowi najwybitniejszą cechę fizyognomii beskidzkich górali.

Na boku, na ziemi w swym długim, pofałatanym u spodu sajetowym żupanie i w swej brudnej plaskatej czapce z białych baranków siedział Jolko, i nie wiedząc i nie słysząc nic zgoła, mruczał cicho i niezrozumiale najskuteczniejsze pacierze tałmudu.

Najlepiej z tych wszystkich wyglądał cygan Jańcza. Poszarpany dołman węgierski wisiał mu jak zawsze w fantastycznych draperyach przez plecy, na przedzie odsłaniała się szyja i pierś goła, długie, bujne kruczego połysku kędziory spadały mu aż poniżej ramion. Na śniadej regularnej twarzy, w czarnych a iskrzących się jak rozżarzony węgiel oczach, malował się jakiś smutek nieukojony, jakaś rozpacz bez granic.

Wzrosły w nieokiełzanej swobodzie syn natury przewidywał długie więzienie w ciasnych murach za kratami, i pierś jego wzbierała do pęknięcia od trwogi nieokreślonej.

O kilka kroków od tej malowniczej grupy przykucznęli z pochylonemi na pierś głowami dwaj znani nam górale, dwóch innych, co po raz pierwszy wzięli udział w wyprawie, przebywało właśnie próbę śledztwa.

W wybladłych twarzach tych obudwu więcej widać złość i przelęknienie, niż smutek lub inne jakieś silniejsze uczucie.

Cisza panowała w całej grupie, tylko rewizory szeptali między sobą, uszczęśliwieni takim plonem niepospolitym.

Nagle Wargaty Jurko spotkał się z obleśnym wzrokiem Łysego Pańka i ryknął z wściekłością niepohamowaną:

— Poczekaj psie! nie ujdziesz i ty takiego końca, jaki sprawiłem temu przebranemu rewizorowi, co go już dzisiaj kruki i kawki szarpią w Czartowskiej debrze.

Łysy Pańko z chytrym uśmiechem wzruszył ramionami.

— Przystąpiło do ciebie pogański synu, — odpowiedział spokojnie, — alboż to ja zdradziłem twoje manowce? Czym ja z to-

bą chodził, czyś się zwierzał przedemną?

Jurko znowu zgrzytnął zębami.

— Tyś sprzedał niegdyś Maksyma Borbę, tyś i nas zdradził.

Pańko splunął głośno.

— I h i na ciebie poganinie! — zawołał, — w Czartowskiej debrze zgubiłeś już dusze dwóch niewinnych ludzi i jeszcześ się nie nasycił.

— Poczekaj, jeszcze tobie utoczę trochę krwi z pod serca.

Pańko zaśmiał się złośliwie.

— Ty widzę myślisz, — wycedził z zabijającym naciskiem, — że już nie znajdzie się na twoje gardło stryczka w Samborze. Poczekaj, pierwej cię połaskoczą trochę pod szyją za tę krew, coś już utoczył dotychczas.

Wargaty Jurko wzdrygnął się na całem ciele. Wzmianka o szubienicy przejęła go grozą niewymowną. Umilkając jęknął tylko głucho i głowę z rozpaczliwą zaciekłością zwiesił w dół.

Przeciwny zupelnie skutek wywarło wspomnienie szubienicy na cyganie, myśl o niej błysnęła mu jak promień nadziei.

Synowi dzikiej swobody i wiecznej włóczęgi wydawała się śmierć o wiele łagodniej-

szą karą niż długoletnie więzienie.

Tymczasem śledztwo ciągnęło się dalej.

Na nieszczęście korząc się w powinny sposób przed powagą urzędowania, nie możemy być świadkami tego aktu, a wielka szkoda, bo mielibyśmy pewno sposobność poznać z nowej strony pana respicyenta.

Około południa skończyło się nareszcie wszystko.

Pan respicyent kazał jeńców prowadzić wprost do Sambora do kryminału, a Johannowi kazał zaprzęgać konie.

Niefortunne przygody dzisiejszej nocy odebrały mu aż apetyt i zmierziły do najwyższego stopnia pobyt w Krużoskalu. Za nic w świecie nie odważyłby się przezacny pan Saperdepiks przebyć drugą noc w tych przeklętych oficynach, gdzie tak straszne nagabują człowieka sny i takie oryginalne mają sposoby cucenia, nie wspominając już o fatalnych pomyłkach własnych sług i innych nieszczęsnych przypadkach.

Opuchły, zsiniały, wykrzywiony nie śmiał w tak niepoczestnym stanie przedstawić się damom, posłał tylko bilecik pożegnalny do dworu, tłumacząc się, że z powodu bardzo wielkiej z fluksyi wynikniętej

n a g r z m i a ł o ś ć t w a r z y, nie może osobiście złożyć swego uszanowania.

Poobwijawszy starannie wszystkie uszkodzone punkta swej czcigodnej osoby, wsiadł na bryczkę i miał już ruszać z miejsca, kiedy nagle o kilka kroków spostrzegł pana Hałajkiewicza.

Szanowny gubernator krużoskalskich folwarków kłaniał mu się zdaleka uniżenie: ale oczy świeciły mu się w taki jakiś podejrzany sposób, a z pod zawiesistych wąsów przezierał taki jakiś uśmiech niewłaściwy, że panu Saperdepiksowi strasznie nie podobała się ta grzeczność uprzedzająca i po raz pierwszy przyszła mu na myśl szczególna rola, jaką rubaszny ekonom odgrywał w jego nieszczęśliwej awanturze nocnej.

Ani też ruszył czapeczką, kiedy poczciwy pan Hałajkiewicz nie ustając w ukłonach, wołał za nim przymilającym głosem:

— P a m do nóg pana respicyenta! Szczęśliwej podróży! Niech Pan Bóg prowadzi!

Niemniejszy żal czuł podobno i Johann do niego, bo splunął z indygnacyą, mruknął jakieś czeskie przekleństwo i co żywo zaciął konie.

Za chwilę bryczka z turkotem opuściła dziedziniec, a pan Hałajkiewicz pozostał w miejscu.

Znikł już ów uśmiech z jego oczu i twarzy, a natomiast wystąpiła jakaś sroga chmura na czoło.

— Żar na bok, skarż mię Boże, — mruknął z głębokim frasunkiem, — ale jak tu powiedzieć wielmożnemu państwu, że ten malarz, którym się tak opiekowali, skręcił kark w Czartowskiej debrze...

Nie potrzebował sobie poczciwiec łamać nad tem głowy, we dworze już wiedzieli, to jest wiedziała przynajmniej pani Zbąska.

Pan respicyent polecając się łaskawej pamięci w swym bileciku pożegnalnym, nie omieszkał donieść w przypisku, że według zeznań rewizorów i bakuniarzy, ten doktór, którego miał honor zastać wczoraj we dworze, spadł raniony do Czartowskiej debry i zapewnie rozsypał się w drobne kawałki.

Jak łatwo przewidzieć, wiadomość ta przeraziła okropnie zacną kobietę, a musiała ją ukrywać starannie przed nieszczęśliwą córką.

Leonia po owej gwałtownej scenie wczorajszej wpadła w jakieś cierpienia spazma-

tyczne, lecz w ciągu nocy z przyjazdem lekarza z pobliskiego miasteczka Turki, polepszył się cokolwiek jej stan.

Matka przeczuwała przy jej łóżku noc całą, młoda dziewczyna majaczyła w gorączce, wybuchała wnet płaczem spazmatycznym, wnet jakimś śmiechem szalonym i plotła od rzeczy porywana jakiemiś fantasmagorycznemi widziadłami swej rozpalonej gorączką wyobraźni. We wszystkich majakach nieprzytomnych ciągle jedno odzywało się imię, we wszystkich widziadłach jedna rysowała się postać!...

Czyje było to imię i jaka była ta postać, nie trudno odgadnąć.

Nad ranem odzyskała Leonia przytomność.

— Mamo, ja go kocham! — były pierwsze słowa, które świadoma siebie wymówiła do stroskanej matki.

— Leonio, dziecię moje, uspokój się, — błagała pani Zbąska.

— Mamo, i on mnie kocha! — ciągnęła dziewczyna dalej, wybuchając w głośne łkanie.

Kto wraz z nami przebiegł uważnie cały ten okres wewnętrznego przeobrażenia, jakiemu w ostatnich czasach uległa młoda dziewczyna, nie zdziwi się, że w tak krótkim czasie pozwoliła tak silnie zawładnąć swem sercem. Zapewne, że jak większa część miłości na świecie i jej miłość powstała prędzej w fantazyi niż w sercu, wszakże dzisiaj tkwiła i korzeniła się ona już w sercu. Potrzeba sobie tylko uroić silnie, że się kogoś kocha, a niezawodnie pokocha go się naprawdę.

Nagłe pojawienie się Lajosa w samem przesileniu między dzieciństwem a zupełną dojrzałością młodej dziewczyny, jego postać na pół tajemnicza, jego przygody szczególne przemawiały niezawodnie z początku tylko do rozmarzonej wyobraźni dziewczyny, lecz ztamtąd przeniosły się niewiedzieć nawet kiedy na same dno serca, jeżeli prawda, że ochrzczona tem mianem część ciała ludzkiego jest źródłem i ogniskiem wszelkich uczuć silniejszych.

Pani Zbąska zalana łzami siliła się wszelkiemi siłami uspokoić gorączkowe rozdrażnienie cierpiącej córki.

— Leonio, duszko, — szepnęła całując

ją po czole i skroniach. — i cóż cię to tak przeraża, że ty jego kochasz i on ciebie kocha?

— O mamo, mamo, — jęknęła dziewczyna, — ja nie potrafię nigdy stłumić w sobie tego uczucia... ja umrę bez niego...

Pani Zbąska wzdrygnęła się przestraszona. Sama myśl o śmierci jedynaczki powstrzymywała wszystką krew w jej żyłach i ogarniała ją zgrozą niewysłowioną.

— Alež Leonio, miej litość nademną, — błagała, — przyjdź-że do siebie...

— O mamo, to niepodobna... jam strasznie nieszczęśliwa... dla mnie nie ma ratunku...

— Ale zkąd-że ta rozpacz, dla Boga... jeżeli kochasz, czyż jaka zapora nieprzezwyciężona stoi w drodze twej miłości?...

— Przymglone osłabieniem oczy Leoni sypnęły iskrami, za to twarzyczka jej zarumieniona gorączką zbladła jak kreda. Porwała się na pół z poduszki, i jakby nie zrozumiała dobrze słów matki, wykrzyknęła z trudnem do opisania wyrazem:

— Mamo, co ty mówisz?...

Biedna dziewczyna losy miłości znała dotąd tylko z książek, a tam są one zazwy-

czaj ciężkie i gorzkie. Nie miała też nadziei, aby i jej poszły innym torem.

Matka dmuchnęła skwapliwie na ten promyk nadziei, który w tej chwili wstrząsł córką.

— Moja Leonio, — mówiła siląc się przybrać ton spokojny i poważny, — pomówmy z rozwagą. Ten młody człowiek jeśli cię kocha, to nie przepadł jeszcze na wieki... nie poszedł jeszcze na śmierć... i może wrócić...

— Może wrócić! — powtórzyła dziewczyna z takim akcentem, jakby pierwszy raz w życiu słyszała te słowa.

Pani Zbąska tym samym tonem ciągnęła dalej:

— Słuchaj mię, kto wie czy byłabym kiedykolwiek pozwoliła z góry, aby się tak stało.. ale ponieważ już temu przeszkodzić nie można, poddaję się zupełnie zrządzeniom losu...

Leonia patrzała na matkę szeroko rozwartemi oczyma, jakby nie pojmowała tego nowego zwrotu.

— Chcę przez to powiedzieć, — mówiła pani Zbąska nabierając coraz więcej pewności siebie, — że w troskliwości o los twój

nie pozwoliłabym może nigdy Lajosowi ubiegać się otwarcie o twoje względy... Jest on jak sam wyznał człowiekiem nieznanego pochodzenia, ty nazywasz się bardzo ładnie... Zbąscy była niegdyś bardzo znakomita rodzina. . dzierżyła nawet krzesła senatorskie... Zresztą jesteś jedyną dziedziczką dwóch wiosek wprawdzie górskich tylko... ale zawsze jest to majętność ziemska...

Leonia zrobiła gest nagły, jakby jej przykro przychodziło słuchać wszystkich tych przymiotów, któremi według wyobrażeń świata przewyższała kochanka.

Pani Zbąska pocałowała ją, niejako na uspokojenie w czoło i prędko ciągnęła dalej:

— Wysłuchaj mnie do końca, moja lubko. Wiesz, że jestem bez uprzedzeń światowych. Lajos jest ciemnego pochodzenia, wszakże w szlachetnej walce dosłużył się rangi zaszczytnej, a na polu nauki dobił się dyplomu doktora fakultetu... Własnemi więc zasługami wzniósł się nad owe urodzenie i dziś nie stoi między nim a tobą tak straszny przedział społeczny, abyście oboje musieli umierać z rozpaczy, nie mogąc zbliżyć się do siebie...

— Ależ mamo! — krzyknęła Leonia nagle, jakby ją teraz dopiero tknęła ta myśl, — jego ścigają!...

— I to nie wiele ma do rzeczy, moje dziecko, — odpowiedziała matka spokojnie, — za młody jest, aby mógł już zaplątać głowę, najwięcej, że się naraził na więzienie, internowanie lub coś podobnego... Żyjemy jednak w Europie w stuleciu cywilizacyi.., bezwzględna surowość uchodzi tylko w pierwszej chwili... Choćby Bóg wie jak był skompromitowanym, śmieszną rzeczą byłoby mieć go już za zupełnie straconego...

Młoda dziewczyna połykała każde słówko matki z gorączkową uwagą i widoczna otucha i ukojenie rozlewały się po jej twarzy.

W tem nagły gwar zrobił się na dziedzińcu.

— Co to? — krzyknęła dziewczyna i serce przestało jej bić z przestrachu.

Pewną była, że przyprowadzono Lajosa.

— Schwytali go! przyprowadzili! — krzyknęła i napół porwała się z łóżka.

— Duszko, miejże rozum! — zawołała matka przyskakując do okna, — to pojmani bakuniarze...

— A jego nie ma... nie ma?

— Zkądże?

Leonia jakby nie dowierzając, porwała się z łóżka i nie zważając na krzyk matki, w jednem mgnieniu oka zarzuciła leżącą przy łóżku chustkę na swój nocny kaftanik i bosemi nóżkami poskoczyła ku oknu.

Odetchnęła z pełnych piersi obaczywszy rząd samych górali w grubych siermięgach.

— Nie ma go między nimi! on ocalony! — szepnęła wracając co tchu do łóżka.

Cóżby była powiedziała, gdyby wiedziała jaki wypadek towarzyszył pojmaniu tych ludzi?

Matka przyskoczyła do łóżka chorej i utulając ją ze wszystkich stron, obsypywała wyrzutami macierzyńskiej troskliwości.

Leonia nic nie odpowiedziała, tylko gorątszemi od ognia pocałunkami okładała rękę matki, a naraz wykrzyknęła z głębi piersi:

— O mamo, dziękuję ci! tyś wlała życie we mnie!

Pochyliła głowę napowrót na poduszkę i zmróżyła napół oczy, jakby w myślach rozbierała całe znaczenie i całą doniosłość słów świeżo posłyszanych.

— Ty potrzebujesz spoczynku, duszko, — szepnęła matka, — uśnij, uśnij na chwilę.

W samej rzeczy młoda dziewczyna po świeżej irytacyi potrzebowała spoczynku... Za krótką chwilę skleiły jej się oczka do reszty, przybladłe nieco ustka rozwarły się z leka... Usnęła.

Matka nachyliła się z ciężkiem westchnieniem do jej twarzy i śledziwszy dłuższy czas biegu jej oddechu, podniosła się znacznie uspokojona.

Nie opuszczając łóżka chorej, wzięła książkę do rąk i zaczęła czytać.

Leonia spała spokojnie, a w coraz jakiś przyjemniejszy wpadała sen, bo lekki uśmiech zaczął powoli umilać jej śliczną twarzyczkę.

XX.
GOŚĆ NIESPODZIANY.

Leonia spała parę godzin nieprzerwanie. Nocne majaki gorączkowe tak bardzo wycieńczyły jej siły, że ledwie kilkogodzinny mógł ją pokrzepić spoczynek.

Właśnie jednak zaczęła się budzić i otwierać oczy, kiedy Ołena wsunęła się na palcach z listem pana respicyenta.

Nie wiedząc nic zgoła o nocnych trafunkach pana Saperdepiksa, nie mogła sobie pani Zbąska wytłumaczyć na razie powodu tej korespondencyi w tak bliskiem sąsiedztwie i zdjęta instynktowym przestrachem, porwała za list skwapliwie i wymknęła się do drugiego pokoju, aby nie naparła sie odczytać go Leonia.

Ołena pozostała tymczasem przy chorej, która nie obudziła się jeszcze do tyla, aby spostrzegła wyjście matki.

— Gdzie mama? — zapytała nagle rozwierając oczy, tonem rozpieszczonego dziecka, które ani chwili nie może pozwolić na nieobecność matki.

— Zaraz pani przyjdzie, — szepnęła przytomna Ołena, — poszła tyłko pożegnać się z tym panem respicyentem.

— Więc jedzie już sobie.

— Jedzie!

Młoda dziewczyna zamyśliła się i uśmiech zajaśniał na jej lizach.

Ołenie z radości łzy stanęły w oczach.

— Dzięki Bogu, panna się ma lepiej, —

szepnęła chyląc się do wyciągniętej rączki dziewczyny.

Wielkie to nieszczęście i wielkie szczęście zarazem z temi niewinnemi sercami! Lada co zakrwawi i przepełni je rozpaczą bez miary, lada promyk nadziei ukoi i pokrzepi je na nowo.

W Leonię niedawne słowa matki dziwną wlały otuchę, rozbierała je nieustannie w myślach i najdziwaczniejsze wyprowadzała z nich znaczenia.

— O tak, mam się lepiej, znacznie lepiej moja Ołeno, — odpowiedziała cichym głosem, — a cóż się z tobą dzieje Ołeno? Naznaczono już dzień ślubu z Petrem?...

— Radzą tam już coś starzy, — wybąknęła.

— Ale już nie stawiają więcej przeszkód, — ciągnęła dalej Leonia, pragnąc za popędem własnego serca koniecznie na miłosny przedmiot zawiązać rozmowę.

Ołena podniosła ku niej łzawe oczy.

— Winnam przecież pannie, — szepnęła, — że się przestali nareszcie przeciwić i moi i jego starzy.

Wejście pani Zbąskiej przerwało rozmowę.

— Cóż to mamie? — wykrzyknęła Leonia i uśmiech znikł nagle z jej twarzy.

Pani Zbąska była blada jak chusta i widocznie jakieś drżenie przebiegało ją od stóp do głowy.

— Nic, moja duszko, cóżby mogło być? — wycedziła, ale głos jej drżał znacznie.

Odczytała właśnie fatalny przypisek listu respicyenta i tragiczny zgon młodzieńca, który tak żywo obchodził córkę i którego wczoraj jeszcze gościła w swym domu, wstrząsł ją do głębi.

— Ależ mamo! — wykrzyknęła Leonia, — jesteś cała zmieniona, blada, drząca...

Pani Zbąska ściągnęła zlekka brwi i wszystkie swe siły przywołała do pomocy.

— Nic to moja lubko, twój stan zniepokoił i wprowadził w jakieś gorączkowe rozdraźnienie, — szepnęła, — a w tej chwili widziałam jak odprowadzili tych pojmanych przemytników i tego żyda złodzieja... widok ten przykre na mnie zrobił wrażenie...

Leonia się uspokoiła, lubo na dnie serca jakieś instynktowe pozostało niedowierzanie.

— Pójdź tu, moja mamo, — szepnęła wskazując na miejsce przy łóżku.

Olena wymknęła się z pokoju, aby także zaraz w piekarni dowiedzieć się o wszystkiem.

Pani Zbąska usiadła przy łóżku dziewczyny.

— Jakże się masz po tym śnie tak długim?

— O dobrze, bardzo dobrze... Ach, wiesz mamo, miałam sen cudowny... Śniło mi się, że Lajos wrócił wolny i bezpieczny...

Matka odwróciła twarz na bok, aby ukryć bolesne skrzywienie.

Poruszenie to nie uszło uwagi Leoni.

— Cóż ci to mamo? — zapytała znowu.

Pani Zbąska zamaskowała się udanym niepokojem.

— Moja duszko, tyś ciągle jeszcze w gorączce... nie możesz się uspokoić.

— Ale tyś ciągle pomięszana, mamo.

— Przewiduje ci się.

Leonia zamilkła na chwilę, a potem prędko chwytając za jej rękę, zawołała z żywością:

— Mamo, ty może żałujesz tego, coś mi powiedziała przed chwilą?

— Zkąd że znowu ta myśl!

Leonia ścisnęła jej rękę i badała dalej tym samym tonem:

— Trwasz więc przy tem, coś powie działa?

— Niepotrzebne pytanie...

— Tak mamo, gdyby Lajos powrócił, ty niebroniłabyś mu zbliżyć się do mnie, nie brałabyś mu za złe jego miłości?...

Tu urwała młoda dziewczyna i wpatrzyła się tak uporczywie w twarz matki, jakby koniecznie jeszcze nowego czekała potwierdzenia.

Pani Zbąskiej przykre uczucia ścisnęły serce, zadała jednak gwałt sobie i odpowiedziała ile możności spokojnym i stanowczym tonem:

— Mamże ci wszystko powtarzać na nowo. Znasz mię przecież i wiesz, że słowom mym można zaufać w każdym razie...

Leonia z najwyższem uczuciem cisnęła jej rękę do ust.

— Jak wróci, ty mi go pozwolisz kochać całem sercem, całą duszą! — wykrzyknęła w uniesieniu.

Pani Zbąska nachyliła się znowu prędko do jej czoła, aby ukryć bolesne skrzywienie twarzy.

Młoda dziewczyna prawiła dalej jakby w gorączkowem zachwyceniu:

— O, bo wiesz mamo, on wróci!... z pewnością wróci!...

Pani Zbąska wzdrygnęła się gwałtownie. Nie wiedzieć zkąd przyszło jej na myśl to straszne podanie ludowe, które tyłu sławnym poetom, a między innymi naszemu Mickiewiczowi nasunęło przedmiot do ballady, gdzie to łzy i jęki kochanki zaklinają kochanka z grobu.

Leonia na szczęście nie spostrzegła tego wzdrygnięcia matki i nie dała sobie przerywać.

— Po tym moim śnie cudownym mam taką jakąś pewność... takie niezbite wewnętrzne przekonanie, że on wróci...

— Przestańże moja duszko, — przerwała matka, nie mogąc nowego ustrzedz się drżenia, — mówisz za wiele, a jesteś tak osłabiona.

Ale Leonię trudno było oderwać od tego przedmiotu, długo jeszcze odzywała się to z tą, to z ową nadzieją na przyszłość, a potem znużona na nowo, zmrużyła powieki i zapadła w sen lekki i swobodny.

Pani Zbąska sama całą noc także przy

chorej nie zmrużyła oka i czuła również potrzebę chwilowego spoczynku.

Pociągnęła za sznurek od dzwonka na Ołenę i wyszedłszy do drugiego pokoju na jej spotkanie, zagadnęła ją żywo:

— Ty wiesz o wszystkiem?...

— Wiem pani, — odpowiedziała góralka ocierając łzy z oczu.

— Pamiętaj sobie, najmniejszego znaku przed panną!...

— O pewnie, pani.

— Usiądź przy niej, a ja się zdrzemię trochę.

I wróciła nazad do pokoju i przychyliła się na małą sofkę, co stała naprzeciw łóżka.

Ołena w drugim pokoju otarła resztki łez i westchnęła ciężko.

— Biedny ten pan! biedna panna! — szepnęła, — gdyby tak mój Petro, jabym się utopiła.

Przystąpiła do łóżka i usiadła czuwać nad snem chorej.

Już się zmierzchało, kiedy Leonia ocknęła się ze snu. Nad łóżkiem w miejscu Ołeny siedziała już matka napowrót.

Być może, że gorączka wracała pod noc,

lub jakieś chwilowe zaszło pogorszenie w słabości, ale Leonia nie ocknęła się tą razą tak wesoła jak przedtem.

— Ach mamo, — szepnęła, — inne teraz miałam sny... jakieś niemiłe... ponure... straszne...

I wzdrygnęła się pod kołdrą.

— Zapewne wraca gorączka, — odezwała się matka wyciągając rękę za jej pulsem.

Leonia ze smutkiem wstrzęsła głową.

— Ach nie mamo, to coś innego w tem.

— Dziecko!

W tej chwili znowu we drzwiach pojawiła się Ołena.

— Pan ekonom się chce widzieć z panią.

— Zapewnie po nowe dyspozycye, — mruknęła pani Zbąska i zawahała się chwilkę.

— Zapal lampę i zawołaj go tu, — zdecydowała po chwili, chcąc jakoś rozerwać strwożony na nowo umysł chorej.

Ołena zwinęła się jak fryga, a po chwili płonęła już lampa i pan Hałajkiewicz stanął na zawołanie.

Poczciwiec robił najusilniejsze wysilenia, aby stąpać po cichu. Spinał się na palcach,

ale to mu się tak nie wiodło, że co krok tracił równowagę, a dotarłszy do drzwi, palnął całą siłą nosem i czołem o framugę. Ledwie w głos nie zaklął na wszystkich djabłów, w taką furyę wprowadziła go ta nieszczęsna niezręczność, której winę składał w duchu na złe wysmarowanie swych juchtowych butów.

— Pam do nóg wielmożnego państwa, — ozwał się wreszcie gładząc nos i czoło.

— Cóż tam pan powiesz, panie Hałajkiewicz?

Ekonom pełną piersią pociągnął powietrza.

Poczciwiec tym razem przybywał z raportem ekstraordynaryjnym. Wyprowadził w swej mózgownicy, że jemu jako najwyższemu oficyaliście krużoskalskiego dworu wypada koniecznie zawiadomić państwo o nieszczęśliwym losie malarza, zwłaszcza, że od rewizora Zachrapszczowskiego jak najbliższe i najautentyczniejsze pozbierał szczegóły.

Ani mu przedtem przez myśl nie przyszło, żeby w zaraportowaniu tej „nowiny" mogły być potrzebne jakieś względy ostrożności. Jednakowoż dla lepszego rezonu i dosadniejszego ubrania powieści nie zapomniał zakropić gardziołkę jednym i drugim kielisze-

czkiem „tej siarczystej,“ którą niedawno tak sowicie uraczył Saperdepiksowskiego Johanna.

— Wielmożne państwo zapewne nie ze wszystkiem jeszcze wiedzą o tem strasznem nieszczęściu, — przemówił swym basowym głosem.

— O jakiem nieszczęściu? — wykrzyknęła żywo Leonia.

Ekonom uśmiechnął się zadowolony i z partesem potarł czuba, on pierwszy przybywał z nowiną!

Pani Zbąska pojęła od razu o czem chce mówić ekonom, i zbierając całą swą przytomność, poderwała prędko, robiąc ręką ukryty znak.

— Czy do ciebie co przystąpiło, panie Hałajkiewicz, — pojmanie kilku bakuniarzów i złodziei nazywasz nieszczęściem.

Hałajkiewicz widział znak tajemniczy, ale ani w ząb nie pojmował jego znaczenia.

— Efi! skarż mię Boże! — zawołał machając ręką na znak, że to wcale o co innego chodzi.

— Co tam słychać w Uwiśni? — podchwyciła prędko pani Zbąska.

— Wszystko dobrze, skarż mię Boże...

ale wracam do tego, — kontynuował niezrażony, nie zważając na ciągłe mruganie pani Zbąskiej. — Rewizor Zachrapszczewski...

Pani Zbąsska rzuciła się gwałtownie i wybuchła z impetem:

— Co mi tak aspan pleciesz o jakimś Zachrapszczewskim, kiedy się pytam co się dzieje w gospodarstwie... Schowaj swoje nowiny na jarmark do Turki, a mnie odpowiadaj na to tylko, o co cię pytam...

— Ależ mamo! — zawołała Leonia zdziwiona tym niezwykłym ferworem matki, — może się od rewizora coś dowiedział o nim.

Nie zwykły do tego surowego upomnienia dziedziczki, pan Hałajkiewicz zgłupiał na razie i stanął z rozdziawioną gębą, z wytrzeszczonemi oczyma jak drogoskaz na rozstajnym gościncu. Dopiero to wdanie się Leoni na jego korzyść przyprowadziło go na poły do opamiętania.

— Ale tak, — pochwycił prędko za młodą dziewczyną, — rewizor Zachrapszczewski, skarż mię Boże..

— Nie nauczył i nie nauczy pana zapewne lepiej gospodarować, jak pan teraz gospodarujesz, — przerwała prędko, — już oddawna wszystko zbierało się we mnie, a dziś

panu muszę powiedzieć wręcz i bez ogródki, że przy twojem gospodarstwie przyjdzie nam niebawem uciekać z Krużoskala...

— Ależ mamo, — wtrąciła Leonia, nie pojmując zgoła popędliwości matki.

— Daj mi skończyć, moje dziecię.

Hałajkiewicz na śmierć skonsternowany chciał korzystać z tej przerwy i wystąpić z repliką.

Na nieszczęście zaczął jednak od swego zwykłego skarż mię Boże.

Pani Zbąska nie dała mu dalej przyjść do słowa.

— Powiem ci krótko i węzłowato, panie Hałajkiewicz, jestem z ciebie zupełnie niezadowolona. Ostra zima za drzwiami, a my ledwie pokończyliśmy kośby owsa, podkładania ledwo się zaczęły...

— Wielmożna pani, skarż mię Boże...

— Dajże mi pan skończyć. Woły przy gorzelniach chude jak charty, inwentarz cały zaniedbany, krescencya jak najlichsza.

To już było zanadto dla poczciwego ekonoma.

Nie znał się on wprawdzie ani w ząb na malarstwie, nie grzeszył zbytnią pojętnością i bystrością umysłu, ale słusznie trzeba mu

było oddać tę sprawiedliwość, że gospodarował sumiennie i gorliwie.

— Wielmożna pani, to jakieś plotki, k o m e r a n ż e, — ozwał się stentorowym głosem, wypadając z oburzenia, w jakie go wprawił wcale nieznany dotąd ferwor dziedziczki. — Od nas się naokoło uczą gospodarować, skarż mię Boże. Krescencya nasza, no jak na te góry, podolska; skarż mię Boże! A woły, fiu, fiu! nie uroku, dziś możnaby kłaść na kloc. Chude jak charty! chude jak charty! w Imię Ojca i Syna! daj Boże, abym ja całe życie był takim wołem chudym jak chart, skarż mię Boże...

I dotknięty w samej najsłabszej stronie ekonom tak się zabuńczuczył i rozsierdził, że już chciał coś bąknąć o podziękowaniu za służbę. Zasapał się jednak straszliwie, a to zażyte na pokrzepienie rezonu arkanum spirytusowe, buchnęło całą siłą.

Pani Zbąskiej żal się zrobiło, że za prostą niedomyślność tak dotkliwie musiała karcić wiernego sługę i chciała w jaki inny ratować się sposób, a w tem pomogła jej wybornie rozchodząca się po pokoju woń spirytusowa.

— Pan za wiele dziś piłeś, panie Hałaj-

kiewicz, — poderwała prędko, — czuć wódkę od pana... odór ten może zaszkodzić chorej... Niech się pan zechce oddalić, skończymy innym razem.

Nieprzygotowany na ten zarzut nowy, stanął pan Hałajkiewicz jak wryty i aż posiniał jak burak, tak w jednej chwili wszystek zaparł w sobie oddech.

— Skarż mię Boże, — wybąknął prawie niezrozumiale, bo chcąc jak najmniej wypuszczać oddechu, dławił nieborak słowa w gardle.

Przynaglony nowem kategorycznem skinieniem dziedziczki, chciał zbity do reszty wynosić się na palcach, kiedy w drzwiach zastąpiła mu drogę Ołena i mimowolnie zatrzymała go na miejscu.

Młoda góralka wbiegła do pokoju blada, drżąca, pomięszana, jakby na pół nieprzytomna.

— Proszę pani! — ozwała się ode drzwi z rodzajem febrycznego przestrachu.

Pani Zbąska porwała się przerażona.

— Co się stało! — krzyknęła Leonia z trwogą podnosząc się na poduszce.

Ołena chwilkę jakby nie wiedziała co robić, na pół obłąkanym wzrokiem wodziła po

pokoju i drżała jak listek.

Naraz zrobiła ruch gwałtowny, jakby chciała powiedzieć: — Niech się dzieje co chce — i zawołała:

— Czarny Matwij!

Dalej nie miała siły mówić.

— Cóż Czarny Matwij? — zapytała z gorączkowym pospiechem Leonia.

Panią Zbąską tak uderzyło to nagle wpadnięcie Ołeny, a tak przestraszył ten wykrzyk, że w pierwszym momencie zupełnie zabrakło jej głosu.

Ołena wykrzywiła twarz jakby przełykała jakieś słowo, co jej w poprzek stawało w gardle, i odezwała się nareszcie:

— Przyszedł tu i chce koniecznie widzieć się z panią i panną.

— Kto? — zawołała Leonia, nie pojmując dobrze mówiącej.

— No, ta on, Czarny Matwij.

— Czarny Matwij! — powtórzyła machinalnie matka Leoni.

— Ojoj! skarż mię Boże! — wyszepnął Hałajkiewicz, — a rewizor Zachrapszczewski...

— Przyprowadź go, przyprowadź! — zawołała prędko Leonia.

A chwytając matkę za rękę, dodała:

— Mamo, on pewno przychodzi z jakiemś poselstwem od niego...

— Ależ, skarż mię Boże, rewizor Zachrapszczewski, — chciał coś mówić Hałajkiewicz.

Ale znowu przerwała mu Leonia:

— Idź-że, przyprowadź go! wołała na Ołenę. Ołena stała na progu, nie wiedząc sama co robić.

— Czekaj! —zawołała pani Zbąska ochłaniając.

Przez głowę jej tysiączne myśli przemknęły w jednej chwili. Respicyent doniósł jej najwyraźniej w świecie w przypisku swego biletu pożegnalnego, że ten młody doktor węgierski wraz z przewodnikiem zginął okropną śmiercią w Czartowskiej debrze, tymczasem tuż zaraz pokazuje się ten przewodnik zdrów i nieuszkodzony.

Miałażby więc cała ta wiadomość być prostem zmyśleniem lub może jakim chytrym podstępem respicyenta?

Czegóż jednak mógł chcieć Czarny Matwij w krużoskalskim dworze, przybywałże z prostem tylko doniesieniem, że przeprowadził szczęśliwie Lajosa?

Dla czegoż domagał się widzieć z nią i córką naraz?

Wszystkie te pytania powstały w niej jednocześnie, a skupiając całą swą energię, osądziła, że na wszelki wypadek powinna się sama rozmówić najprzód z Matwijem.

— Zostań przy pannie, — rzekła do Oleny, — ja wyjdę sama do niego.

— O nie, nie mamo! — krzyknęła żywo Leonia, — jabym umarła z niespokojności! ja muszę być świadkiem tej sceny!

— Ależ dziecko, opamiętaj się, to być nie może...

— To być musi, mamo, ja chcę wiedzieć o wszystkiem.

Matka zbliżyła się do łóżka, i pieszczotami i pocałunkami próbowała przełamać wolę córki.

— Ja go zaraz sama zawołam, tylko z nim naprzód pogadam.

— O nie, nie mamo, jabym nie była uspokojona, — błagała Leonia.

— Ależ pomnij życie, żeś ty chora, sam widok tego człowieka może na cię przykre wywrzeć wrażenie, cóż dopiero, gdyby co powiedział niemiłego...

Leonia nie dała się w żaden sposób od-

wieść od swego. Całowała matkę po rękach i błagała ciągle:

— Mamo droga, ja chcę wiedzieć o wszystkiem. Najstraszniejsza wiadomość nie pognębiłaby mię o tyle co ta sroga niepewność...

Pani Zbąska nie miała siły opierać się dłużej. Trudno przezwyciężyć upor rozpieszczonej jedynaczki kiedy zdrowa, cóż dopiero kiedy chora po świeżych cierpieniach spazmatycznych.

Ołena otrzymała rozkaz wprowadzić Matwija.

— Tylko bądź spokojna, moje dziecię, i pozwól mnie prowadzić rozmowę, — upominała pani Zbąska córkę, siadając przy jej łóżku i oczekując z drżeniem przybycia niespodziewanego gościa.

Hałajkiewicz teraz dopiero opamiętał się, że miał wyjść już przed chwilą. Pojawienie się Czarnego Matwija w krużoskalskim dworze przewracało do góry nogami całą tę straszną historyą, jaką chciał raportować dziedziczce, a którą z jak najbliższemi szczegółami powziął od rewizora Zachrapszczewskiego.

W swem skonsternowaniu i nagłem do te-

go zdumieniu zapomniał o rozkazie pani i stał ciągle na miejscu w postawie, jakby otwartą gębą chciał łapać muchy w powietrzu. Teraz prędko szargnął nogami i z mniejszym niż zwykle naciskiem mruknął:

— Pam do nóg!

Pani Zbąska musnęła nagle ręką po czole i ozwała się prędko.

— Hałajkiewicz, zatrzymaj się pan.

Obecność jakiegokolwiek mężczyzny wydała się pani Zbąskiej koniecznie potrzebną w rozmowie z tak dziwnym człowiekiem.

Pan Hałajkiewicz nie rzekł ani słowa, wrócił na dawne stanowisko i nadał gębie dawny kształt rozwartej łapki na myszy.

Leonia w gorączkowem rozdrażnieniu podniosła cokołwiek głowę i z niecierpliwością wypatrzyła się ku drzwiom.

Za chwilę ciężki krok ozwał się w przyległych pokojach.

Panią Zbąską przeszedł mimowolny dreszcz od stóp do głowy.

I Leonia się wzdrygnęła, a teraz dopiero, kiedy posłyszała w pobliżu kroki, zebrał ją jakiś przestrach nagły. Przysunęła się bliżej do siedzącej przy łóżku matki i nakryła koł-

drą tak wysoko, że widać było tylko jej oczy niespokojne i płomieniejące.

Nareszcie jakiś wielki ode drzwi zarysował się cień.

Hałajkiewicz odskoczył w bok jak opętany i przymknął gębę jak mógł najmocniej.

Czarny Matwij wszedł do pokoju...

XXI.
MAKSYM BORBA.

Przymglony blask lampy padał wprost ku drzwiom. Atletyczna, imponująca postać Czarnego Matwija przedstawiła się w wyraźnych zarysach.

I ledwieby można własnym uwierzyć oczom, tak jakoś zmieniona do niepoznania wydaje się w tej chwiii jego twarz cała. Te szpetne obrażające rysy zatarły się i zeszlachetniały niejako w wyrazie osobliwszej dobroci i łagodności, który stanowił główne tło fizyognomii, oczom ubył ów blask ponury i złowrogi, który dawniej pomimowolną przejmował trwogą.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chry-

stus, — przemówił odludek z Wilczej szczęki głosem, w którym zamiast dawnej surowości, przebijał się jakiś dźwięk mięki i łagodny.

Przejęta wstrętem pomimowolnym nie śmiała pani Zbąska podnieść dotąd oczu na nowoprzybyłego, ale jakby ośmielona dźwiękiem jego głosu, spojrzała nań bez odrazy, i prawie uspokojona skinęła głową.

To samo działo się z Leonią. I ona dopiero na dźwięk mowy Matwija ośmieliła się spojrzeć na jego twarz, a teraz zdumiona nie odrywała od niej oczu.

Matwij potoczył okiem po całym pokoju i długo czegoś zatrzymał się na twarzy Leoni.

— Chciałem kilka słów pomówić z wielmożną panią i wielmożną panną, — ozwał się po długiej pauzie, — ale prosiłbym o posłuchanie bez świadków...

I ręką wskazał na ekonoma.

Hałajkiewicz skwapliwie posunął ku drzwiom.

Pani Zbąska zawahała się.

— Zostań panie Hałajkiewicz, rzekła.

A zwracając się do Matwija dodała z powagą:

— Pan Hałajkiewicz jest długoletnim wiernym sługą naszego domu, przed nim nie

mamy tajemnicy.

Matwij nic nie rzekł, pochylił głowę na pierś na znak, że nie myśli stawić oporu.

Hałajkiewicz skrzywił się z niesmakiem. Od owego spotkania w wąwozie, kiedyto Matwij „zaczarował" jego klacz bułaną, miał on niesłychany przed nim respekt, i radby być zawsze o kilkanaście mil od jego osoby, tem bardziej, że i ta niedawna relacya rewizora Zachrapszczewskiego ciągle ćwiekiem tkwiła mu we łbie.

Czarny Matwij chwilkę milczał ze spuszczoną na piersi głową.

— Przyszedłem do wielmożnego państwa nie w moim interesie, — przemówił nareszcie.

— O cóż chodzi? — zapytała pani Zbąska, przybierając ile możności ton spokojny i poważny.

— Ten obcy pan, — rzekł Matwij, — co wczoraj opuścił dwór i miał wrócić do Węgier, żyje...

Pani Zbąska odetchnęła ciężko.

Hałajkiewicz na całą piędź poskoczył w górę.

— Żyje! — wykrzyknął, — oj, skarż mię Boże! A rewizor Zachrapszczewski mówił

że widział na własne oczy, jak wraz z wami b ę c n ą ł w Czartowską debrę i rozleciał się na drobne paździerze.

Leonia krzyknęła przerażona.

— Leoniu, dziecko, widzisz przecie, że to nieprawda, — uspakajała ją matka.

Czarny Matwij płomieniste spojrzenie rzucił na młodą dziewczynę.

— O niech się panna nie stracha! — zawołał prędko, — żyje i dzięki Bogu nic mu nie będzie...

— A ten rewizor Zachrapszczewskí! a szelma! skarż mię Boże!

— Lecz cóż to było? — wykrzyknęła dziewczyna; nie mogąc przyjść do siebie.

— Przekradaliśmy się do Węgier przez Czartowską debrę, — zaczął na uspokojenie Leoni prędko opowiadać Matwij, — ale nad samą przepaścią Sołtysiego wąwozu wpadliśmy w zasadzkę rewizorów.

— Przebóg, — jęknęła Leonia i oddech zamarł jej w krtani.

Czarny Matwij prędko ciągnął dalej:

— Ujrzeliśmy się znienacka w ręku rewizorów, a nadto zetknęliśmy się z bandą bakuniarzy, którzy, biednego młodzieńca wzięli za przebranego strażnika... W tak nie-

szczęsnej chwili nie pozostawał inny środek ratunku jak rzucić się na dół przepaści...

Leonia już była bliska omdlenia.

Spostrzegł to Matwij i co tchu pospieszył w opowiadaniu:

— Dzięki Bogu uszliśmy jednak cali, bez szwanku... ja dobrze okiem przemierzyłem przepaść i wskoczyłem trzymając Lajosa na ręku w sam środek Topielcowego źródła... Skąpaliśmy się dobrze obadwaj, ale ocaleliśmy tym sposobem.

Hałajkiewicz palnął się dłonią w łeb, że aż echo odezwało się w drugim pokoju.

— Aj, skarż mię Boże! — zawołał.

Leonia odetchnęła ciężko i podniosła głowę.

Pani Zbąska słuchała dalej z febrycznym niespokojem.

Czarny Matwij kontynuował:

— W nocy jeszcze wyniosłem go z wąwozu i dziś jest u mnie na Wilczej szczęce. Na nieszczęście jednak...

Cóż takiego? — wykrzyknęła Leonia.

Wargaty Jurko biorąc go za zdrajcę, zamachnął się nań żelaznym toporem... Osłabiłem wprawdzie ciężki raz, lecz nie zdołałem przeszkodzić.,. — prawił cokolwiek plątając

się rozrzewnionym głosem. — topor dosięgnął głowy... i zranił ją aż do kości...

Leonia krzyknęła przeraźliwie.

Pani Zbąska rzuciła się ku niej i siliła się utulić ją i uspokoić.

Zaszła na chwilkę przerwa w opowiadaniu, wnet jednak zaczął Matwij na nowo:

— Nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo... zawsze jednak będzie musiał przeleżeć parę tygodni..

Przerwał w tem miejscu i wpatrzył się się na dziedziczkę, jakby czekał zachęty do dalszego mówienia.

— I cóż tedy? zagadnęła pani Zbąska.

Matwij po niejakiem wahaniu ozwał się na nowo:

— Jam go przyjął do siebie na Wilczą szczękę, ale niestety moja chata stoi wiatrom. na oścież... nie mogę mu dać potrzebnej wygody i pomocy... kto wie jakby się wzmogła horoba..

Pani Zbąska dorozumiała się wszystkiego, i mimo całego współczucia dla stanu biednego młodzieńca, przykre to na nią sprawiło wrażenie. Wiedziała, że wypada nieszczęśliwemu choremu koniecznie udzielić przytułku,

a to krzyżowało zupełnie jej układy i rachuby.

Ona pocieszała się w nadziei, że młoda jej córka przebywszy pierwszy paroksyzm, uleczy się z czasem z swego miłośnego obłędu. Oddalenie się młodzieńca uważała za konieczność niezbędną, za pierwszy stanowczy krok do uleczenia córki — tymczasem on tuż zaraz wracał w niebezpieczniejszej jeszcze postaci, bo chory, cierpiący, zagrożony...

Nie trudno też odgadnąć, że jeżeli w rozmowie z chorą córką tak pobłażliwą okazywała się jej miłości, w gruncie serca jak najwyższy czuła do niej wstręt. Ona dla swej jedynaczki najświetniejsze roiła nadzieje, a jakże dalekim od nich musiał się wydawać związek z ubogim, nieznanego pochodzenia człowiekiem.

Wszystkie te uwagi nasunęły jej naraz do głowy i sama nie wiedziała co odpowiedzieć.

Ale Leonia rozpłomieniona cała jak w ogniu, krzyknęła żywo:

— Trzeba go przynieść tu do nas... U nas znajdzie wszystko... Saperdepiks odjechał... Niebezpieczeństwa nie ma!

Po twarzy Czarnego Matwija rozlał się wyraz niewysłowionej radości, a w iskrzącem

spojrzeniu, jakie utkwił w młodej dziewczynie, malowała się cześć i wdzięczność bez granic.

Pani Zbąska nic nie rzekła, tarła po czole, jakby chciała zetrzeć jakąś plamę czy chmurę, i nie miała siły ani sprzeciwić ani pozwolić wyraźnie.

Czarny Matwij zabrał głos na nowo:

— Nie pozostawał mi inny ratunek, jak udać się do wielmożnego państwa... gdzieindziej mogliby go schwytać...

— O, nie, nie! — zawołała Leonia żywo, — trzeba go przynieść do nas, zaraz, niezwłocznie!...

Pani Zbąska ciągle jeszcze milczała.

Matwij spozierał na nią z pod oka, a nagle wyprostował się, jakiś wyraz surowej powagi rozlał się po jego obliczu i po krótkiej pauzie ozwał się z pewnym uroczystym naciskiem:

— Pozostaje mi jeszcze odkryć wielmożnemu państwu, kto jest ten młody pan.

— Jakto? — zapytała matka i i córka jednocześnie.

Matwij powoli i uroczyście wycedził z ust:

— Ten młody człowiek wzrosły i wy-

chowany na obcej ziemi jest synem tutejszych stron... tutejszej wsi...

— Tutejszej wsi?

— Tak... To syn Maksyma Borby!

Leonia osłupiała.

Pani Zbąska wzdrygnęła się. O uszi jej obijały się nieraz różne szczególne wieści o Maksymie Borbie, słyszała także o jakichś dziwnych szeptach pomiędzy ludem, który to nazwisko łączył z nieszczęściem jej męża.

Z trudem też do opisania wyrazem wpatrzyła się na mówiącego, oczekując niejako bliższego wyjaśnienia.

Matwij postąpił o krok bliżej, głos jego nabrał szczególnej dobitności.

— Wielmożne panie mają serca szlachetne do wielmożnych pań można mówić bez ogródki... naprzód też musicie dowiedzieć, kto był Maksym Borba....

— Oho, t a d ż e ja go znałem, skarż mię Boże, — wykrzyknął Hałajkiewicz, — zuchwalec na wielki kamień!

Czarny Matwij uśmiechnął się i nie dając sobie przerywać, ciągnął dalej:

— Przed dwudziestu laty nie było w Krużoskalu, nie było na całym Beskidzie parobka nad Maksymę Borbę. Rosły jak dąb,

silny jak niedźwiedź, a po ojcu odziedziczył majątek, jakiekoby się pewno podolski nie powstydził sołtys... Cały szałas owiec, trzydzieści krów, woły, konie i innego mienia nie mało...

— Prawda, wszystko prawda, skarż mię Boże, — potwierdził Hałajkiewicz.

Matwij kontynuował:

— Dziewki mówiły o nim, że był parobek jak ulany i wszystkie strzelały za nim oczyma i każdaby rada była przywabić go do siebie... Maksym długo opierał się wszystkim, gospodarował dobrze na ojcowskim dobytku, a że był serca śmiałego i natury zuchwalszej trochę, więc czasami mięszał się do bakuniarzy i wespół z nimi przeprawiał za granicę... Nie chodziło mu przy tem o marny zarobek, wszystek zostawiał towarzyszom swoim... On jeśli był bakuniarzem, to tylko na złość rewizorom, których nienawidzieć nauczył go jeszcze ojciec stary, na przekór zakazowi, którego nie uznawał.. Rewizory wiedzieli, że on należał do bandy, ale że nigdy nie mogli go przytrzymać na gorącym uczynku, nie śmieli zaczepić go i w domu.. Kilka lat wiódł Maksym takie życie swobodne choć niebezpieczne, aż nareszcie przyszła

na niego kreska i wpadł w pęta straszne. Nie ujęli go rewizory, ale spętała go dziewka czarnobrewa, smukła jak nasza górska jodła, ładna jak gwiazda na niebie.

Głos jego zadrżał trochę, ale jakby go przemocą poskramiał, dźwięczał napowrót spokojnie i poważnie:

— Xeńka była najładniejszą dziewką nie tylko w Krużoskalu, ale wzdłuż całego Beskidu, mnóstwo ludu, dziewek bez liku schodziło się tu na praźnik na Pokrowę z gór całych, Xeńka jaśniała między niemi jako słońce na niebie. Iluż to parobków za nią przepadało, ileż powstawało bijatyk zapamiętałych. Ale Xeńka harda od wszystkich, miała serce i oczy tylko dla jednego... Jej się spodobał Maksym Borba.

— Sama go nęciła do siebie, — ciągnął po krótkiej pauzie, — on się nie mógł opierać długo... Oszołomiła mu się głowa, zaćmiły oczy... i zaraz duszę i serce zaprzepaścił na wieki. Znikł dlań odtąd świat cały, znikło słońce na niebie, znikł Pan Bóg sam... a za wszystko pozostała jedna tylka czarnobrewa Xeńka...

Obie kobiety w niemem milczeniu słuchały tej powieści, którą więcej porywająca siła

głosu opowiadającego niż treść sama czyniła nad wszelki wyraz zajmującą.

Matwij wiódł dalej swą powieść:

— Maksym był bogaty, Xeńka ubogą, nie mogło być żadnych przeszkód dla obojga... Pobrali się na samą Pokrowę, a co było ludu górskiego na praźniku, wszyscy krzyczeli:

...Odkąd Beskid stoi na ziemi, nikt jeszcze nie widział takiej pary dobranej jak para sokołów.

...Tylko stare baby szeptały: Ej, Xeńka dziewka hardego serca, lubi zaloty, szkoda dla niej Maksyma!

...Maksym nie zważał na te babskie gadaniny. On ci wiedział, że na całym Beskidzie nie masz parobka nad niego i nie bał się, aby go kto przyćmił u Xeńki, bez której zdało mu się nie mógłby żyć jak ptak bez powietrza, ryba bez wody...

Pochylił głowę na piersi i przestał mówić, jakieś przemożne owładnęło go wzruszenie, ale przezwyciężył je całą siłą.

— I cóż dalej? — zagadnęła Leonia, rozciekawiona do najwyższego.

Czarny Matwij podniosł głowę zupełnie już spokojny i obojętny.

— Przykro wam przyjdzie słuchać, wiel-

możne państwo, co teraz nastąpiło... lecz muszę wam koniecznie dokończyć...

Poczciwy Hałajkiewicz z niezadowoleniem poskrobał się za ucho.

— Skarż mię Boże, — mruknął przez zęby, — szelma zechce gadać o wielmożnym panu.

Matwij zebrał głos po krókiem wytchnieniu:

— Sześć lat żył już Makysm z Xeńką, a jeszcze ani o włosek nie osłabiła i nie umniejszyła się jego miłość szalona... Baby utrzymywały, że Xeńka jakimś czarem nieprzełamanym przykuła do siebie męża... Zaraz w drugim roku pożycia dał im Pan Bóg syna, którego na chrzcie nazwali Łeś.

— Lajos, — mruknęła Leonia machinalnie.

Matwij ciągnął nieprzerwanie:

— Tak stały rzeczy, kiedy umarła nieboszczka stara dziedziczka, a nowy dziedzic zajechał do tego dworu.

— Mój mąż, — szepnęła pani Zbąska.

— Ojciec, — zawtórowała cicho Leonia.

Matwij znać posłyszał te słowa, bo na chwilkę przymilkł i oczy spuścił w dół: po krótkiej jednak pauzie opowiadał dalej:

— Nowy dziedzic był młody i bardzo ładny. Ledwie stanął we dworze, a już gruchnęło po wsi, że strasznie ugania za dziewczętami i mołodycami...

...Ze wszystkich dziewcząt i wszystkich mołodyc jak dawniej tak teraz jeszcze najładniejszą była Xeńka, — prawił prędko, jakby wobec żony i córki chciał jak można najprędzej zbyć to wspomnienie o mężu i ojcu. — Zaczęto przebąkiwać we wsi, że młody dziedzic zwrócił na Xeńkę oczy. Maksyma mało obchodziły te gadaniny, on co kochał Xeńkę nad wszelkie powiedzenie, wierzył silnie i w jej miłość... Kiedy jednak młody dziedzic coraz śmielej i wyraźniej zaczął zbliżać się do jego żony, przestrzegł go raz śmiało i bez ogródki...

Odetchnął ciężko i spuścił w dół oczy, jakby mu strasznie przykro przychodziło opowiadać dalej.

— We dwa dni potem, — zaczął, — napadli rewizory na chatę Maksyma, porwali jego samego i odwieźli do Sambora... W górach przydybano trupa rewizora, a dawny sędzia krużoskalski na Maksyma rzucił podejrzenia... Kilka tygodni wysiedział w śledztwie. Lecz pokazała się w końcu jego niewin-

ność i puszczono go na wolność... Jak sokół uwolniony z ciasnej klatki, bez spoczynku i wytchnienia, pędził do swych gór kochanych, do swej Xeńki drogiej. Około południa wypuszczono go z Sambora, przed świtem nazajutrz był już w Krużoskalu... Serce mu biło gwałtownie gdy spostrzegł pierwsze chaty wsi rodzinnej, kiedy posłyszał pianie koguta, z swojej jak mu się zdawało zagrody...

Znowu odetchnął ciężko i krótką zrobił pauzę.

— Zbliżał się coraz więcej do chaty i dziwna rzecz, jakiś nagły ogarnął go niepokój, serce ściskało mu się gwałtownie, sam nie wiedział czego... Był o kilkadziesiąt jeszcze kroków od swej chaty... i w tem spostrzegł ztrętwiały i skamieniały, że drzwi się otworzyły nagle i...

Strasznie trudno i chropowato szło mu dalsze opowiadanie, zdawało się, że każde słowo w poprzek staje mu w gardle.

Pani Zbąska i Leonia oddech zaparły w sobie i słuchały drżąc dalej. Obie przeczuwały już co nastąpi.

— Młody dziedzic ukazał się w progu, a Xeńka go wyprowadzała i żegnała pocałun-

kiem, promieniejącemi oczyma, zapłonioną twarzą...

...Maksym stał na miejscu jakby wrosły w ziemię bez czucia, bez przytomności, bez głosu...

...Dziedzic poskoczył pod pobliski obróg siana i na koniu galopem wyjechał z zagrody... Xeńka stała na progu i patrzyła za nim szląc mu jakieś miłośne słowa na pożegnanie.

...Za chwilkę dziedzic przemknął tuż koło boku Maksyma.. On teraz dopiero przyszedł do siebie i ryknął jak zwierz dziki...

...Posłyszała go Xeńka i ona teraz stanęła jakby wrosła w ziemię... Potem oboma rękami chwyciła się za głowę i jak opętana skoczyła po za chatę, ztamtąd przez płot na ścieżkę co prowadziła w góry... Maksym pędem błyskawicy rzucił się za nią... Xeńka uciekała jakby ścigana od całego roju złych duchów... Maksym był już tuż za .. Bie-nią. gli ku przepaści tuż za wsią co ją nazywają Borsuczą norą...

...U samej krawędzi przepaści Maksym dopędził uciekającą... wyciągnął za nią rękę... ona przechyliła się na bok... szarpnęła sobą... i padła na dno przepaści..

...„Głowa jej trafiła o urwaną bryłę skały i roztrzaskała się na miazgę..„

Leonia wydała głośny wykrzyk.

Pani Zbąska twarz zakryła rękami.

Sam niebardzo delikatnych nerwów ekonom, zadrżał na całem ciele pod wpływem tego strasznego obrazu.

Czarny Matwij długą zrobił pauzę.

— Maksym wrócił do domu, do syna... Miał tyle siły nie rzucić się w przepaść, choć go coś rwało jak powrozami...

...Nazajutrz gruchnęła wieść po wsi, że Maksym wróciwszy z Sambora, zastał dziedzica w swej chacie.. Nieszczęśliwa Xeńka lękając się jego gwałtowności, uciekła w góry i rzuciła się w Borsuczą norę...

...Od samego Maksyma nikt nie mógł się dowiedzieć niczego.... sąsiedzi zastali go w chacie bez przytomności w ciężkiej gorączce...

...Gdy przyszedł do siebie i mógł wychodzić, nikt go już we dnie nie widział we wsi... przyłączył się całkiem do bandy bakuniarzy... Czasami tylko w nocy zazierał do chaty do syna, pozostawionego na opiece sąsiadek... Syn ten miał już pięć lat, ale wątłej budowy i słabego zdrowia od urodzenia

wyglądał jak trzyletnie zaledwie dziecię... Maksymowi żal było zostawiać go samego... brał go z sobą na plecy w góry i z nim razem najśmielsze przebywał wyprawy... Ten syn trzymał go tylko przy życiu... on i jeszcze coś innego...

Maksym chciał się zemścić na dziedzicu sprawcy całego nieszczęścia... Podsuwał się pod sam dwór, zasiadał na najbliższych ścieżkach i drogach... Jakieś szczęście czuwało nad dziedzicem... ludzie mówili, że to ta młoda żona, którą poślubił wkrótce po tym wypadku, ma taką łaskę u Boga.. Maksym jednak nie odstępował od swego... chciał nawet z kilkoma swych towarzyszy napaść nocą na sam dwór i dokonać zemsty swojej...

...Tymczasem sam Bóg wyręczył go.. Bryła co spadła na głowę dziedzicowi i na zawszę odjęła mu rozum porzucona była ręką Boga... Maksym pojednał się z sprawiedliwością niebieską i kto wie, czy dla swego syna nie byłby wrócił do swej chaty i nie porzucił tego niebezpiecznego rzemiosła, w jakie wdał się ostatniemi czasy... ale nagle w parę tygodni po nieszczęściu dziedzica... przez zdradę jednego z towarzyszy wpadł w zasadzkę rewizorów i broniąc się jak lew, runął

przeszyty kulami na dno Czartowskiej debry i zginął na wieki...

— Umarł! — szepnęła Leonia ledwie zrozumiale trzęsąc się jak w febrze.

— Umarł... jeszcze tej samej nocy poszedł na żer wilków zgłodniałych... Syn jego, uczestnik tej strasznej wyprawy, zabłąkał się w górach i biegnąc ciągle przed siebie, na pół nieżywy dowlókł się do klasztoru, co leży po tamtej stronie granicy... Nie umiał nic powiedzieć o swem pochodzeniu jak tylko to, że się nazywa Łeś, a z tego imienia zrobili Węgrzy Lajos... Urosłszy w młodzieńca, nie mógł nieprzezwyciężonemu oprzeć się pociągowi i wyprawił się ujrzeć miejsce rodzinne... Tak skąpe pozostały mu o latach dziecinnych wspomnienia... że dopiero powoli przez zbieg różnych okoliczności mógł wpaść na ślad swego pochodzenia...

Pani Zbąska z niepodobnem do określenia wrażeniem słuchała całej tej powieści i z zakrytą dłońmi twarzą siedziała kilka chwil jak gdyby w otrętwieniu. Nagle odsłoniła twarz i wpatrując się bystro w potworną twarz opowiadającego, zapytała:

— A zkądże wy wiecie o tem wszystkiem tak dokładnie?

Matwij się uśmiechnął.

— Któż o tem nie wie we wsi całej!... Pomogłem Lajosowi przyjść na ślad swego urodzenia, a opowiedziałem teraz całą tę historyę wielmożnej pani, aby dać poznać, że udzielając dziś przytułku temu choremu, przyczyni się wielmożna pani do zmazania tej ciężkiej krzywdy, jaką od jej męża poniósł jego ojciec...

Pani Zbąska pochyliła głowę na piersi.

— Przynieście go do dworu, — rzekła krótko.

Czarny Matwij skłonił się nisko i ciężkim krokiem wyszedł z pokoju.

Pani Zbąska potarła ręką po czole i zwróciła się do Hałakiejwicza.

— Przyrządź pan ten sam pokój w oficynach, tylko w najgłębszej tajemnicy...

— O, skarz mię Boże! — wykrzyknął poczciwy ekonom i co tchu wybiegł z pokoju.

Pani Zbąska zwróciła się do Leoni.

Młoda dziewczyna była blada jak trup i patrzyła przed siebie w ciężkiem zamyśleniu.

— Mamo! — zawołała drżącym od wzruszenia głosem rzucając się na jej piersi — Bóg skarze dzieci za winy ojców! Dzieci też

powinny naprawić złe wyrządzone przez rodziców... Mnie przypadło zatrzeć krzywdę Maksyma Borby.

XXII.

EPILOG.

Wypadłszy z dworu, pomknął Czarny Matwij jak strzała ku swemu mieszkaniu.

— O Boże! — wykrzyknął z głębi piersi biegnąc wzdłuż znanego nam wąwozu, — za moje nieszczęścia i cierpienia bez miary, dajże aby wszystko wypadło dobrze, aby przynajmniej syn mój był szczęśliwym!

Zdradził się tym wykrzyknikiem wyraźnie, ale podobno my już wszystkiego domyślilíśmy się oddawna.

Maksym Borba i Czarny Matwij był jedną i tą samą osobą.

Jak świeżo, tak i wówczas przed laty Topielcowe źródło ocaliło go od zguby na dnie przepaści. Ranny ciężko postrzałem rewizorów wywlókł się z trudnością z Sołtysiego wąwozu, a nie chcąc wpaść w ręce prześladowcom, przemknął się za granicę i w pierwszej wsi węgierskiej kilka tygodni przeleżał na swoją ranę.

Gdy przyszedł do sił, dowiedział się przypadkiem od starego dziada, co zawsze na praźnik zachodził do Krażoskala, że w owej nocy fatalnej przepadło gdzieś bez wieści i jego dziecię jedyne. Był to ostatni cios dla nieszczęśliwego zbiega, i pognębił do reszty jego dziką, namiętną naturę. Nic go już nie ciągnęło do wsi rodzinnej, skarb, który mu był najdroższy na ziemi stracił na zawsze, niemniej drogi syn jedyny zginął bez wieści, gospodarstwo poszło w niwecz, banda jego zuchwała wpadła w ręce rewizorów, jemu samemu srogie groziło niebezpieczeństwo, bo w walce dwóch strażników padło z jego ręki, a z dwoma innymi pojmanymi dawniej jeszcze obszedł się surowo...

Wszystko to zważywszy postanowił nie wracać do ojczyzny. Aby przygłuszyć rozpacz nieukojoną, co tak namiętnie toczyła serce, puścił się na oślep w szeroką obczyznę, zarabiając w rozmaity sposób na kawałek chleba, ocierając się z rozmaitymi ludźmi i wlekąc się z miejsca na miejsce coraz dalej w głąb Węgier. Atletyczna budowa i postawa zwróciła nań oczy jednego z węgierskich magnatów, wziął go na gwałt za hajduka i przeszło dwa lata trzymał go na swoim dworze...

Maksym Borba mógł był zapomnieć doznane ciosy losu, ale należał on do tych charakterów, które tylko z ostatnim tchem życia oddają pamięć chwil minionych.

Dzika rozpacz co do tragicznego końca Xeńki miotała jego naturą nieokiełzaną, nie dała mu spoczynku nigdy, owszem, wzmagała się z czasem i nabawiała go chwilami istnego szaleństwa.

Do tego i pobyt w dalekich płaszczyznach, nie odpowiadał naturze i nawyknieniom dalekiego syna gór. Mimo wszelkiego otarcia się z ludźmi i nabytku rozleglejszych doświadczeń, rwało go coś nieprzezwyciężonym urokiem, niepohamowaną siłą do gór rodzinnych. Szerokiej jego piersi, nawykłej do świeżego powiewu wiatrów górskich, za duszno było na szerokich równinach, zapragnął przynajmniej kości swoje złożyć bliżej słońca i nieba, na szczytach rodzinnego Beskidu.

Napróżno silił się wszelkiemi sposobami przytłumić w sobie ten pociąg nieprzeparty, długa walka podnosiła, potęgowała tylko jego siłę szaloną.

Lecz jakże było wracać w ojczyste strony, gdzie tylko pozory śmierci ochroniły go od prześladowania. Zabójca dwóch rewizo-

rów i podejrzywany skrytobójca dziedzica mógł chyba po to tylko ukazać się w Krużoskalu, aby zagrzebać się w kajdany i lochy więzienne...

Maksym Borba umyślił powierzchowność swą zmienić do niepoznania.

Wywarem dębowym którym mył miękie i jasne swe jak len włosy i przemienił je na czarne i twarde jak szczeć, z umysłu załamanie sobie chrząstki u nosa, i pryskiem podpalonego prochu, zeszpecił twarz całą.

Od cygana konowała u węgierskiego magnata, gdzie służył za hajduka, dowiedział się wiele sekretów lekarskich i postanowił z nich korzystać we wsi rodzinnej...

Wiemy już kiedy pojawił się w Krużoskalu i jak instalował się na Wilczej szczęce. Znając zaś tę dziką, najgwałtowniejszemi namiętnościami wichrzoną naturę, wytłumaczymy sobie i te jego szczególne chwilowe wybuchy szaleństwa...

Stanąwszy w niespełna pół godziny na szczycie Wilczej szczęki, Czarny Matwij rzucił się jak opętany ku znanemu nam tapczanowi, który stał w kącie jego samotnej chaty.

Na nim leżał ciągle jeszcze nieprzytomny w gorączce Lajos. Zimna woda zastanowiła

krew z roztwartej rany, ale nie przywróciła przytomności zmysłów.

Matwij poskoczył ku choremu i zaczął jego ręce i czoło ognistemi obsypywać pocałunkami.

— Synu mój, synu! — łkał urywanym z rozrzewnienia głosem.

Przycisnął potem obie pięści do czoła, jakby się pasował z jakąś myślą ciężką.

— O, nie, nie! — zawołał nagle z dziwną mocą i stanowczością, — nie dowiesz się nigdy, żeś moim synem! Żyjący chłop ojciec mógłby ci przeszkodzić w szczęściu... możebyś się go nieraz musiał zaprzeć... Umarły ci nie zaszkodzi! I dla ciebie Maksym Borba umarł, a pozostaje tylko Matwij, co ci dwa razy życie ocalił i dopomoże do szczęścia najwyższego... O bo ta panna jest dobra i szlachestna jak anioł, ona cię kocha i w tobie wynagrodzi krzywdy ojca...

Obsypując ciągle nieprzytomnego syna gorącemi pocałunkami, poowijał starannie jego ranę, pootulał go ze wszystkich stron swoją gunią i jak małe dziecię w powijaczu wziął na ręce.

— Zaniosę cię do dworu, a mam nadzieję, że osiędziesz w nim na zawsze.

. . . .

Tydzień jeszcze leżał Lajos bez przytomności w krużoskalskim dworze, oprócz samego Matwija doglądał go w chorobie i lekarz sprowadzony z Turki. Gorączka ustępowała powoli, chory trwał ciągle w bezprzytomnym stanie. Pierwszy raz kiedy otworzył oczy i świadomym wzrokiem potoczył po pokoju, ledwie napowrót od zmysłów nie odszedł z zachwytu i odurzenia.

Przy łóżku jego u głowy siedziała z matką Leonia i rękę jego trzymała w swej dłoni, a patrzyła nań z takim wyrazem współczucia, że dla jednego takiego spojrzenia wartoby i cięższej jeszcze poddać się chorobie.

— Mój Boże, jeśli to sen, — szepnął młodzieniec drżącemi usty, — to daj-że, abym się nie ocknął z niego nigdy.

Miasto odpowiedzi poczuł tylko silniejszy uścisk ręki i spostrzegł dwie łzy czystsze od pereł w oczach kochanki...

W tyle u drzwi samych stał Matwij z założonemi rękami i poruszał ustami jakby jakąś cichą, a gorącą odprawiał modlitwę...

Dalsze losy obojga kochanków niech sobie sam czytelnik splecie jak mu się podoba, nam pozostaje tylko dodać, że Lajos Lengyel

objęty amnestyą, która jak wiadomo wkrótce nastąpiła, nie potrzebował się ukrywać więcej i że po wyzdrowieniu tylko na krótki czas wrócił do Węgier, stale zaś zamieszkał w Krużoskalu...

....

Czem był dla niego Czarny Matwij, dowiedział się niebawem... Człowiek ten przeszedł wszystkie burze i gromy losu, a nie mógł przeżyć pierwszego nowego uśmiechu szczęścia...

W niespełna dwa lata po osiedleniu się Lajosa w Krużoskalu, Czarny Matwij zapadł nagle na zdrowiu, a na łożu śmiertelnem wyjawił synowi i synowej tajemnicę swego imienia...

....

Otóż dotarliśmy już i do końca powieści, od którego nieprzewidziana interwencya władzy drukowej nie wybawiła cię tym razem czytelniku.

Oszczędziło ci się tylko kilka kartek, na czem może nie wiele skorzystałeś.

Co ci się wyda ciemnem, musisz sam rozjaśnić, co niekopletnem, wypełnij własnym domysłem.

....

Zaspokoiwszy ciekawość naszą co do głównych osób powieści, nie godzi się zapominać zupełnie i o niektórych figurach podrzędniejszych.

Najpierw tedy co się stało z nieszczęśliwym panem Erazmem?

Obcy zupełnie ważnym wypadkom, jakie w ciągu powieści działy się w jego domu. pozostał obcym i nieczułym i na dalsze ich następności. Jadł zawsze z tym samym apetytem, spał jednakim snem błogim i śmiał się tym samym śmiechem nieprzytomnym, spazmatycznym.

Nie długo jednak przekazano mu już było zawadzać na świecie. W trzy lata podobno po opisanych powyżej zdarzeniach dostał ataku apopleksyi. Spieszna pomoc Lajosa zachowała go jeszcze przy życiu, ale w kilka miesięcy ponowił się napad i położył koniec smutnemu życiu człowieka-rośliny.

....

Czcigodny Bartłomiej Hałajkiewicz po dzień dzisiejszy gospodaruje w Krużoskału i ma się jak najlepiej. Trochę więcej nabrzmiały mu jeszcze policzki, i czupryna bielszym okryła się szronem, ale to mu nie ujęło bynajmniej sił i wrodzonej krzepkości.

15/-